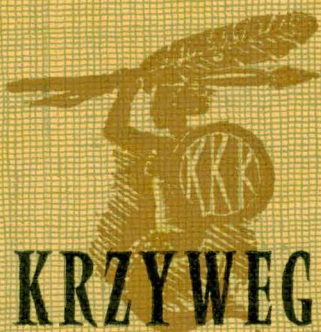


DOKUMENTY



KLUB KRZYWEGO KOŁA

Witold Giedlicki
JEST

członkiem
KLUBU KRZYWEGO KOŁA

Witold Giedlicki
v. 140

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

KLUB KRZYWEGO KOŁA

BIBLIOTEKA " KULTURY "
Tom LXXXIX

IMPRIME EN FRANCE

**Editeur : INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par MAISONS-LAFFITTE (S.-et-O.)**

DOKUMENTY

WITOLD JEDLIICKI

KLUB KRZYWEGO KOŁA

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1963

D O K U M E N T Y

W I N T E R 1 9 6 3

K I N G S L A N D S

SŁOWO WSTĘPNE

Dnia 14 lutego 1962 r. „New York Times” zamieścił notatkę podpisaną przez swego warszawskiego korespondenta, Arthura J. Olsena, donoszącą, że stowarzyszenie kulturalne działające pod nazwą „Klub Krzywego Koła” przestało istnieć. Wielomilionowa rzesza czytelników tego pisma dowiadywała się z tej, skądinąd zresztą — o czym jeszcze będzie mowa — w szczegółach dezinformującej korespondencji, że dotąd funkcjonujące stowarzyszenie, o tak dziwacznie brzmiącej nazwie, było jakąś ostatnią enklawą wolności słowa między Łabą a Pacyfikiem: dosłownie „ostatnim miejscem w świecie komunistycznym, gdzie słowo było wolne”.

Artykuł Olsena był szczytowym momentem rozgłosu dookoła Klubu. Zbiegł on się w czasie ze szczytowym momentem nieprzebiegającej w środkach kampanii oszczerstw przeciwko Klubowi, w której zarzucano nam między innymi, że dyskryminujemy i terroryzujemy członków P.Z.P.R. na organizowanych przez Klub zebraniach dyskusyjnych i że likwidacja Klubu jest w obliczu tak jaskrawych pogwałceń wolności słowa smutną koniecznością. Od tego momentu sprawa Klubu dość raptownie cichnie. Kiedy kilka dni później treść notatki Olsena referowałem kolegom z zarządu Klubu, odniosłem wrażenie, że znękanie prowokacjami, szykanami, groźbami i oszczerstwami nie byliśmy już w stanie cieszyć się gdy ktoś wyrażał nam uznanie i zrozumienie. Ludzie, którzy tworzyli Klub i rozwijali jego działalność z pewnością na robili tego dla sławy i rozgłosu i z pewnością nie oczekiwali, że staną się kiedyś, wprawdzie na krótko, przedmiotem żywego zainteresowania ze strony prasy światowej i zagranicznych radiostacji. Ich inicjatywa

i ich wysiłek były zaplanowane na skalę o wiele skromniejszą. Z tego samego powodu do końca nie chciało nam się wierzyć, że na nasz temat debatują najwyższe władze państwowe, że do walki z nami uruchamia się ogromną machinę administracyjną, że stanowimy wielki problem polityczny. Przekonały nas o tym dopiero niezaprzeczalne fakty.

Istniała w Klubie zawsze atmosfera, może nawet przesadnego, autokrytycyzmu. Popularność zdobywał z reguły ten, kto malkontencił, kto drażył w wykrywaniu wszystkich możliwych niedociągnięć, a nie ten, kto cieszył się i zadawała osiągnięciami Klubu. Charakter naszej instytucji i jej osiągnięcia były przedmiotem niekończących się analiz, w których zawsze dominowała tendencja do pomniejszania naszej roli i naszego znaczenia; pomniejszania niekiedy nawet wbrew faktom. Jak długo Klub istniał, tak długo myśli takie mogły zawsze być wyrażane publicznie. Tej możliwości już w tej chwili nie ma. Nie ma już w Polsce miejsca, w którym można by się publicznie zastanowić nad nurtującym wielu z nas pytaniem, jak to się stało, jaka osobliwa koniunktura polityczna to sprawiła, że trzystuosobowa grupa ludzi skupiła na moment na sobie zainteresowania najwyższych władz trzydziestomilionowego państwa oraz prasowych i radiowych organów dysponujących wielomilionowymi rzeszami czytelników i słuchaczy. Korzystając z faktu, że spośród osób dobrze w sprawach Klubu poinformowanych jestem w tej chwili jedynym, który może bez obawy niepożądanych kontaktów z policją mówić i pisać, co mu się żywnie podoba, pragnę pytanie to podjąć i w odpowiedzi wyrazić własny, czysto osobisty pogląd, na takim forum, jakie jest mi w tej chwili dostępne. Pragnę to jednak zrobić tak, aby pozostać w zgodzie z tradycjami autokrytycyzmu klubowego i tam, gdzie zachodzi potrzeba nie zawahać się przed obciążaniem pamięci Klubu rzeczami przykrymi i prestiżowo bolesnymi.

Klub Krzywego Koła, we wczesnym okresie swojego istnienia, był jednym z wielu działających wówczas na terenie całej Polski ośrodków, zrzeszających radykalną młodzież inteligencką. W okresie późniejszym, kiedy nasze możliwości działania coraz bardziej się kurczyły, kiedy trzeba było stale rezygnować z poprzednio żywionych aspiracji i nadziei i poprzestawać na bardzo skromnych i bardzo kameralnych formach pracy, wielu kolegów wspominało z nostalgią „heroiczny” okres lat 1956 i 1957, kiedy konkretna społeczna robota przynosiła doraźne rezultaty i dawała w efekcie znaczne poczucie zadowolenia. W moim przekonaniu pogląd taki był naiwny. Jest faktem, że już w roku 1956 Klub wyróżniał się spośród innych grup radykalnej młodzieży inteligenckiej zarówno zakresem kontaktów społecznych, jak i autorytetem,

jaki sobie wyrobił; jest też faktem, że mógł się już w swoim wczesnym okresie poszczycić pewnymi konkretnymi osiągnięciami. Ale mimo to, jeżeli Klub kiedykolwiek odgrywał rolę naprawdę doniosłą, to raczej nie wtedy, kiedy był jedną z wielu grup o podobnym charakterze, lecz wtedy kiedy pozostał jedyną taką grupą. W latach 1955 i 1956 powstała w Polsce cała masa mniej lub bardziej ambitnych klubów dyskusyjnych, skupiających dość znaczny odłam radykalnie nastrojonej młodzieży inteligentnej, a nawet robotniczej. W ciągu roku 1957 lub najdalej 1958 kluby te, jeden po drugim, bądź zostają poddane najrozmaitszym presjom policyjnym lub administracyjnym, w wyniku których zostają one zlikwidowane lub likwidują się same, bądź przekształcają się w lokalne grupki o charakterze artystycznym lub towarzyskim, nie posiadające żadnych ambicji społecznych ani politycznych, bądź też umierają śmiercią naturalną wskutek braku zadań lub braku audytorium. KKK przeżywa w r. 1957 swój najgłębszy kryzys, ale w przeciwieństwie do innych klubów wychodzi z tego kryzysu zwycięsko i później, przez szereg lat, wyraźnie się rozwija. W ciągu szeregu lat powoli ale skutecznie powiększającej się kontroli partii nad życiem kulturalnym kraju, wtedy, kiedy instytucje kulturalne zostają jedna po drugiej bądź likwidowane bądź podporządkowywane partii, Klub istnieje, działa i presjom się opiera. Jeszcze w roku 1961, kiedy prasa była już od dawna całkowicie zuniformizowana, kiedy literatura i sztuka znowu były ściśnięte kleszczami cenzury, kiedy do nauki pełną parą powracał ohydny bełkot oficjalnej doktryny, kiedy coraz większą ilość ludzi znowu ogarniał strach przed z dnia na dzień powiększającą zakres swojej władzy tajną policją, kiedy znowu w zastraszający sposób szerzył się ludzki oportunizm, w Klubie w dalszym ciągu dominował styl wypowiedzania się na najbardziej nawet drażliwe tematy w sposób poważny, autentyczny i pozbawiony dwuznaczności i ideologicznych zakrętów. O ile w początkach swojego istnienia Klub był zjawiskiem normalnym w tym sensie, że nie wywoływał niczyjego zdziwienia, to następnie przez wiele lat był przez szereg ludzi widziany jako osobliwość, jako anachronizm, jako relikwiny minionego, „październikowego” etapu. W końcu Klub nie uniknął losu tylu innych instytucji kulturalnych i został w brutalny sposób, decyzją administracyjną, rozwiązany. Ale pomimo to, jest kwestią w najwyższym stopniu intrygującą, dlaczego tak długo, aż do lutego 1962 roku pozwolono nam żyć, dlaczego kolej na nas przyszła dopiero w tym momencie?

Zastanawialiśmy się nad tym między sobą od dawna. Dla wielu z nas — przez długi czas i dla mnie samego — ta dziwna

łaskawość władz była czymś wręcz tajemniczym. W czasie rozmów na ten temat formułowaliśmy jednak sobie zazwyczaj trzy hipotezy, które same się narzucały.

Według pierwszej z tych hipotez Klub egzystował na tej zasadzie, że pozostawał niezauważony. Znaczenie naszej małej grupki — argumentowali niektórzy — jest tak znikome, a formy naszej pracy tak nieszkodliwe, że władze, które mają tyle donioślejszych problemów do rozwiązania, mogą sobie pozwolić na to, żeby się nami zupełnie nie interesować.

Hipoteza ta w świetle faktów absolutnie utrzymać się nie daje. Po pierwsze, gdyby nawet władze przejściowo o nas zapomniały, to i tak szybko by im o tym przypomniały roje donosicieli, załamujących po różnych instancjach partyjnych ręce z żalości, że jeszcze jesteśmy tolerowani. Po drugie właśnie ze środowiska wyższych dostojników partyjnych dochodziły do nas od czasu do czasu opinie, że dość już tego i że trzeba wreszcie z nami zrobić porządek; co mimo to — jak już mówiłem — dość długo nie następowało. Po trzecie na każdym zebraniu mieliśmy dowody, że władze o nas jednak pamiętają: na wszystkich zebraniach ciekawszych zjawiał się u nas oficjalnie wysłannik Komitetu Warszawskiego P.Z.P.R., a co tydzień z wzorową regularnością nieoficjalnie wysłannik Bezpieki; obaj ci panowie składali przecież sprawozdania. Po czwarte wreszcie, zarówno w toku pertraktacji z władzami, toczącymi się na jesieni 1959 r., jak i w ostatnim okresie istnienia Klubu mieliśmy jaskrawe dowody tego, że najwyższe czynniki partyjne zajmują się i interesują, sprawami Klubu. W czasie rozmów, zarówno oficjalnych jak i nieoficjalnych, zawsze się okazywało, że władze posiadają na temat Klubu informacje dość gruntowne. To wszystko miało miejsce przez cały czas istnienia Klubu; natomiast w okresie poprzedzającym likwidację fakt żywego zainteresowania Klubem ze strony najwyższych władz państwowych był już rzeczą zupełnie jawną. I mimo to z ostateczną decyzją likwidacji Klubu jeszcze dość długo zwlekano.

O ile pierwsza hipoteza narodziła się z niedoceniaenia znaczenia Klubu, o tyle druga z jego przeceniania. Według tej hipotezy władze ociągały się z wszczynaniem przeciwko nam kroków represyjnych ze względu na to, że w gronie członków, sympatyków i prelegentów Klubu znajdowała się znaczna ilość osób, należących do intelektualnej, artystycznej, a nawet politycznej elity kraju i cieszących się ogólnie uznanym poważnym autorytetem. W tej sytuacji — rozumowali niektórzy z nas — władze zamiast wchodzić z tą grupą ludzi w otwarty konflikt, który musiałby mieć niekorzystne reperkusje propagandowe zarówno

w kraju jak i zagranicą, wolą raczej rezerwować sobie możliwość posłużenia się tymi autorytetami na wypadek, gdyby zaistniała konieczność odwołania się do społeczeństwa w jakichś sprawach istotnych np. w sprawach niemieckich albo gdyby chodziło o poparcie jakichś inicjatyw rządowych itp.

W rozumowaniu tym były, moim zdaniem, pewne elementy trafne. Fakt skupiania przez Klub szeregu osób o głośnych nazwiskach i uznanych autorytetach wydawał się rzeczywiście koniecznym warunkiem jego istnienia. Bądź co bądź członkami Klubu byli: (wymieniam tylko nazwiska, które mogą być znane większej ilości czytelników) Władysław Bieńkowski, Helena Boguszewska, Włodzimierz Brus, Tadeusz Byrski, Marian Falski, Henryk Greniewski, Włodzimierz Hagemajer, Paweł Jasienica, Jerzy Kornacki, Edward Lipiński, Andrzej Munk, Maria Ossowska, Stanisław Ossowski, Juliusz Poniatowski, Antoni Rajkiewicz, Jan Rzepecki, Witold Suchodolski, Tadeusz Szturm de Sztrem, Jan Wolski, Jan Wyka i Stefan Zbrożyna. Osobami pozostającymi z Klubem w mniej lub więcej stałym kontakcie i przeważnie zarazem prelegentami (nieraz wielokrotnymi) na zebraniach dyskusyjnych byli ponadto m.in. Władysław Bartoszewski, Jerzy Braun, Józef Chałasiński, Stanisław Ehrlich, Paweł Hertz, Julian Hochfeld, Stefan Kisielewski, Leszek Kołakowski, Tadeusz Kotarbiński, Jerzy Kreczmar, Kazimierz Moczarski, Julian Przyboś, Artur Sandauer, Antoni Słonimski, Andrzej Stawar, Mieczysław Szerer oraz Melchior Wańkowicz. Nazwiska które tu wymieniam, to z reguły nazwiska osób już starszych. Obok nich jednak członkami i sympatykami Klubu była cała masa młodych pracowników naukowych, artystów, pisarzy i działaczy społecznych o poważnym już nieraz dorobku i uznanym w swojej dziedzinie autorytecie. Władze mogły się rzeczywiście liczyć z tym, że powiedzenie tym wszystkim ludziom, żeby się rozeszli do domów i przestali ze sobą spotykać nie prowadziłoby do niczego poza kompromitacją.

Nie jest wykluczone, że władze zdawały sobie sprawę i brały pod uwagę także i inne okoliczności. Klub nie był oczywiście organizacją paramilitarną ani „partią nowego typu”; przynależność do Klubu, a tym bardziej luźniejsze z nim związki nie pociągały za sobą praktycznie żadnych obowiązków. Mimo to w gronie naszym istniały dość mocne więzi wzajemne. Uważny obserwator mógł tu dostrzec zjawiska uderzające. Przytoczę tylko jeden przykład. W skład zarządu Klubu wchodził (zawsze z wyborów i nigdy z nominacji) z reguły ludzie stosunkowo młodzi; tylko w dwóch ostatnich kadencjach znalazły się w nim, w mniejszości zresztą, także osoby starsze. Ci młodzi ludzie

ciągle telefonowali i przychodzili do osób posiadających wysokie pozycje, obciążonych mnóstwem obowiązków i na pewno nie mających zbędnego czasu, prosząc je o wygłoszenie w Klubie prelekcji. Otóż jest rzeczą niewiarygodną, ale z wyjątkiem paru dostojników partyjnych (Putrament, Żółkiewski, Rakowski, oraz Lange) nikt nie odmawiał. Były targi o termin prelekcji, o temat, o współudział jakichś innych osób itp., ale same zaproszenie było przyjmowane. (Prelekcje w Klubie nigdy nie były honorowane). Ludzie należący do elity intelektualnej Polski z reguły nie odmawiali kierownictwu Klubu pomocy i poparcia także i w innych sprawach. Ogólnie panowało wśród tych ludzi wyjątkowe wprost zrozumienie potrzeby i znaczenia takiej instytucji, jaką stanowiliśmy i wyjątkowa gotowość współpracy z grupą młodych ludzi, która wzięła za losy tej instytucji odpowiedzialność. W tej sytuacji władze liczyły się zapewne z ewentualnością zmobilizowania przez nas tych wszystkich ludzi do jakichś akcji protestacyjnych lub przynajmniej interwencji. Obawy takie, w szczególności obawa przed zwołaniem przez zarząd nadzwyczajnego walnego zebrania i publicznym dyskutowaniem ówczesnego zatargu Klubu z władzami, wystąpiła wyraźnie w toku wspomnianych już pertraktacji na jesieni 1959 r. Nie jest więc wykluczone, że tego rodzaju konsyderacje mogły jeszcze pogłębiać obawę przed skandalem, kompromitacją i niekorzystnymi skutkami propagandowymi ewentualnej likwidacji Klubu.

Pomimo to hipoteza, że Klub był tak długo tolerowany dlatego, że skupiał znaczną ilość osób o głośnych nazwiskach i ogólnie uznanych autorytetach, także nie wytrzymuje konfrontacji z faktami. Głośne nazwiska i uznane autorytety stały za każdą instytucją kulturalną, likwidowaną lub podporządkowaną Partii w toku popaździernikowego „przymrozka” i „mrozu”. Nazwisko Kotarbińskiego nie przeszkodziło Partii w opanowaniu Akademii Nauk, a nazwisko Słonimskiego w opanowaniu Związku Literatów. Tam, gdzie chodzi o problematykę władzy nad jakimiś zbiorowościami ludzkimi, tam komuniści nie mają zwyczaju liczyć się z tym, co powiedzą ludzie i co napisze prasa zagraniczna. Podobnie nie mają zwyczaju liczyć się, kiedy chodzi o walkę z ludźmi, którzy ich władzy zagrażają; choćby to zagrożenie było minimalne i choćby polegało jedynie na wypowiedzaniu krytycznych opinii. Walki z przeciwnikami komuniści nie podejmują tylko w jednym wypadku: kiedy nie mają siły. Reżym Gomułki od innych reżymów komunistycznych różni się może przede wszystkim tym, że w miarę możliwości dba o unikanie kroków drastycznych, posunąć radykalnych, zbęd-

nego drażnienia opinii publicznej. Ale i w tym reżymie od naczelnej zasady nie ma wyjątków. Odczuliśmy to dobrze na własnej skórze, kiedy ostatecznie do likwidacji Klubu przystąpiono. Wszystkie względy na głośne nazwiska, autorytety, opinię publiczną, propagandowe reperkusje, zagranicę itp. wówczas przestały odgrywać rolę i nikt się z nimi więcej nie liczył. Wydaje się, że fakt skupiania przez Klub znacznej ilości osób o głośnych nazwiskach był rzeczywiście warunkiem koniecznym tolerowania go przez tak długi czas przez władze, ale na pewno nie był warunkiem wystarczającym.

Trzecia hipoteza przypisywała tolerującym nas władzom motywy dość machiaweliczne. Władze mianowicie — rozumowali niektórzy — wolą pozwolić nam zbierać się i dyskutować jawnie po to, aby mieć możliwość kontrolowania nas poprzez swoich agentów. Rezygnują z likwidacji Klubu w przekonaniu, że w ten sposób nie osiągną niczego poza tym, że utracą możliwość agencuralnej kontroli nad ludźmi, których środki administracyjne i tak nie odstraszą od spotykania się i kontaktowania między sobą.

Istnieją poważne powody, żeby przypuszczać, że KKK był powołany do życia w r. 1955 nie tylko nie wbrew władzom — i to władzom policyjnym — ale raczej za ich wyraźną zachętą. Nie znaczy to bynajmniej, że utworzenie Klubu było prowokacją. W tym niespokojnym okresie policja chciała mieć możliwości sondażu nastrojów, panujących w niektórych środowiskach i zapewne wolała, żeby nastroje te były wyrażane jawnie, pod okiem agentów, niż skrycie w sposób niekontrolowany. W tym okresie jednak policja Klub kontrolowała naprawdę, mając swoich ludzi w jego władzach i jego aktywie. Stosunkowo szybko jednak osoby te zostały przez, dość w tym czasie rozpędzone, koło historii z życia Klubu, podobnie jak i z życia innych instytucji wyeliminowane; sprawa była zresztą ułatwiona przez to, że od pewnego momentu osoby te wyraźnie wolały pojawiać się w Klubie jak najrzadziej. Na ich miejsce zaczął wówczas regularnie przychodzić na zebrania jakiś nikomu nieznan, wyblakły osobnik w okularach, który siadał w kącie, do nikogo się nie odzywał i potem składał sprawozdania, o których wiadomo było, że są niekompetentne. Tak długo, jak długo nie usiłował podsłuchiwać prywatnych rozmów nikt się nim na dobrą sprawę nie interesował. A kiedy usiłował podsłuchiwać, to rzucono mu w twarz jakąś impertynencję i wtedy oddalał się zmieszany. Do jesieni r. 1961 można było jeszcze podejrzewać, że agent ten spełnia rolę drugorzędną, gdyż nasze środowisko jest i tak konfidencjonalnie spenetrowane. Postępowanie władz, zarówno

policyjnych jak i politycznych, w ciągu ostatnich miesięcy istnienia Klubu dostarczyło jednak niezbitych dowodów, że tak nie było. Represje karne stosowano na oślep, bez żadnego rozeznania. W pewnych momentach mobilizowano do inwigilowania naszego środowiska całe zastępy łatwych do zidentyfikowania agentów, których daremny zresztą na ogół wysiłek byłby w wypadku istnienia penetracji konfidencjonalnej zbędny zupełnie. Zrażano ludzi, których należało zjednywać i próbowano zjednywać ludzi, którzy wszelkiemu kompromisowi byli przeciwni. Wszystko to świadczy o tym, że władze mimo żywego zainteresowania Klubem i mimo gromadzenia informacji na jego temat, w sprawach personalnych rozeznania nie miały.

Jest rzeczą jasną, że „kontrola”, sprawowana nad Klubem przez wyblakłego osobnika w okularach nie mogła zadawałać nikogo a już najmniej policji. Niewątpliwie władze marzyły o maksymalnym powiększeniu tej kontroli i kilkakrotnie podejmowały kroki zmierzające do tego celu. Przykładami takich kroków może być żądanie wprowadzenia dwóch członków P.Z.P.R. do zarządu Klubu drogą kooptacji, żądanie składania władzom dokładnych tematycznych planów zebrań dyskusyjnych itp. Osobiście należałem do tych, którzy oczekiwali ze strony władz raczej poważnych prób podporządkowania sobie Klubu, niż jego likwidacji. Sądziłem, że władze, zamiast brać na siebie odium niepopularnej decyzji administracyjnej, będą wolały zastosować typową taktykę „jednolitofrontową” i stopniowo przechwycić władzę nad Klubem przez zastraszenie jednych, skonformizowanie drugich, wyeliminowanie trzecich, itp.

Do sprawy tej powrócę jeszcze w piątym rozdziale książki. Tu jednak, nie wdając się w szczegóły, muszę stwierdzić, że w przewidywaniu moim nie brałem pod uwagę jednego istotnego momentu. Marzenia władz, żeby podporządkować sobie Klub w drodze nieadministracyjnej, nie mogły się ziścić z jednego prostego powodu: z powodu słabości kadry partyjnej, jaką władze do tego celu mogły dysponować. Akcja taka wymagałaby bądź co bądź mobilizacji jakichś członków partii do jakichś akcji agitacyjnych, przekonywania ludzi, polemik, formułowania i bronięcia programów, wreszcie do pracy organizacyjnej. Tymczasem członkowie P.Z.P.R., którzy należeli do Klubu, byli absolutnie do tego niezdolni. Wytworzyła się, i przez wiele lat trwała, w Klubie sytuacja paradoksalna. Filozofia Hoene-Wrońskiego i Wyznanie Mojżeszowe, anarchizm i trockizm, polityka Rydza i Becka i Ukraińska Armia Powstańcza — wszystko, co nawet przyzwycajony do nonkormizmu intelektualnego przeciętny członek Klubu uważał za fantastyczności, niepoważne ekstremizmy

lub rzeczy, na które należy wzruszyć ramionami — wszystko to znajdowało w Klubie rzeczników, którzy potrafili bronić swych przekonań z odwagą, godnością i charakterem. Zabrakło tylko obrońców P.Z.P.R. Członkowie partii, należący do Klubu, zdobywali się co najwyżej na „perswazje osobiste”, zacierające najczęściej do podważenia zasady równości dyskutantów: konkretnie chodziło, im o wprowadzenie jakiejś formy dyskusji „kierowanej” czy „organizowanej”, która by zapewniła im pozycję uprzywilejowaną kosztem „ekstremistów”, których by się do głosu nie dopuszczało, lub przynajmniej hamowało. Niekiedy chodziło jednak o coś jeszcze bardziej prozaicznego: o to, aby kierownictwo Klubu przez „nierozważne kroki” nie narażało ich na represje partyjne. Do mnie też, jako do członka ostatniego zarządu Klubu, parokrotnie z tego rodzaju sugestiami zwracano się. Żał mi było w gruncie rzeczy tych ludzi, że tak się upokarzali. Lata pobytu w partii uczyły ich strachu. W końcu bali się panicznie wszystkiego, a najbardziej otwartej wymiany zdań z równym przeciwnikiem. Dziś widzę wyraźnie, że kompletna niemoc tych ludzi zadecydowała o niepowodzeniu planu podporządkowania Klubu władzom. To był powód, dla którego, władze miały praktycznie tylko dwa wyjścia: tolerować nas dalej, albo likwidować administracyjnie.

Starałem się przekonać czytelnika ze osobliwej polityki władz w stosunku do Klubu nie da się wytłumaczyć ani tym, że władze się nami nie interesowały, ani tym, że obawiały się skandalu i kompromitacji, ani tym, że jawność naszych zebrań ułatwiała nad nami kontrolę. Po to, aby tę politykę wytłumaczyć, trzeba, moim zdaniem, odpowiedzieć sobie wpieryw na pytanie ogólniejsze, a mianowicie: dlaczego w Polsce w wielu sprawach i w wielu dziedzinach panowały stosunki znacznie liberalniejsze, niż w innych krajach bloku komunistycznego? Pytanie o przyczyny tolerowania Klubu nie różni się w gruncie rzeczy w swoim charakterze od pytania o przyczyny wszelkich zjawisk, które różnią czy różniły Polskę od Czechosłowacji, Rumunii lub Bułgarii: a więc tolerowanie w tak szerokim zakresie indywidualnej gospodarki chłopskiej, swobodnego czytelnictwa prasy zachodniej, swobodnej emigracji Niemców do N.R.F. i Żydów do Izraela, a jeżeli chodzi o przeszłość, to częściowego uniezależnienia się od Z.S.S.R., znacznego ograniczenia władzy tajnej policji, wolności słowa mówionego, swobodnych kontaktów z zagranicą, autonomii instytucji naukowych i artystycznych, wreszcie, *last but not least*, całego „Października”. W moim przekonaniu rzetelna próba odpowiedzi na te pytania musi prowadzić do wniosku, że stopień liberalizmu stosunków politycz-

nych w Polsce był i jest funkcją układu sił w kierownictwie P.Z.P.R. w danym momencie i zależy od przebiegu zaszarych walk o władzę, jaką ze zmiennym szczęściem różne frakcje partyjne ze sobą toczą. Dlatego, zanim nawet przystąpię do zreferowania rzeczy tak elementarnych, jak cele i zadania KKK, jego struktura, formy jego działania itp., pozwolę sobie poświęcić cały rozdział tym zjawiskom.

R o z d z i a ł I

„CHAMY I ŻYDY”*)

I

Istnieje pewien, ukształtowany może przede wszystkim przez prasę zachodnią, stereotypowy obraz wydarzeń politycznych w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Stereotyp ten jest niesłychanie rozpowszechniony zarówno w kraju jak i zagranicą. Przypuszczam, że ogromna większość osób interesujących się sprawami polskimi przedstawia sobie sytuację polityczną Polski mniej więcej w taki sposób, jak to niżej próbuję scharakteryzować albo przynajmniej w sposób mocno do tego zbliżony.

Zasadniczym elementem tego stereotypu jest przekonanie, że polscy komuniści, jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie poważna ich część, różnią się jaskrawo od swoich towarzyszy z „bratnich partii” tym, że przejawiają wyraźne tendencje liberalne lub w każdym razie liberalizujące. Przyczyn tego stanu rzeczy upatruje się zwykle w starych rozdźwiękach pomiędzy Stalinem a kierownictwem K.P.P. względnie jej późniejszymi kontynuacjami; nie rzadko przy tym podaje się jakieś fakty mające świadczyć o istnieniu wśród czołowych komunistów polskich jakichś form oporu, opozycji czy nawet konspiracji przeciwko Stalinowi.

Tym elementom liberalnym w łonie P.Z.P.R. przypisuje się następnie podjęcie starań o stopniową liberalizację stosunków w Polsce po śmierci Stalina. Proces ten byłby może realizowany powoli i z wahaniem, gdyby nie to, że XX Zjazd K.P.Z.R., a w szczególności słynne tajne przemówienie Chruszczowa z dn. 25 lutego 1956 rozpetęło falę masowego niezadowolenia i obudziło potężny ruch oddolny, dążący do szybkiej realizacji daleko idących reform w duchu jak najbardziej demokratycznym. Ruch ten zaczyna wywierać silną presję na kierownictwo partyjne.

*) §§ I-XV tego rozdziału były drukowane w nrze 12/182 „Kultury” grudzień 1962.

Podstawowym narzędziem tej presji staje się prasa, opanowana w tym czasie całkowicie przez pozapartyjne (lub partyjne, ale wypowiadające posłuszeństwo dyrektywom kierownictwa partyjnego) elementy konsekwentnie i szczerze demokratyczne. Istniało jednak także szereg innych form tej presji, takich jak publiczne wypowiedzi intelektualistów, tworzenie najrozmaitszych zrzeszeń, demonstracje (z najślawniejszą zbrojną demonstracją Poznańską z dn. 28 czerwca 1956 r. na czele) itd.

W obliczu tych wydarzeń część kierownictwa partyjnego zaczyna zdawać sobie sprawę z konieczności radykalnych przemian i przyłącza się do ruchu masowego do tych przemian nawołującego. Powstaje w ten sposób sojusz bardziej liberalnych, bardziej radykalnych, bardziej liczących się z rzeczywistością komunistów z masowym ruchem oddolnym, domagającym się radykalnych reform. Na przywódcę całego obozu zostaje wysunięty Władysław Gomułka. Ostatecznie obóz ten odnosi kolosalny sukces w październiku 1956 r., łamiąc opór sprzeciwiających się reformom stalinowców i eliminując ich od władzy. To, co się wówczas stało, było rodzajem zamachu stanu, który spotkał się z ostrym, popartym demonstracją zbrojną sprzeciwem Chruszczowa i ówczesnego kierownictwa K.P.Z.R. Gomułce udało się jednak wtedy przekonać Chruszczowa, żeby interwencji zbrojnej zaniechał; sukces ten przypisuje się zwykle poparciu, udzielonemu wtedy Polsce przez Chiny. Interwencja taka miałaby jednak miejsce, gdyby nie zmysł polityczny narodu polskiego, który w przeciwieństwie do narodu węgierskiego, potrafił wówczas nie dopuścić do tego, żeby żądania przybrały treść krańcową i żeby akcje masowe miały formy prowokacyjne. Od rozlewu krwi uratowało wówczas Polskę to, że cały naród rozumiał, że należy zakreślić żądaniom i postulatom pewne rozsądne granice.

W czasie przewrotu i po przewrocie strona zwycięska przeprowadza szereg reform, z których najistotniejszymi były likwidacja znieawidzonego U.B., usunięcie „doradców radzieckich” z wojska i z policji, wypuszczenie z więzienia Prymasa Wyszyńskiego i uregulowanie stosunków z Kościołem oraz dopuszczenie do żywiołowej samolikwidacji chłopskich gospodarstw kołchozowych. Pomimo to, okres popaździernikowy charakteryzuje się pogłębiającym się rozdzwieniem pomiędzy dwoma komponentami „obozu październikowego” tzn. pomiędzy zwycięską grupą w kierownictwie partyjnym, a słabnącym już w tym czasie ruchem masowym, w dalszym ciągu reprezentowanym przez prasę i intelektualistów. Właśnie przeciwko prasie i intelektualistom kieruje się w tym czasie głównie atak byłych sojuszników. Ukuwa się dla nich uwłaczającą nazwę „rewizjonistów” i poddaje się ich najprzeróżniejszym represjom. Najbardziej dramatycznym momentem tego konfliktu była likwidacja tygodnika „Po Prostu” i parodiowe rozruchy w Warszawie w październiku 1957 r. (Do tych rozruchów nie przywiązuje się jednak zwykle większego znaczenia). Przyczynę tego antydemokratycznego zwrotu w poli-

tyce Gomułki i innych leaderów partyjnych upatruje się zwykle we wzmagającej się presji rosyjskiej, której polskie kierownictwo partyjne coraz bardziej ulega. Katastrofalna w tym czasie sytuacja gospodarcza Polski presję tę bardzo Sowiecom ułatwia. Równocześnie jednak podkreśla się, że masowy ruch, domagający się reform, w tym czasie gwałtownie słabnie niezależnie od jakichkolwiek represji. Zjawisko to przypisuje się zwykle takim czynnikom, jak wzrastająca po stłumieniu Powstania Węgierskiego świadomość beznadziejności jakichkolwiek prób przeciwstawienia się Rosji i powszechne godzenie się ze smutnymi koniecznościami wynikającymi z położenia geograficznego Polski.

Stale wzmagająca się presja rosyjska prowadzi w ciągu szeregu lat następnych do powolnego i stopniowego cofania wywalczonych w 1956 r. reform. Polityka Gomułki i innych październikowych zwycięzców staje się coraz wyraźniej i coraz jaskrawiej antydemokratyczna. Charakterystycznym, wielokrotnie podkreślanym zjawiskiem tego okresu jest spadek osobistej popularności Gomułki. Niegdyś podziwiany za odwagę, z jaką potrafił przeciwstawić się Kremłowi, staje się coraz częściej obiektem pretensji o zbytnią wobec Kremła uległość. Uległość tę interpretuje się przy tym coraz częściej jako skutek osobistej nieudolności i ignorancji. Ale mimo postępującej totalizacji Polska wciąż jeszcze wyróżnia się spośród innych krajów bloku komunistycznego pewnym, choć coraz bardziej ograniczonym liberalizmem.

Odnotujemy przy okazji pewne uboczne elementy charakteryzowanego tu stereotypu. Jednym z nich jest pogląd na rolę Kościoła. Kościół uważa się zwykle za jedyną w Polsce realną siłę opozycyjną. Przypisuje mu się przy tym konstruktywną rolę w okresie października. Decyzja Wyszyńskiego poparcia Gomułki w okresie października uważana jest zwykle za akt wielkiej politycznej rozwagi. Wyszyńskiemu przypisuje się też znaczną rolę w niedopuszczeniu do tego, aby ruch październikowy przekroczył pewne granice i naraził kraj na niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego z Z.S.S.R. Drugi uboczny element tego stereotypu to pogląd na sprawę żydowską. Wzniecenie nastrojów antysemitycznych w społeczeństwie w okresie października uważa się za największy sukces stalinowców. Uważa się, że nastroje te są w Polsce wciąż żywe mimo, iż cieszący się taką popularnością „obóz październikowy” z antysemityzmem walczył zawzięcie.

Staralem się tutaj, z konieczności ogólnikowo i w sposób bardzo przybliżony, ale możliwie obiektywnie i możliwie *in optima forma* zrekonstruować stan wiedzy przeciętnego czytelnika prasy zachodniej na temat problematyki politycznej Polski ostatnich lat dziesięciu. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że były znaczne nieraz różnice zarówno w przedstawianiu pewnych zagadnień jak i w stosunku do nich. Różnice te znalazły swój wyraz między innymi w terminologii. Ówczesny warszawski korespondent „Monde'u”, Philippe Ben, stale charakteryzował zwolenników przemian październikowych w kierownictwie partyjnym

jako *les libéraux* a ich przeciwników jako *les durs*. W ówczesnej prasie polskiej to samo nazywano „siłami postępowymi i rewolucyjnymi partii” oraz „siłami wstecznymi partii”. Grupe, która w październiku przegrała utarło się w końcu nazywać „Natolińczykami”. Jest natomiast rzeczą charakterystyczną, że grupa, która wygrała, tak powszechnie stosowanej nazwy nie otrzymała nigdy. Były jednak różnice poważniejsze, niż terminologiczne. Poważne dzienniki amerykańskie jak „New York Times” czy „New York Herald Tribune” wykazywały na ogół więcej rezerwy niż np. brytyjski „New Statesman and Nation”, który charakteryzując październikowy sojusz bezpartyjnych mas z partyjnym kierownictwem używał zwrotów w rodzaju *brave people led by brave leaders*. Największa rewelacja w zakresie wiedzy o oporze stawianym Stalinowi przez czołowych polskich komunistów, a mianowicie podana przez Izaaka Deutschera wiadomość o tym, jakoby w papierach pozostałych po zmarłym Bolesławie Bierucie znaleziono notatkę, zalecającą jego podwładnym sabotowanie dyrektyw radzieckich, nie znalazła, o ile mi wiadomo, wielu czytelników do przedrukowywania jej. Były w ogóle znaczne różnice w stopniu okazywania sympatii dla liberalnego odłamu komunistów polskich. Regułą było, że dziennikarze i publicyści o tendencjach lewicowych i socjalistycznych okazywali im ogromną sympatię, podczas gdy dziennikarze i publicyści o tendencjach prawicowych i konserwatywnych zachowywali rezerwę. Na skrajnej lewicy niekiedy wskazywano nawet na Polskę, jako na wzór do naśladowania dla socjalistów całego świata albo ludzono się, że to, co się dzieje w Polsce odrodzi międzynarodowy ruch robotniczy. Ale mimo tych wszystkich różnic w najistotniejszych punktach panowała powszechna zgoda. W szczególności godzono się na to, że wśród poważnej części komunistów polskich łącznie z wieloma przywódcami partii, panowały silne sympatie liberalne, że łąca te poparły oddolny ruch masowy domagający się demokratyzacji ustroju i uniezależnienia się od Z.S.S.R., że wydarzenia października 1956 r. były ogromnym sukcesem sił demokratycznych w Polsce i zarazem porażką Rosji i że tylko niekorzystna koniunktura, w jakiej Polska znalazła się w ciągu lat następnych, a w szczególności potęgujący się nacisk sowiecki sprawiły, że zdobycze demokracji w Polsce nie okazały się trwałe.

II

Będę się starał obecnie wykazać, że naszkicowany tu obraz przebiegu wydarzeń pełen jest zupełnie zasadniczych nieporozumień. Przede wszystkim rzucają się w oczy elementy niejasne, wymagające stawiania pytań, których zwykle nie stawiano, albo na które nie dawano jasnych odpowiedzi.

1. Rzeczą powszechnie uznaną jest rola prasy i intelektuali-

stów w rozbudzeniu opinii publicznej i w wywarceniu presji na kierownictwo partyjne. Powstaje jednak pytanie, w jaki sposób prasa, w której nic nie może być wydrukowane bez aprobaty cenzury, może wywierać presję na cenzorów lub ich szefów? A więc jedno z dwojga: albo prasa spełniała wówczas dyrektywy kierownictwa partyjnego, albo kierownictwo partyjne dobrowolnie z jakichś powodów godziło się na to, żeby prasa pisała to, co uważa za stosowne. W obu wypadkach nie ma mowy o żadnej presji.

2. Powszechnie uważa się, że nagły i gwałtowny zryw opinii publicznej na wiosnę 1956 r. był następstwem tajnego referatu Chruszczowa. Ale od razu powstaje pytanie, dlaczego ten referat rozpowszechniano? Przecież w innych krajach bloku go nie rozpowszechniano. Co więcej, dlaczego rozpowszechniano ten referat tak gorliwie, na otwartych zebraniach partyjnych, tak, żeby każdy, partyjny i bezpartyjny, mógł się z nim zapoznać? W tych warunkach poruszenie opinii publicznej musiało być rzeczą łatwą do przewidzenia. Stąd wniosek, że opinię publiczną rozbudzano celowo.

3. Co właściwie powiedział Gomułka Chruszczowowi 20 października 1956 r.? Co naprawdę skłoniło Chruszczowa do zaniechania interwencji? Krążyło na ten temat mnóstwo pogłosek, ale jedna z tych pogłosek powtarzała się szczególnie uporczywie, mianowicie pogłoska o poparciu udzielonym wtedy Gomułce przez Chiny. Pewną wątpliwość budzi jednak okoliczność, że wszystko to razem odbywało się w ciągu paru zaledwie godzin, w ciągu których rząd chiński nie bardzo miał czas na zebranie informacji, podjęcie decyzji i przystąpienie do działania. Na wątpliwość tę zwykle się odpowiada w ten sposób, że druga tura członków Politbiura Sowieckiego przyleciała do Warszawy w godzinach późniejszych tego samego dnia, przywożąc Chruszczowowi wiadomość o chińskiej interwencji dyplomatycznej. Może to i prawda, ale to nie zmienia faktu, że przebieg rozmowy Chruszczowa z Gomułką jest nikomu nieznanym.

4. Dlaczego ci sami ludzie, którzy potrafili ryzykować konflikt zbrojny z Z.S.S.R., byli później tak ulegli wobec presji sowieckiej w tysiącach spraw drobnych, takich np. czy zezwolić na ukazywanie się jakiegoś pisemka literackiego, albo czy zezwolić na wydrukowanie czegoś itp.? Dlaczego Gomułka, na którego poparta demonstracją militarną presja rosyjska nie podziałała w sprawie Rokossowskiego, uląkł się jej w sprawie Piaseckiego, który, jak to powszechnie sądzono, zawdzięczał swoją dalszą egzystencję i dobrobyt poparciu udzielonemu mu przez Moskwę? Dlaczego Gomułka oparł się tej presji w sprawie indywidualnej gospodarki chłopskiej? Ostatnie pytanie jest może szczególnie niepokojące. Niekiedy mówi się, że polityka rolna Gomułki jest

dezaprobowana przez Chruszczowa, niekiedy że aprobowana. Nie wiem, jak jest naprawdę, ale jeżeli jest dezaprobowana, to Gomułka poglądem Chruszczowa na tę sprawę wyraźnie się nie przejmuje, a jeżeli jest aprobowana, to w podobny sposób poglądem Chruszczowa nie przejmują się Ulbricht, Novotny, Kadar itd. Jakkolwiek by więc było, należałoby wyciągnąć wniosek, że satelitów stać na samodzielną decyzję w zasadniczej sprawie ustrojowej. A w ogóle wszystkie te pytania prowadzą chyba do wniosku, że albo presji rosyjskiej nie było w ogóle, albo była ona nie tak mocna, żeby można było ją uważać za zasadniczy czynnik kształtujący stosunki polityczne kraju, albo przynajmniej, że Gomułka i polscy liderzy partyjni, kiedy chcieli, opierali się jej skutecznie. Wszystkie te ewentualności prowadzą z kolei do wniosku, że totalizacja ustroju, jaka nastąpiła w latach popaździernikowych, miała inne przyczyny i nie była spowodowana presją rosyjską.

(Nawiasem mówiąc w sprawie presji rosyjskiej pewni publicyści doszli już do podobnych wniosków. Np. pytanie o Rokossovskiego i Piaseckiego postawił Adam Bromke na łamach „The Survey”. Generalnie natomiast kwestię tę podjął w artykułach ogłaszanych ostatnio na łamach „Monde’u” i prasy izraelskiej Philippe Ben, wyrażając w tej sprawie trafny, moim zdaniem, pogląd, że presja istnieje, ale ogranicza się do pewnych szczególnie ważnych dziedzin, natomiast w sprawach innych pozostawia się władzom satelickim znaczny nawet margines swobody).

Sprawę poruszoną w punkcie (3) odłóżmy na później. Natomiast wnioski pozostałych trzech punktów można, jak mi się zdaje, uogólnić w postaci tezy, że jedni i ci sami ludzie byli w pewnym okresie, bez względu na to, co myślało o tym społeczeństwo, zainteresowani w demokratyzacji stosunków politycznych w Polsce, a w innym okresie, bez względu na to, co myślał o tym Chruszczow, zainteresowani w totalizacji tych stosunków.

III

Dlaczego? Skąd się bierze ten fenomen świadomego i planowego rozbudzania opinii publicznej w gruncie rzeczy przeciwko sobie? Po co Chruszczow wygłaszał ten swój tajny referat? W jakim celu Cyrankiewicz, Ochab i Zambrowski w ciągu r. 1956 tak się wysilali, żeby zmobilizować opinię publiczną do krytyki partii i komunizmu?

Przede wszystkim możemy odrzucić od razu ewentualność, że ci ludzie robili to ze względu na ukryte, ale szczerze sympatie liberalne, które nakazywały im realizować pewien wzorzec ustrojowy uważany za słuszny nawet wbrew własnym interesom. Ani Chruszczow ani polscy liderzy partyjni żadnych poważnych sympatii liberalnych nie mieli i nie mają. Nietrudno ostatecznie wskazać sytuację, w których mieli oni okazję okazywania takich

sympatii, a ich nie okazywali. Na ewentualny kontrargument, że może tu zachodzić normalne zjawisko zmiany przekonań, jest odpowiedź, że jeżeli za każdym razem zmiana przekonań służy interesom, to rzuca to cień na istnienie jakichkolwiek przekonań w ogóle.

Możemy także, moim zdaniem, odrzucić ewentualność, że działały tu względy natury osobistej. Mam przez to na myśli taką ewentualność, że to ślepa nienawiść do pełnej upokorzeń i straszliwych lęków przeszłości, ślepa nienawiść do tego, na którego zawołanie musieli tańczyć kozaka sprawiła, że nie oglądając się na konsekwencje wygarniali z siebie to co czuli. W moim przekonaniu ten motyw miał wpływ na *wording* referatu Chruszczowa, ale samo jego wygłoszenie musiało mieć inne powody. Przywódcy partii totalitarnych są z reguły ludźmi zimnymi, o konstytucjach raczej schizoidalnych lub paranoidalnych, potrafiącymi dobrze ukrywać swoje myśli i uczucia, kiedy ich ujawnienie zagrażałoby interesom.

W swoim czasie przeczytałem całą masę komentarzy prasowych, artykułów i rozpraw na temat tajnego referatu Chruszczowa. Szukałem w nich przede wszystkim odpowiedzi na pytanie: po co on to zrobił? Mam poczucie, że w całej tej ogromnej literaturze raz tylko natrafiłem na supozycję naprawdę ciekawą. Poza tym jednym wypadkiem kwestię motywów Chruszczowa bądź zbywano milczeniem, bądź wypowiedziano się na ten temat niejasno, bądź najbardziej niefortunnie w świecie, formułowano wyjaśnienia, które ogólnie nazwałbym „marksistowskimi”.

Zanim zreferuję tę jedyną hipotezę, która moim zdaniem jest do przyjęcia, pozwolę sobie na pewną dygresję. Pragnę mianowicie krótko odpowiedzieć na pytanie dlaczego moim zdaniem poszukiwanie wyjaśnień o charakterze marksistowskim w tym wypadku nie prowadziło do niczego.

Przed wszystkim, celem uniknięcia nieporozumień, chciałbym określić, jaki typ wyjaśnień nazywam tu marksistowskimi. Otóż mam na myśli często wówczas spotykane argumentacje, że Chruszczow, zdając sobie sprawę z tego, że struktura społeczna Z.S.S.R. w kolosalnym stopniu obniża zdolności produkcyjne tego kraju i prowadzi do gospodarczej anarchii, pragnął zadać swoim referatem śmiertelny cios zawzięcie broniącemu swoich przywilejów aparatowi partyjnemu i w ten sposób umożliwić „technokratyzację” ustroju i całego systemu rządzenia w nadziei, że te zmiany pozwolą mu na podjęcie na wielką skalę współzawodnictwa ze Stanami Zjednoczonymi. Ten typ wyjaśnień jest, moim zdaniem, nie do przyjęcia z kilku względów. Chruszczow ma niewątpliwie ogromne zasługi w modernizacji zacofanego sowieckiego ustroju gospodarczego. Ale trudno dociec, jaki to może mieć związek z jego tajnym referatem. Jakkolwiek rozpaczliwy mógł być stan gospodarki sowieckiej w lutym 1956 r., trudno przypuścić, żeby wygłoszenie tego referatu mogło cokolwiek w tym zmienić. Mogło co najwyżej sytuację pogorszyć, na przykład

przez spowodowanie fali strajków. Co więcej, samo wygłoszenie tego referatu mogło tylko wzmocnić opór aparatu partyjnego przeciwko Chruszczowowi i nie prowadziło do jego rozbrojenia. Trudno sobie wyobrazić, jak ten referat mógłby być środkiem naprawy czegokolwiek. Co więcej trudno zrozumieć, dlaczego by ten krok, tak ryzykowny i niebezpieczny, miał być naprawdę niezbędny do dokonania radykalnych przemian strukturalnych, do których Chruszczow skąd inąd zmierzał i które częściowo udało mu się później zrealizować. Gospodarka sowiecka przez długie lata stała na głowie i mogłaby sobie jeszcze trochę powstać. W każdym razie trudno zrozumieć, jak jej naprawie mogło służyć opluwanie siebie, swojej przeszłości, swoich przyjaciół, swojej partii i swojego państwa.

(*Mutatis mutandis* ta sama argumentacja stosuje się do formułowanej czasem wówczas hipotezy, że Chruszczow chciał przez swój referat ułatwić sobie rokowania z Zachodem. Nawet jeżeli antystalinizm Chruszczowa zjednywał mu na Zachodzie jakieś sympatie, to i tak trudno przypuścić, żeby Chruszczow liczył na to, że politycy zachodni zmiękną tylko dlatego, że on taki ładny referat wygłosił. Kroki zmierzające do porozumienia z Zachodem mógł sobie Chruszczow podejmować do woli i bez tego referatu; dalsze wydarzenia budzą jednak zasadnicze wątpliwości, czy Chruszczowowi w ogóle w tym okresie na jakimś porozumieniu z Zachodem zależało. Ale gdyby nawet zależało, to trudno zrozumieć, co mu w tym mógł pomóc referat).

Cała ta sprawa budzi pewną refleksję natury ogólniejszej, bardziej abstrakcyjnej. Znane są spory o ogólne zasady wyjaśniania wydarzeń historycznych. Rozmaici autorzy, podkreślali rolę sprawczą, jaką odgrywają w procesach historycznych najróżniejsze czynniki: gospodarcze, społeczne, kulturalne, demograficzne, klimatyczne, osobowościowe i nawet higieniczno-sanitarne. Naągłoniejszym z tych sporów był zawsze spór marksistów z ich niektórymi przeciwnikami o „rolę jednostki w historii”. Spór ten, i rozmaite inne spory o podobnym charakterze traktowano zwykle tak, jakby był to jakiś problem „filozoficzny”, możliwy do ogólnego rozstrzygnięcia. Tymczasem jest to problem jawnie empiryczny i nie dający się rozstrzygnąć ogólnie; albowiem w każdym konkretnym przypadku rola jednostkowej decyzji i rola czynników, powiedzmy, gospodarczych może być różna w zależności od ustroju i struktury społecznej kraju, w którym mają miejsce wydarzenia będące przedmiotem wyjaśniania. Z tego, że marksistowski model wyjaśniania zdarzeń pasuje do dziewiętnastowiecznej Anglii, nie wynika jeszcze, że pasuje on do Wojen Krzyżowych albo Reformacji. Ale nawet jeżeli do Wojen Krzyżowych i do Reformacji pasuje świetnie, to jawnie nie pasuje do nowoczesnych systemów totalitarnych, które właśnie polegają na tym, że jednostka obdarzona władzą dyktatorską ma ogromny margines swobody w podejmowaniu decyzji. W ustroju totalitarnym zdeterminowanie „świadomości” tej jednostki

przez „byt” wydaje się wysoce problematyczne. Ma ona znaczną swobodę wyboru, czy się liczyć z „warunkami ekonomicznymi”, „intereselem klasy, którą reprezentuje” itp., czy się nie liczyć; i doświadczenie pokazuje, że nierzadko decyduje zupełnie swobodnie, ze względami tymi nie licząc się. Moim zdaniem mało zrozumienia dla struktury ustroju totalitarnego wykazuje ten kto np. wyjaśnia walki w łonie politbiura sowieckiego przez różnice poglądów na temat rolnictwa, te zaś różnice z kolei przez różnice interesów grup społecznych których poszczególni członkowie Politbiura są wyrazicielami. O wiele więcej sensu ma wysunięcie na plan pierwszy motywu zdobycia, powiększenia i utrzymania władzy i traktowanie różnic w poglądach na rolnictwo jako środków walki o tę władzę. W tych sporach o rolnictwo w istocie chodzi o władzę, a nie o rolnictwo. Ten model wyjaśniania nie jest oczywiście niczym nowym; tego rodzaju poglądy lansowali jeszcze w XIX w. klasycy liberalizmu brytyjskiego, a w w. XX propagował je m.in. Bertrand Russell. Model ten wydaje się cenny pod warunkiem, że się pamięta, że on też ma ograniczone pole zastosowania. Mimo to szkoda, że w naszych czasach model ten uległ pewnej depopularyzacji, ustępując miejsca potwornie nadużywanemu modelowi marksistowskiemu. Czytelnik z łatwością zauważy, że w próbach wyjaśniania wydarzeń, którymi się tu zajmuję, będąc się posługiwał głównie właśnie tym modelem.

IV

Po tej dość długiej dygresji możemy wrócić do sprawy zasadniczej. Wspomniałem, że w literaturze na temat XX Zjazdu K.P.Z.R. znalazłem jedną myśl szczególnie interesującą. Mam na myśli przypuszczenie sformułowane na łamach „Kultury” przez Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, że celem Chruszczowa było to, żeby stalinowskie metody rozprawiania się z przeciwnikami skompromitować tak doszczętnie, aby w przyszłych walkach o władzę nikomu już więcej nie opłacało się do tych metod uciekać.

Hipotezę tę uważam za interesującą przede wszystkim dlatego, że jednym z najsilniejszych możliwych motywów ludzkich jest strach przed torturami. Członkowie Politbiura sowieckiego znajdowali się w sytuacji, w której ewentualność ta mogła być jak najbardziej realna: przeszłość uczyła, że do tego wystarczył jakiś fałszywy krok, jakieś powinięcie się nogi, jakieś przypadkowe wzbudzenie nieufności silniejszego przeciwnika. Dalszy przebieg wydarzeń pokazał, że walka o dziedzictwo po Stalinie w momencie XX Zjazdu dopiero zaczynała się na dobre. Liderzy partii sowieckiej musieli być tego świadomi i w tej sytuacji ich strach przed *brainwashing*’iem musiał urastać do rozmiarów panicznych. Wydaje mi się prawdopodobniejsze, że na referat Chruszczowa wyraziły zgodę wszystkie później obalone wielko-

ści, które wtedy jeszcze w Politbiurze rezydowały, niż że był on osobistą inicjatywą Chruszczowa, która zaskoczyła pozostałych; referat taki leżał w końcu we wspólnym interesie wszystkich. Jakkolwiek było, referat ten nie załatwiał żadnego problemu personalnego. Ci panowie bynajmniej nie rezygnowali z walki ze sobą, a tylko i wyłącznie zobowiązywali się, że nie będą się ze sobą rozprawiać metodami Stalina. Referat stwarzał swoistą gwarancję, że zobowiązanie zostanie dotrzymane. To był cel, dla którego zdecydowano się na krok politycznie samobójczy. Z motywów czysto osobistych ludzie ci nie wahali się wystawić państwo, którym władali, na pośmiewisko jego wrogów, doprowadzić do masowego opuszczania szeregów partii komunistycznych przez najwartościowszych ich członków, ryzykować anarchię wewnątrz kraju i porażki dyplomatyczne w polityce zagranicznej. Fakt, że okres najostrzejszych walk o władzę w Sowietach nastąpił po tym wydarzeniu oraz że w walkach tych, mimo ich brutalności, do *brainwashing'u* ostatecznie nie doszło, stanowi pewne pośrednie potwierdzenie hipotezy Weissberga *ex post*.

V

Hipoteza Weissberga dowodzi, że może zaistnieć taka sytuacja, kiedy w interesie rządzących leży faktyczne rewoltowanie rządzonych przeciwko sobie. Poprzednie moje uwagi zmierzały do tego, żeby wykazać, że taka sytuacja zaistniała w r. 1956 także w Polsce. Dlaczego?

Kluczem do rozwiązania zagadki są wydarzenia VI Plenum K.C. P.Z.P.R., które się odbywało w Warszawie w połowie marca 1956. Z różnych niedyskrecji wiadomo już dzisiaj dość dobrze, co wtedy zaszło. W Warszawie pojawił się Chruszczow, oficjalnie po to, aby peregrynować pieszo z Nowego Świata na Powązki za trumną Bieruta, faktycznie po to, aby nie dopuścić do wyboru na jego następcę nikogo z ludzi Stalina. Tę samą politykę Chruszczow realizował także na Węgrzech i w Bułgarii, usuwając Rakosiego i Czerwenkowa; że było to działanie racjonalne, tego dowodzi przykład Albanii, gdzie ręce Chruszczowa okazały się za krótkie i gdzie obecność ludzi Stalina u władzy stała się w końcu dla niego źródłem tyłu nieprzyjemności. Wiadomo dość dobrze, że gdyby nie presja Chruszczowa, na sekretarza generalnego K.C. P.Z.P.R. byłby wówczas wybrany Roman Zambrowski. Kandydatem proponowanym wtedy przez Chruszczowa był jakoby Zenon Nowak; ostateczny wybór Edwarda Ochaba był jakoby rezultatem kompromisu. W każdym razie kandydaturze Ochaba Chruszczow się już nie sprzeciwiał.

Interwencja Chruszczowa stawia grupę kierowniczych komunistów, którzy faktycznie rządzą Polską za czasów Stalina, w położeniu rozpaczliwym. Stanowi dla nich jawną wskazówkę, że przestali się cieszyć zaufaniem mocodawców i tym samym, że

ich dni są policzone; że muszą odejść i ustąpić miejsca ludziom nowym, którzy cieszą się zaufaniem nowych ludzi na Kremlu. Rozpaczliwość ich sytuacji pogłębia fakt, że przeciwko nim jest armia, na czele której stoi rosyjski generał, który do ich siuchty nie należy. Jedyna realna siła, jaką jeszcze dysponują, jest policja. W tym układzie sił los tych ludzi wydaje się przypieczętowany.

Kto należał do tej grupy i kim byli ludzie, na których obecnie stawiał Chruszczow? Ludzie, którzy faktycznie rządili Polską w czasach Stalina, to przede wszystkim Bolesław Bierut, Roman Zambrowski, Jakub Berman, Hilary Minc i Franciszek Mazur. Ta piątka miała oczywiście całą armię dependentów, którzy zapewniali jej większość, gdzie tylko było potrzeba. Po śmierci Bieruta na czoło grupy wysuwa się wyraźnie Zambrowski. Natomiast Mazur, który zaczyna zerkać na stronę przeciwną, próbując, zresztą bezskutecznie coś z łaski Kremla dla siebie wyżebrać, zostaje przez grupę wyraźnie odsunięty. W sztabie grupy znajdują się w tym czasie m.in.: Jerzy Albrecht, Antoni Alster, Tadeusz Daniszewski, Ostap Dłuski, Maria Federowa, Romana Granas, Piotr Jaroszewicz, Helena Jaworska, Leon Kasman. Julian Kole, Wincenty Kraśko, Władysław Matwin, Jerzy Morawski, Marian Naszkowski, Mateusz Oks, Józef Olszewski, Jerzy Putrament, Mieczysław Rakowski, Adam Schaff, Artur Starewicz, Jerzy Sztachelski, Roman Werfel i Janusz Zarzycki. Niewątpliwie zbliżona do tej grupy jest większość byłych PPS-owców w K.C., konkretnie Józef Cyrankiewicz, nieżyjący już dziś Tadeusz Dietrich, Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Lucjan Motyka, Adam Rapacki, Marian Rybicki i może przede wszystkim Andrzej Werblan. W swoim czasie poważną rolę odgrywali, dziś już całkowicie odsunięci sekretarze komitetów wojewódzkich największych miast: Stefan Staszewski i Stanisław Kuziński z Warszawy, Michalina Tatarówna-Majkowska z Łodzi oraz Jan Kowarz z Wrocławia.

Grupa przeciwna składa się przeważnie z młodszych stażem członków K.C., zbuntowanych przeciwko piątce i gorliwych w zaprowadzaniu w Polsce nowego kursu, wyznaczonego przez Moskwę. Na czoło grupy wybija się Zenon Nowak. Na nieco niższym szczeblu jest kilku energicznych, ale wyjątkowo brutalnych i wyjątkowo niedoświadczonych działaczy jak Stanisław Brodziński Wiktor Kłosiewicz, Władysław Kruczek, Stanisław Łopot, Kazimierz Mijał, Bolesław Rumiński, Jan Trusz i Kazimierz Witaszewski. Poparcie Moskwy zapewnia tej grupie automatycznie posłuszną solidarność ze strony niedotkniętej ekskomuniką Chruszczowa części Politbiura: stąd w tym czasie z grupą tą sympatyzują tacy starsi działacze jak Aleksander Zawadzki, Konstanty Rokossowski, Franciszek Jóźwiak, Hilary Chełchowski i Stefan Matuszewski. Wszystkich ich razem nazywano później „Natolińcykami”. Natomiast na określenie pierwszej grupy w żargonie partyjnym utarła się nazwa „Grupa Puławska”. Nazwa ta nigdy jednak nie spopularyzowała się tak dalece jak poprzednia i o ile

przeciętny Polak potrafiłby z łatwością odpowiedzieć na pytanie, co to jest „Natolin”, rzadko kiedy umiałby wyjaśnić, co to są „Puławy”. Ale menadżerzy tych grup nazywają się wzajemnie od dawna inaczej. Dla Puławian Natolińczycy to „chamy”, a dla Natolińczyków Puławianie to „żydy”. Obie nazwy świadczą chlubnie o ideologicznym wyrobieniu i głębi socjalistycznych przekonań jednych i drugich.

Po interwencji Chruszczowa na VI Plenum sprawa wydaje się więc jasna. „Żydy” muszą odejść i ustąpić miejsca „Chamom”. Wszelki opór wydaje się w tej sytuacji beznadziejny.

Ale komuniści tak łatwo z władzy nie rezygnują. Puławianie w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej, do walki przystępują, rozgrywają ją z godnym podziwu mistrzostwem i kończą absolutnym zwycięstwem.

Ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za koszmarny terror policyjny, nieludzki ucisk, wymordowanie setek najlepszych i najwartościowszych ludzi i zniszczenie kultury polskiej, decydują się teraz wyzyskać jako swój podstawowy atut w walce z przeciwnikami... opinię publiczną.

Okazja sama się nadarza. Jest nią ów nieszczęsny referat Chruszczowa. Impreza zostaje wyreżyserowana w ten sposób, że nawet kilkuletnie dzieci wpuszcza się na zebrania, na których dowiadują się one szczegółów tortur, wymuszania zeznań, ludobójstwa itp. Na zebraniach tych pojawia się kilku, stale tych samych, stosunkowo mniej skompromitowanych członków grupy: Jerzy Morawski, Władysław Matwin, Leon Kasman, Stefan Staszewski. Jak chłopcy na posyłki krążą oni od fabryki do fabryki i od instytucji do instytucji i wszędzie pokazują, jak ich serce boli. Nie ważne jest zresztą co mówią i jak się zachowują; ważne jest, że w tłum idzie wieść: „Istnieje w kierownictwie partyjnym grupa „Młodych Sekretarzy”. To są uczciwi komuniści, którzy szczerze dążą do demokratyzacji. Trzeba im pomóc”. Opinię publiczną trudno było zmusić, żeby identyfikowała się z Bermanem, Mincem i Zambrowskim. Rzecz aranżowano więc tak, żeby się zaczęła identyfikować z Morawskim i Matwinem.

Grupa ma wciąż w swoim ręku cenzurę, prasę i posłusznych pisarzy. Cenzura i redakcje dostają jak najbardziej liberalne wytyczne i w prasie zaczynają się pojawiać jeden po drugim odważne, reformatorskie, konsekwentnie demokratyczne artykuły, polemiki i felietony Jerzego Putramenta, Adama Schaffa, Stefana Arskiego, Zbigniewa Mitznera, Edmunda Osmańczyka, Henryka Korotyńskiego i wielu innych. Opinia publiczna zaczyna widzieć, że może liczyć na intelektualistów partyjnych. Nawet jeżeli w przeszłości błędzili, to dziś, gdy zrozumieli swoje błędy, odważnie i bez wahań piszą prawdę.

Wstrząs jest jednak silny, tym bardziej, że zarówno na zebraniach publicznych, jak i na łamach prasy sytuację szybko wykozystują jednostki, które przez grupę nie są kontrolowane i które

potrafią przemawiać i pisać zręczniejsi niż ci, którzy robią to na rozkaz. Rozbudzona opinia domaga się przede wszystkim dwóch rzeczy: reform i ukarania winnych. Z pierwszym nie ma kłopotu: Puławianie są teraz najdemokratyczniejsi i najliberalniejsi w świecie. Ale co zrobić z drugim problemem? Podjęta zostaje decyzja bolesna. Najbardziej zniechęcony i skompromitowany Jakub Berman zostaje poświęcony na ołtarzu sprawy. Dodaje mu się do towarzystwa trzech oficerów Bezpieczeństwa, niezręcznie w ten sposób sugerując, że gdyby ci trzej oficerowie nie narobili, wszystko byłoby O.K. Opinia jest wyraźnie niezadowolona. Wobec tego jeszcze paru figurantów (Dworakowski, Świątkowski) idzie w odstawkę. To wszystko jednak mało.

Grupa zaczyna rozumieć, że problem odpowiedzialności osobistej musi być rozegrany inaczej, środkami bardziej subtelnymi. Przy pomocy inspiracji, perswazji, aluzji i przede wszystkim plotki, wędrującej kanałami prywatnymi, nieoficjalnymi. W fabrykach, biurach, redakcjach, kawiarniach pojawiają się ucziwi, pełni dobrej woli członkowie partii, którzy zawsze mają czas, wysłuchują skarg, długo i cierpliwie tłumaczą, informują, sugerują. Zniknęli władczy, fanatyczni, nieprzystępni, niedopuszczający do dyskusji biurokraci. Widać, że członkowie Partii to tacy sami ludzie, jak wszyscy inni; widać, że oni też byli ofiarami stalinizmu. Wśród tych sympatycznych członków Partii jest sporo kobiet. Inteligentne, dobrze poinformowane, nie zachowujące żadnego dystansu, gotowe z każdym być na „ty” z łatwością potrafią przekonać swoich rozmówców o słuszności wspólnej sprawy!

Parę wspomnień osobistych. Koleżanka z pracy, członek rodziny jednego z najwyższych dostojników partyjnych, informuje mnie i parę innych osób, że „Zambrowski to bardzo porządny człowiek. On naprawdę szczerze i uczciwie zmienił przekonania. Za to Zawadzki to straszna świnia”. Żona dyrektora departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w większym gronie w kawiarni długo tłumaczy, że domaganie się odpowiedzialności osobistej za wyczyny w okresie stalinowskim, to tylko woda na młyn Natolińczyków, bo oni tym hasłem demagogicznie szermują po to, żeby rozpętać hecę antysemitką. Oficer Dywizji Kościuszkowskiej, łączniczka Zambrowskiego opowiada mi długo w nocy o tym, jak na froncie wschodnim przewoziła od Zambrowskiego do Alfreda Lampego i z powrotem jakieś konspiracyjne materiały i jak w trzy dni potem Lampe już nie żył, jej zdaniem niewątpliwie zamordowany. Podają te trzy przykłady jako coś typowego: Uwaga tych doradców i doradczyń była całkowicie pochłonięta sprawami personalnymi, a nad wszystkim dominowała intencja tworzenia alibi dla szefa i jego kompanów oraz przerzucenia odpowiedzialności na innych.

VI

W lipcu 1956 r. spadają na Puławian trzy ciosy. Wizytujący Polskę w czasie święta 22 lipca Bułganin w oficjalnym przemówieniu atakuje w gwałtowny sposób całą polską prasę. Niemal jednocześnie w czasie odbywającego się w tym samym miesiącu VII Plenum K.C. P.Z.P.R. Natolińczycy występują z dwiema groźnymi inicjatywami. Wiktor Kłosiewicz domaga się wprowadzenia do K.C. Gomułki, a Zenon Nowak wygłasza dłuższy, nazpikowany danymi statystycznymi referat, ilustrujący jaki odsetek stanowisk w różnych resortach zajmują Żydzi.

Przemówienie Bułganina było oczywiście pomyślane jako ostrzeżenie grupy przed dalszym rozrabianiem opinii. Groźba poskutkowała: kleszcze cenzury, nieco już ściśnięte po wypadkach poznańskich, po przemówieniu Bułganina zostają mocno zaciśnięte i konfiskaty sypią się jedna za drugą. Na propozycję w sprawie Gomułki grupa odpowiada sprzeciwem: bądź co bądź to Zambrowski podpisywał nakaz aresztowania byłego sekretarza generalnego K.C. Na plenum sprzeciw ten w imieniu grupy wyraża Stefan Staszewski, a panie mówią po kawiarniach, że „nie należy dawać posłuchu pretensjom, które mają już dziś charakter historyczny”. Obie te reakcje nie były szczególnie mądre i w obu wypadkach przyszło wkrótce do zmiany decyzji. Natomiast reakcja na przemówienie Nowaka i w ogóle cała sprawa żydowska została rozegrana z niebywałym mistrzostwem.

Sens przemówienia Nowaka był jasny. Da ono się streścić w słowach: „Jak wy będziecie dalej tak szermować swoim liberalizmem przeciwko nam, to my przeciwko wam poszerzujemy antysemityzmem i zobaczymy, za kim pójdą wtedy masy”. Tej raczej banalnej myśli służyła cała rozbudowana statystyka. Grupa Puławska nie była bynajmniej, jak to później Natolińczycy usiłowali sugerować, grupą ekskluzywnie żydowską. Ale grupa Natolińska była „rasowo czysta” i dlatego, w przeciwieństwie do pierwszej, na luksus antysemityzmu mogła sobie pozwolić.

Przemówienie Nowaka było na razie pogróżką; próba jej realizacji nastąpiła dopiero później. Mimo to Puławianie od razu ruszyli do kontrataku.

Przede wszystkim pogwałcono zupełnie zasadę tajemnicy obrad Plenum. Kto chciał i kto nie chciał, musiał słuchać, jak komunizm jest hańbiony przez rasistowskie przesady niektórych towarzyszy. Ze wszelkimi szczegółami i z wymienianiem nazwisk opowiadano, co powiedział Nowak i jak mu replikowano. Nie ograniczono się w tym do ostatniego Plenum: nagle się okazało, że już na poprzednim Plenum Chruszczow robił jakieś antysemityczne uwagi i dowcipy. Kolportując rzekomo wypowiedziane wtedy przez Chruszczowa powiedzonka Puławianie osiągnęli dwa cele uboczne: kompromitowali antysemityzm Natolińczyków przez wskazywanie na jego moskiewskie pochodzenie oraz sugerowali, że rzeczywistym powodem sprzeciwu Chruszczowa wobec kandy-

datury Zambrowskiego było jego żydowskie pochodzenie, co, nawet jeżeli dowcipy są prawdą, jest już zupełnie nieprawdopodobne. Od tej pory propaganda Puławian staje się mniej lub bardziej otwarcie antysowiecka.

W kształtowaniu opinii publicznej Puławianom udaje się dokonać jeszcze jednej niebywale zręcznej wolty. Udaje im się mianowicie wykorzystać sprawę żydowską do likwidacji tak bardzo niewygodnego dla nich problemu odpowiedzialności osobistej za wyczyny z okresu stalinowskiego. Kto tę sprawę podnosi, zostaje natychmiast okrzyknięty jako antysemita. Przykładem tego, jak manipulowano straszakiem antysemityzmu tam, gdzie czyjeś pochodzenie żydowskie nie miało najmniejszego znaczenia i gdzie naprawdę chodziło o coś całkiem innego, może być nieco późniejsza już sprawa Burgina. Juliusz Burgin był w czasach stalinowskich dyrektorem jednego z departamentów Ministerstwa Bezpieczeństwa. Z tej racji został po październiku przesłuchany przez specjalną komisję do badania działalności wspomnianego resortu. Coś istotnego musiało w trakcie tego przesłuchania wyjść na jaw, skoro natychmiast po przesłuchaniu Burgina odwołano ze stanowiska rządowego, które wówczas zajmował. Zanim wiadomość o jego odwołaniu mogła ukazać się w prasie, „Przegląd Kulturalny” zamieścił idiotyczny i histeryczny artykuł Burgina o tym, jak Żydzi uciekają z Polski do Izraela, nie mogąc znieść poniżeń i upokorzeń, które ich na każdym kroku w Polsce spotykają. Cel był jasny: stworzyć wrażenie, jakoby dymisja była represją za artykuł, odwrócić tym samym uwagę od ciemnej przeszłości i jednocześnie rzucić podejrzenie, że wszystko razem było rozgrywką na tle rasowym. Z artykułem Burgina podjęła najzupełniej słuszną polemikę trójka młodych redaktorów z „Po Prostu”, o których zaczęto natychmiast po kawiarniach szeptać: „to antysemita!”. Miałem w Warszawie znajomą, zwyczajną aferzystkę i złodziejkę, Żydówkę, która oskarżała o antysemityzm wszystkich, którzy wysuwali pod jej adresem pretensje finansowe. Dobra szkoła grupy Puławskiej odnosiła rezultaty. Doszło do tego, że ludzie naprawdę zaczęli wierzyć, że tylko antysemita łączy odpowiedzialności za zbrodnie stalinizmu i że po to, aby do antysemityzmu nie dopuścić, należy z żądań tych zrezygnować. Ten kto żądał ukarania ubeka-nieŻyda, też był okrzykiwany antysemitą. Wielokrotnie powtarzany absurd był w końcu brany na serio.

Do akcji zmobilizowano prasę. Zaapelowano do różnych ludzi cieszących się autorytetem, którzy zaczęli publikować artykuły na temat antysemityzmu. Najlepiej spełnił jednak swoje zadanie bodajże Jerzy Broszkiewicz, który podkreślił, że antysemityzm „dawno już przekroczył progi komitetów partyjnych”. O takie wskazywanie palcem przecież chodziło. Zainspirowano też na wielką skalę prasę zachodnią. Inspirowanie prasy zachodniej przez grupę Puławską zdarzało się już zresztą i dawniej; było to jednak raczej inspirowanie indywidualnych korespondentów

czy poszczególnych artykułów. Tu po raz pierwszy zrobiono to na znacznie większą skalę. Charakterystyczny był podział ról pomiędzy prasą krajową i zagraniczną. O ile prasa krajowa biła przede wszystkim na alarm, że antysemityzm jest hańbą dla narodu polskiego, klasy robotniczej, partii komunistycznej itp., o tyle prasa zachodnia akcentowała przede wszystkim moskiewskie pochodzenie zarazy. Natomiast zarówno prasa krajowa jak i zachodnia zgodnie oceniały, że antysemityzm jest w Polsce czymś bardzo potocznym i występuje notorycznie.

Chcę być dobrze rozumiany. W najmniejszym stopniu nie jest moją intencją bądź lekceważenie antysemityzmu, bądź tym bardziej jego usprawiedliwianie. Chcę tylko jasno powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, że w ocenie nastrojów antysemitycznych w Polsce w tym czasie znacznie przesadzono i to celowo przesadzono. Przekonali się o tym najlepiej Natolińczycy, kiedy w okresie przewrotu październikowego spróbowali pogroźkę Nowaka zrealizować i swojej propagandzie istotnie nadali ton antysemityczny. Akcja ich zakończyła się kompletnym fiaskiem. Donoszono wtedy o sprowokowaniu jakichś zajęć na Dolnym Śląsku, ale osobiście nie znam ani jednego faktu sprawdzonego, a w każdym razie ani jednego faktu, co do którego zachodziłaby pewność że zajęcie wynikało istotnie na tle antagonizmu rasowego. Podana bodajże przez Romana Zimanda wiadomość o zamordowaniu jakiegoś Żyda w biały dzień na Dworcu Głównym we Wrocławiu okazała się czystym wymysłem. Oceniając rzecz z punktu widzenia czystej taktyki politycznej Natolińczycy, decydując się na otwarty antysemityzm popełnili błąd katastrofalny. Niewątpliwie działali w przekonaniu, że antysemityzm jest w Polsce czymś „chwytliwym” i że przy jego pomocy „trafią do mas”. W rzeczywistości przekonanie to było stereotypem, uzasadnionym może dziesięć lat wcześniej, ale w tym czasie od dawna zupełnie już nieaktualnym. Propaganda natolińska okazała się przysłowiowym grochem o ścianę. Nikt się na ten numer nie nabierał i nikt się do bicia Żydów nie śpieszył. Natolińczycy dali w ten sposób tylko broń do ręki swoim przeciwnikom, którzy potrafili po mistrzowsku wykorzystać ludzkie oburzenie moralne na antysemityzm dla własnych celów, nic ze sprawą żydowską nie mających wspólnego.

Ale chciałbym wyraźnie powiedzieć jeszcze coś innego. To mianowicie, że ani Natolińczycy ani w ogóle antysemita nie mają bynajmniej monopolu działania na szkodę ludności żydowskiej w Polsce. O ile nastroje antysemityczne w Polsce w r. 1956 były już bardzo słabe, o tyle Puławianie swoją praktyką oskarżania o antysemityzm każdego, kto miał do nich o cokolwiek pretensję zrobili wszystko, żeby nastroje te wzmocnić. Sytuację pogarszała jeszcze ta okoliczność, że w środowisku Puławian było mnóstwo pospolitych afer kryminalnych na wielką skalę (sprawa Lucjana Pennera, sprawa Józefa Krakowskiego, różne sprawy handlu zagranicznego i przede wszystkim porwanie Bohdana Piaseckiego),

które w ogólnej atmosferze walki z antysemityzmem sprawcom uchodziły na ogół na sucho. Ale to nie wszystko. Umożliwienie Żydom polskim emigracji do Izraela było zapewne inicjatywą Puławian. Puławianom musiało zależeć na tym, żeby raz na zawsze pozbawić swoich przeciwników okazji do manewrowania antysemityzmem; usunięcie ludności żydowskiej z Polski było najlepszym środkiem, prowadzącym do tego celu. Za to żydostwo całego świata może być Puławianom tylko wdzięczne. Tylko, że cały ten plan został wykonany może z nieco przesadną konsekwencją. Tel-Aviv czy Haifa są dzisiaj miastami, które pod względem odsetka mieszkańców mówiących po polsku śmiało mogą konkurować z Chicago czy Detroit. Tylko w przeciwieństwie do Chicago czy Detroit żadne polskie dziecko z Tel-Avihu czy Haify nie zostanie nigdy zaproszone do Polski na kolonie wakacyjne, nikt w Warszawie się nie zatroszczy, żeby do tych miast docierały polskie książki i polska prasa, a śmiałkom, którzy decydują się iść do konsulatu P.R.L. w Tel-Awivie prosić o wizę, niemal zawsze pokazuje się drzwi, i to bez względu na to, jaką ilością dewiz petenci ci dysponują. Jak widać z powyższego władzom P.R.L. nie zawsze jest obojętne, kto jest ochrzczony, a kto obrzezany. I to jest skutek polityki Puławian, a nie Natolińczyków ani żadnych innych sił w P.Z.P.R.

VII

Rozpisałem się tutaj o sprawie żydowskiej dlatego, że na ten temat było w r. 1956 szczególnie dużo zamieszania. Ale mimo to kampania prowadzona w tej sprawie przez Puławian począwszy od lipca 1956 r. była czymś na marginesie kampanii zasadniczej, która polegała na systematycznym, imiennym kompromitowaniu swoich przeciwników.

Zaraz po VII Plenum K.C. zostają szeroko roztrąbione pierwsze informacje o Natolińczykach. Poza informacjami o ich antysemityzmie podkreśla się w szczególności ich antyinteligencność, ich stalinowskie poglądy i nawyki oraz ich powiązania z ambasadą radziecką. Ostatnia informacja była bezwątpienia prawdziwa. Także informacja o antyinteligencności Natolińczyków była prawdziwa, niezależnie od faktu, że ten moment nie bez powodu był wysunięty na plan pierwszy. Do stylu działania Puławian należało bowiem zawsze zaczynanie „od góry” społeczeństwa. Każdy działacz tej grupy miał prywatne powiązania z jakimiś środowiskami intelektualnymi lub artystycznymi, przeważnie warszawskimi. Każdą plotkę, każdą sugestię, każdą inspirację puszczano w obieg przede wszystkim tymi kanałami; dopiero później rozchodziły się one po całym społeczeństwie i po całym kraju. Rzecz prosta, informacja o antyinteligencności Natolińczyków dla tych środowisk musiała mieć walor szczególnie mobilizujący; ona w pierwszym rządzie zapewniała Puławianom poparcie tych środowisk.

Natomiast jeżeli chodzi o stalinizm Natolińców, to ta etykieta jest w stosunku do nich uzasadniona na pewno nie bardziej, a może nawet trochę mniej, niż w stosunku do Puławian. Za czasów Stalina Natolińcy w opozycji nie byli z pewnością i dyrektywy spełniali gorliwie. Ale gwardia stalinowska w Polsce, to przede wszystkim Puławianie, a Natolińcy to raczej ludzie Chruszczowa. Natolińcy domagali się odpowiedzialności personalnej za zbrodnie U.B., podczas gdy Puławianie wywijali się jak mogli i zrobili wszystko, żeby sprawę utopić. Oczywiście było w tej taktyce natolińskiej sporo demagogii i są wszelkie dane, aby się dziwić, że ta odpowiedzialność miała też pewne, z góry zakreślone granice. Ale mimo wszystko sam fakt, że Natolińcy dyskusję na ten temat prowokowali, a Puławianie bali się jej jak zarazy, o czymś świadczy.

Puławianie nie cofają się przed żadnym środkiem personalnej kompromitacji swoich przeciwników. Czego nie można w prasie napisać wprost, to się robi przy pomocy aluzji, na którą czytelnik jest w tym czasie szczególnie wyczulony. Po kraju krąży w robionych na maszynie odpisach wierszyki satyryczne o Witaszewskim, Łapocie czy Józwiaku. Szerokie warstwy ludności zostają poinformowane o tym, jak wysokie są pensje Kłosiwicza, Mijala czy Nowaka, ile mają oni willi do swojej dyspozycji i jak wyglądają orgie seksualne w tych willach urządzone, zupełnie tak, jakby ministrowie puławscy nie otrzymywali tych samych poborów, nie mieli tych samych willi i jakby ich obyczajowości nie można było nic zarzucić. Dla Puławian w tym okresie względy lojalności wobec partii czy względy na interes państwa przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Ich agenci nie zajmują się dosłownie niczym konstruktywnym: cała ich uwaga pochłonięta jest wyłącznie personalnymi i siuchtowymi rozróbkami. Aparat wykonawczy władzy państwowej zostaje celowo doprowadzony do stanu kompletnej dezorganizacji i absolutnej niemocy.

Natolińcy reagują na to wszystko ze stoickim spokojem. Niewątpliwie wychodzą z założenia, że skoro oni mają w swoim ręku poparcie Kremła i armię, to przeciwnicy mogą sobie krzyczyć dowoli: los sporu jest i tak przesądzony. Niewątpliwie tak samo rozumuje stary puławski agent, Bolesław Piasecki i dlatego stawia on w tym czasie ostatecznie na konia natolińskiego. Kiedy to całe towarzystwo się ze słodkiej drzemki ocknęło, było już za późno. Piasecki mógł przynajmniej bronić swego mocno nadwątlonego honoru na łamach „Słowa Powszechnego”, ale Natolińcom pozostały już do dyspozycji tylko powielacze.

VIII

Decydująca batalia zostaje rozegrana przez Puławian niezwykle zresztą mimo, że nie odnoszą oni w końcu sukcesu tak

olśniewającego, jaki sobie wymarzyli. Przede wszystkim udaje im się w końcu zjednać sobie Gomułkę. Pozbawiony własnych ludzi w aparacie partyjnym i możliwości realizowania własnych zamierzeń, Gomułka ma do wyboru bądź pozostać na uboczu, bądź stać się figurantem którejś z ubiegających się teraz o firmę jego nazwiska frakcji. Niewątpliwie do obu frakcji odnosi się ze wstrętem: jeżeli w końcu wybiera wykazujących mniej gotowości do ustępstw wobec niego Puławian, to niewątpliwie decyduje tu moment zależności Natolińczyków od ambasady sowieckiej. W długich, przeciągających się targach z Puławianami Gomułka stara się zapewnić sobie możliwie jak najlepszą i jak najsamodzielniejszą pozycję, stawia warunki. Udaje mu się zapewnić sobie stanowisko sekretarza generalnego, wprowadzić maksymalną ilość swoich ludzi na kluczowe pozycje, doprowadzić — po długich oporach Puławian — do usunięcia Minca. Mimo to jest całkowicie w rękach dysponujących większością w K.C. i w aparacie Puławian. Może co najwyżej liczyć na to, że z biegiem czasu zakres jego osobistej władzy się powiększy.

W tym momencie przygotowania do przewrotu są właściwie zakończone. Na trzy czy cztery dni przed VIII Plenum prasa nagle zaczyna robić *publicity* dla oficjalnie od siedmiu lat zapomnianego wodza. Następuje jednak interwencja sowiecka.

Puławianie zapewne celowo kompletnie zdeorganizowali aparat władzy w Polsce, żeby mieć potem wobec Chruszczowa argument, że przecież trzeba w Polsce dokonać jakichś zmian radykalnych po to, aby można było przywrócić porządek. Liczyli zapewne na to — i w tym się bynajmniej nie przeliczyli — że Chruszczowowi będzie bardziej zależało na przywróceniu porządku możliwie najprostszy sposobem i w możliwie najkrótszym terminie, niż na ochronie własnych agentów, którzy na dobitkę wykazali wręcz nieprawdopodobną nieudolność. Wydaje się jednak, że siła oporu Chruszczowa ich zaskoczyła. Nie mając w tym momencie już nic do stracenia, chwytają się środków radykalnych. Polskie Radio co chwilę powtarza z naciskiem, że Polska jest państwem suwerennym, a Komitet Warszawski P.Z.P.R. rozdaje broń robotnikom. Ten moment w ocenie wydarzeń jest szczególnie ważny. To nie opinia publiczna przez nieodpowiedzialne wystąpienia narażała kraj na interwencję sowiecką. Naprawdę na krawędź przepaści prowadziła kraj grupa pozbawionych skrępułów kombinatorów, kierując się wyłącznie motywem klikowego interesu. W tej sytuacji dochodzi do przyjazdu Chruszczowa i rozmowy Chruszczowa z Gomułką.

Zwracałem już wyżej uwagę na to, że rzeczywista treść tej rozmowy jest nikomu nieznaną. Ale spróbujmy, z pełną świadomością że możemy się mylić, trochę na temat tej rozmowy pospekulować.

Gomułka nie miał żadnych powodów do sympatii w stosunku do grupy Puławskiej. To byli przecież ludzie Bieruta, ci sami którzy jego i jego przyjaciół podgryzali, kompromitowali,

ośmieszali, upokarzali, a następnie aresztowali, więzili i torturowali. Co więcej, w czasie VIII Plenum musiał on rozpaczliwie szukać środków uniezależnienia się od ich kurateli. W tej sytuacji wydaje się chyba wysoce prawdopodobne, że Gomułka dążył do tego, żeby w oparciu o Chruszczowa kuratelę tę przynajmniej rozluźnić. Jego pozycja w rozmowie z Chruszczowem była o tyle dobra, że jawnie nie ponosił on odpowiedzialności za to, co się w danym momencie w Polsce działo. Mógł on przecież zawsze się powołać na to, że jeszcze trzy dni wcześniej był prywatną osobą nie mającą żadnych politycznych wpływów. Nie będąc naprawdę za nic odpowiedzialny, dążył on zapewne przede wszystkim do zrzucenia odpowiedzialności z siebie i obciążenia tych, którzy naprawdę byli za wszystko odpowiedzialni, tzn. Puławian. Swój sojusz z Puławianami mógł przed Chruszczowem umotywić tym, że był to dla niego środek dojścia do władzy i użycia jej w celu odbudowania rządzącego aparatu i przywrócenia w kraju porządku; wydaje się przy tym, że to był jego motyw rzeczywisty. Nie było mu zapewne trudno przekonać Chruszczowa, że w sojuszu z Natolińczykami zrobić tego samego nie było można; ci bowiem swoją nieudolnością i w ogóle całym swoim postępowaniem musieli i tak zdyskwalifikować się w oczach Chruszczowa kompletnie. (Zgoda Chruszczowa na odwołanie Rokossowskiego mogła być już prostą konsekwencją tego stanu rzeczy). Gomułka zapewne perswadował Chruszczowowi, że na uspokojenie opinii i przywrócenie porządku potrzeba czasu. Ale Chruszczow wiedział, że w razie użycia czołgów i karabinów maszynowych te same efekty też nie zostaną osiągnięte z dnia na dzień. Jeżeli dodamy do tego, że Chruszczow nie miał żadnych powodów do szczególnej nieufności wobec antystalinowskiego i przy tym niewątpliwie jak najbardziej komunistycznego działacza (w każdym razie nieufności większej, niż do innych satelickich dyktatorów), to w ogóle wszelkie racje użycia armat odpadały nawet, jeżeli Gomułka usiłował wykorzystywać swoją w gruncie rzeczy dosyć mocną pozycję do stawiania jakichś warunków.

Powtarzam, że to są tylko domysły, ale taki mniej więcej przebieg rozmowy wydaje mi się dość prawdopodobny tym bardziej, że dalsze wydarzenia wydają się taką hipotezę pośrednio potwierdzać. Z hipotezy tej wynika jednak kilka istotnych wniosków.

Po pierwsze, podobnie jak nieprawdą jest, że to opinia publiczna narażała kraj na konflikt zbrojny z Rosją, tak nieprawdą jest, że opinia publiczna przez swój polityczny rozsądek do konfliktu tego nie dopuściła. Armia Czerwona nie zaczęła strzelać w Warszawie nie dlatego, że opinia publiczna wykazała rozsądek, tylko dlatego, że nie było przeciwnika, do którego strzelanie miałoby jakikolwiek sens. Podobnie ta sama armia zaczęła strzelać w Budapeszcie nie dlatego, że tam opinia publiczna okazała się nierozsądna, tylko dlatego, że tam był taki przeciw-

nik. Różnica pomiędzy Gomułką a Imre Nagy'm i jego rządem była ta, że Gomułka obiecywał zahamować proces demokratyzacji i położyć kres dalszym żądaniom mas, podczas gdy Nagy występował w imieniu mas i w ich imieniu dalsze żądania wysuwał.

Po drugie w tym, co się w październiku 1956 r. w Warszawie stało, nie ma absolutnie żadnego elementu cudu. Wszystko było jak najbardziej naturalne i zrozumiałe. Nie jest wykluczone, że Chiny istotnie się sprzeciwiały kompromitującej cały blok wojnie pomiędzy kochającymi się bratnimi narodami. Ale zbawienie dla Warszawy przyszło nie z Pekinu, lecz z samej Warszawy. Gdy w Budapeszcie tej łaski boskiej zabrakło, to w Pekinie jej też nie było.

Po trzecie, cały „październik” był w gruncie rzeczy wielkim sowieckim sukcesem politycznym. Chruszczow przyleciał do Warszawy niewątpliwie przerażony tym, co się tam działo. Po paru godzinach mógł odlecieć spokojny, że sytuacja została opanowana i że w niedługim czasie anarchia zostanie ukrócona i porządek przywrócony. Panuje przekonanie, że Warszawa była sowiecką porażką a Budapeszt zwycięstwem. W rzeczywistości było chyba odwrotnie. W Warszawie i w Budapeszcie Chruszczow odniósł w końcu te same efekty: tylko że w Warszawie przy pomocy jednej gabinetowej rozmowy, a w Budapeszcie kosztem strat nieobliczalnych: kosztem groźby rozłamu, która długo jeszcze wisiała nad międzynarodowym ruchem komunistycznym, kosztem nieprawdopodobnych trudności w rokowaniach z Zachodem, kosztem utraty zaufania w państwach azjatyckich i afrykańskich, kosztem zupełnego niewykorzystania wspaniałej koniunktury sueskiej. Budapeszteński „sukces militarny” sukcesem politycznym nie był na pewno.

Po czwarte, „październik” oznacza zahamowanie procesu demokratyzacji w Polsce i punkt zwrotny, od którego zaczyna się cofanie. Jest to nawet nie tyle skutek tego, co Gomułka Chruszczowowi obiecywał i w ogóle jaki był przebieg ich rozmowy, ile skutek zmiany, jaka się dokonała w centralnym ośrodku władzy. Przed październikiem dwie grupy rywalizowały ze sobą o władzę nad narodem: po to, aby odnieść w tej rywalizacji sukces musiały starać się o pozyskanie opinii a po to, aby tę opinię pozyskać, musiały pójść na jakieś wobec niej ustępstwa. Przewrót październikowy tę pomyślną koniunkturę likwiduje: z dwóch grup rywalizujących pozostaje na placu boju tylko jedna, która nie ma już więcej żadnego interesu w tym, żeby czynić wobec mas jakiegokolwiek ustępstwa. W interesie narodu polskiego leżało w r. 1956 utrwalenie stanu skłócenia i słabości władzy, a nie przechylenie szali na korzyść którejkolwiek ze stron. Tylko dzięki temu, że władza była wtedy skłócona i słaba, możliwe były tak szybkie postępy demokratyzacji jak te, które się dokonały między VI a VIII Plenum K.C. P.Z.P.R. Skupienie całej władzy w ręku Puławian w październiku 1956 kładzie tej wyjątkowej

koniunkturze kres. To, co się w Polsce działo między marcem a październikiem 1956 r. było swoistą namiastką systemu wielopartyjnego. Fakt rywalizacji jakichś grup o władzę stwarzał automatycznie pewne, bardzo zresztą niedoskonałe, formy kontroli władzy mimo, że nie było ani parlamentu, ani wolnych wyborów, ani innych elementów ustroju demokratycznego. Natomiast przewrót październikowy jest powrotem do zupełnej dyktatury. Dla sił demokratycznych w Polsce był to cios straszliwy.

Zanim przejdę do ostatniego, piątego punktu, chcę od razu wspomnieć o pewnym możliwym zarzucie, którego postawienia w tym miejscu się spodziewam. Łatwo mianowicie wskazać na to, że szereg istotnych reform zostało przeprowadzonych już po październiku. Wśród tych reform najważniejszymi były: 1) likwidacja U.B. 2) odwołanie „doradców radzieckich”, 3) uregulowanie stosunków z Kościołem oraz 4) dopuszczenie do samolikwidacji kołchozów. Na zarzut ten odpowiem jednak za chwilę wtedy, kiedy będę się zajmował sytuacją, jaka powstała w Polsce po przewrocie.

Wreszcie wniosek piąty i ostatni. Cała historia październikowa polegała na wyjątkowo cynicznym i trzeba powiedzieć wyjątkowo skutecznym oszukiwaniu opinii publicznej i wprowadzaniu jej w błąd. Masy robiły w istocie to, czego chcieli Puławianie. W pewnym momencie interesy mas i interesy Puławian były istotnie zbieżne: w interesie mas leżało wykorzystanie za wszelką cenę i z maksymalną konsekwencją stworzoną przez Puławian koniunkturę na demokrację. Ale masy na ogół wierzyły w uczciwe intencje „sił postępowych partii”, w cały czarno-biały obraz układu sił frakcyjnych w kierownictwie partyjnym, w demagogiczne obietnice, które im rzucano. Masy darzyły ogromnym zaufaniem Gomułkę wtedy, kiedy jego celem było maksymalne skoncentrowanie władzy w swoim ręku i użycie jej w celu cofnięcia reform, które już zostały dokonane i niedopuszczenia do następnych. Masy pokładały ogromne nadzieje w przewrocie, który był dokonany po to, żeby nadzieje te zawieść. Masy dały z siebie entuzjazm, taki, jaki dla każdego rządu każdego kraju byłby szczytem marzeń. Tylko że są rządy, które umieją wykorzystać entuzjazm swoich narodów dla przeprowadzenia rzeczy konstruktywnych bez uciekania się do bata. Natomiast rząd Gomułki i Cyrankiewicza z bata zrezygnować nie miał zamiaru ani przez chwilę. Dlatego ten entuzjazm był tylko rzeczą krępującą: czymś, co należało odepchnąć i co faktycznie odepchnięto w sposób możliwie jak najbardziej brutalny.

Wspomniałem wyżej o roli Wyszyńskiego w wypadkach październikowych. Postępowanie Wyszyńskiego było, jak sądzę, typowym przykładem działania opartego na dezorientacji i politycznie zupełnie nonsensownego. Być może Wyszyński popierał Gomułkę i pacyfikując opinię miał na względzie bezpieczeństwo kraju przed sowiecką interwencją. Ale sowiecka interwencja zależała od tego, jak się zachowają Puławianie, a nie od tego, ile

wieców urządzają studenci Politechniki i ile strajków zorganizują robotnicy. Rok później w czasie rozruchów po zamknięciu „Po Prostu” — aktywność studentów i robotników warszawskich bodaj przewyższała to, co było w r. 1956; a mimo to nikt o interwencji sowieckiej nie myślał, bo nie było konfliktu pomiędzy władzami polskimi i rosyjskimi. Być może Wyszyńskiemu chodziło o interesy Kościoła i wzmocnienie pozycji Kościoła. Ale uregulowanie stosunków z Kościołem było już w tym momencie sprawą przesądzoną i żadne przemówienia Wyszyńskiego nic w tym nie zmieniały. Przez swoje postępowanie Wyszyński osiągnął jedno: ustanowił wzór dla katolickich oportunistów. Postępowanie katolickich intelektualistów, zwłaszcza w sejmie, w ciągu lat ostatnich spotykało się już niejednokrotnie z jak najbardziej uzasadnionymi krytykami. Ale twórcą koncepcji politycznej, której intelektualiści ci są wyrazicielami jest w gruncie rzeczy Wyszyński. W momencie, w którym Wyszyński włączył się do akcji, sprawa Gomułki nie była już absolutnie sprawą demokracji w Polsce. W tym momencie jakiegokolwiek włączenie się w tę grę nie miało już żadnego sensu.

Analizuję tu postępowanie Wyszyńskiego dlatego, że było ono w tym momencie czymś typowym. Cały naród polski pokładał w przewrocie październikowym ogromne nadzieje i na ogół darzył przywódców przewrotu zaufaniem. Tym bardziej gorzka była pigułka, jaką dano narodowi później do przełknięcia, kiedy zdobyte tego okresu były likwidowane jedna po drugiej, kiedy Wyszyński i intelektualiści katolicy mogli się przekonać, jak naiwnie liczyli na trwałą stabilizację stosunków Państwa z Kościołem, kiedy najuroczystsze obietnice okazywały się cynicznymi kłamstwami. I kiedy na domiar wszystkiego zabroniono nawet pisać o październiku, a w najlepszym razie przedstawiano — co też jest legendą — całą jego historię, jako „reformę aparatu władzy”, jako środek, który miał na celu wyprowadzić ten aparat ze stanu niemocy, w jakim się on w r. 1956 znalazł i umożliwić mu efektywne działanie. Jak gorzko komentowano to wypieranie się i wstydzenie jedynej chwili, jaką można było polskim przywódcom komunistycznym poczytywać za chwalebna i ile złości wywoływała ta nowa legenda!

Za wcześnie jeszcze, żeby odróżniać ziarno autentycznej polskiej myśli demokratycznej od plew Puławskiej agentury. Za wcześnie, żeby z wymienianiem nazwisk, dat i okoliczności pokazywać, jak różne były w Polsce „rewizjonizmy”. Za wcześnie żeby oceniać siły ruchu masowego, jaki wtedy w Polsce działał. To wszystko jest zadaniem przyszłych historyków. Można jednak już dzisiaj powiedzieć, że to, co było wtedy w Polsce autentycznie i szczerze demokratyczne i niezależne od koniunkturalnych kombinacji Puławian, było liczebnie silne i potrafiło — o czym jeszcze będę miał okazję mówić — budzić w szeregach partyjnych leaderów strach paniczny. Mimo to ten autentycznie demokratyczny ruch był przeraźliwie źle zorganizowany, pozbawiony przy-

wódców, a ponadto dawał się inspirować i ulegał prowokacjom. Kuch ten mógł z pewnością odegrać większą rolę niż odegrał, gdyby głośniej upominał się o swoje prawa i głośniej stawiał żądania. Jest tragiczną ironią losu, że dzisiaj, sześć lat po opisywanych tu wydarzeniach, z całego tego ruchu nie pozostało ani śladu, podczas gdy Puławianie w dalszym ciągu prosperują znakomicie.

IX

Natychmiast po przewrocie październikowym Puławianie koncentrują się na dwóch sprawach. Po pierwsze pragną dobić powalonego przeciwnika. Po drugie pragną za wszelką cenę odgrodzić się od wczorajszego sojusznika. Poparcie niekomunistycznych mas, potrzebne im do rozgrywki z Natolińczykami, z chwilą zwycięstwa staje się dla nich rzeczą jak najbardziej krępującą. Kompromituje ich jako komunistów i przeszkadza im w monopolizacji władzy. W tym paragrafie skoncentruję się jednak na pierwszej sprawie. Natomiast drugiej sprawie będzie poświęcony paragraf następny.

W wykonaniu pierwszego zadania przeszkadza im Gomułka. Puławianie niewątpliwie liczyli na to, że po rozprawie z Natolińczykami Gomułka, osamotniony, nie posiadający własnych kadr w aparacie partyjnym, będzie całkowicie bezsilny i zdany na ich łaskę: że oni będą rządzić, a on będzie ich władzę firmował. Gomułka jednak już od pierwszej chwili myśli o uniezależnieniu się od Puławian. Prawdopodobnie wykorzystuje do tego celu rozmowę z Chruszczowem. Gomułka rozumie przy tym dobrze, że musi zachować elementy równowagi pomiędzy grupami frakcyjnymi w K.C. i w aparacie; innymi słowy, że musi jakichś nie-Puławian pozostawić na wpływowych stanowiskach.

Pomimo presji Puławskiej Aleksander Zawadzki pozostaje na stanowisku Przewodniczącego Rady Państwa, Zenon Nowak na stanowisku wicepremiera, a szereg podrzędnych Natolińczyków na podrzędnych stanowiskach. Puławianie dążą w tym czasie za wszelką cenę także do likwidacji PAX'u i pozbycia się Bolesława Piaseckiego. Wywołują w PAX'ie rozłam, w wyniku którego grupa ich agentów z Janem Frankowskim na czele tworzy odrębną organizację katolicką. Plan Puławian polegał na finansowym wykonaniu PAX'u poprzez roszczenia secesjonistów, którzy mieli poważne udziały w spółce. Ale Piasecki chwyta się kroków rozpaczliwych. Lokal Stowarzyszenia przy ulicy Mokotowskiej 43 zostaje zabarykadowany po to, aby nie dopuścić komorników sądowych. Jednocześnie Hagmajer, Przetakiewicz, Reiff i inni zausznicy wodza krążą po całym mieście, szukając gorączkowo dostępu do niedostępnego Gomułki. W końcu Piasecki dostęp ten uzyskał. Podobno tłumaczył Gomułce, że zawsze był wrogiem

Z.S.S.R., że nigdy nie miał nic wspólnego z Natolińcykami, że pokój, że demokracja, że Ziemia Zachodnie itp. Ale panika była przedczesna, bo Gomułka i tak był zdecydowany PAX chronić. Polityka Gomułki wobec Natolińcyków, i kół do nich zbliżonych polegała wyraźnie na tym, żeby eliminować nieprzejednanych i chronić tych, którzy zadeklarują z nim współpracę.

Puławianie rozwinęli też zdumiewającą energię, żeby obsadzić swoimi ludźmi wszystkie możliwe stanowiska, nawet drugo i trzeciorzędne. Pod tym kątem widzenia robiona była czystka w aparacie partyjnym. Ta polityka personalna była dla nich, jak się zdaje, rzeczą zupełnie oczywistą. Mimo to z perspektywy lat wydaje mi się dzisiaj, że właśnie w tym punkcie ci bezkonkurencyjni gracze polityczni coś przegapili i że właśnie ta akcja była źródłem ich późniejszych niepowodzeń.

Puławianie nie dostrzegli chyba tego, że opanowanie przez nich całego aparatu partyjnego jest niemożliwe z powodów czysto arytmetycznych. Na to mieli po prostu za mało ludzi zaufanych. Nie dostrzegli tego, że zawsze pozostaną przez nich nieopanowane doły aparatu, które w naturalny sposób będą ciężyć przeciwko grupie inteligenckiej, w dość znacznej części żydowskiej i co najważniejsze elitarnej, ekskluzywnej i gardzącej „chamami”. Swoją polityką tworzyli sytuację paradoksalną. Sprawować władzę dyktatorską w Polsce mogłyby ostatecznie jednostki pochodzenia żydowskiego: sprawa żydowska nie budzi już dzisiaj w masach poważniejszych wątpliwości. Ale Puławianie tworzyli sytuację, w której jednostki pochodzenia żydowskiego rządzą indyferentnym w sprawach rasowych narodem przy pomocy na wskroś antysemitckiego aparatu władzy! Trudno i darmo, ale ten układ nie mógł im zapewnić równowagi. Czy Puławianie mieli coś innego do wyboru, trudno powiedzieć. Ale wydaje się, że zamiast wkładać tyle energii w politykę personalną, powinni byli raczej pomyśleć o instytucjonalnym ograniczeniu władzy aparatu, który z natury rzeczy musiał stanowić dla nich potencjalne niebezpieczeństwo. Z tego niebezpieczeństwa — jak o tym jeszcze będę miał okazję mówić — zdawali sobie sprawę, gdy chodziło o aparat policyjny, mimo, że znajdował się całkowicie w ich rękach; podjęli też odpowiednie kroki, aby ograniczyć jego wpływy. Natomiast jeżeli chodzi o aparat partyjny *sensu stricto*, to poza zmianami czysto personalnymi wszystko pozostało po staremu.

To, że Puławianom nie udało się dobić powalonego przeciwnika, to, że ich sukces nie był tu zupełny, należy moim zdaniem uważać za okoliczność pomyślną. Oznaczało to bowiem, że w centralnym ośrodku władzy równowaga jest chwiejna, że walka o władzę, chociaż w porównaniu z r. 1956 bardzo stłumiona i przyćiszona będzie trwała nadal, że grupy rywalizujące będą, przynajmniej w jakiejś formie ukrytej, wzajemnie sobie przeciwdziałać i że jakieś formy kontroli władzy i jakieś elementy liberaliz-

mu pomimo wszystko w Polsce się ostaną. Po paru latach walki te znowu przybiorą na sile i wtedy sytuacja się zmieni.

X

Drugie zadanie, jakie stanęło przed Puławianami okazało się mimo wszystko bardziej skomplikowane. Było tak mimo to, że w odcinaniu się od wczorajszych sojuszników i rozbrajaniu ich, nie było żadnych rozbieżności pomiędzy Puławianami a Gomułką i mimo to, że tu sukces Puławian był zupełny.

Nowi władcy od pierwszej chwili czują strach przed wiwatującymi na ich cześć tłumami i reprezentantami dążeń tych tłumów, chociaż ci także, na łamach prasy i na zgromadzeniach popierają nowy rząd bez zastrzeżeń. Strach ten jest w pełni uzasadniony, skoro rząd ten nie tylko nie ma zamiaru spełniać wysuwanych przez ten tłum żądań, ale przeciwnie chce odbierać to, co tłum już uzyskał. Strach ten ma przy tym wielkie oczy: jest wiele oznak, wskazujących na to, że siła demokratycznego ruchu masowego w Polsce została przeceniona nie tylko w Warszawie, ale także w Moskwie.

Przez trzy miesiące panuje względny spokój. Żadnych otwartych represji jeszcze nie ma. Te trzy miesiące to okres przedwyborczy; a taktyka władz polega na tym, żeby się pochwalić przed światem poparciem narodu. Przez te trzy miesiące demoralizuje się opinię straszeniem interwencją rosyjską, koniecznością liczenia się z położeniem geograficznym, koniecznością skupienia się wokół rządu dla przeciwstawienia się zakusom zachodnio-niemieckich rewizjonistów itp. Komedialna jest przy tym gra z całą bezczelnością. W warszawskich tramwajach zostały np. rozrzucone „kondracyjne” ulotki, wzywające do głosowania na kandydatów „Frontu Jedności Narodu” dlatego, że kandydaci ci (w ulotkach wymieniano w tym kontekście nazwiska Cyrankiewicza i Albrechta) byli jakoby ofiarami Bezpieki. Te same ulotki ostrzegały przed bojkotem wyborów, gdyż bojkot miał być jakoby wodą na młyn tych, „chcą nas wszystkich wziąć za mordę”. Trzeba ponadto powiedzieć, że w utrzymaniu tych wszystkich fikcji wcale pomógł komunistom polskim Walter Ulbricht przez to, że zaangażował się w tym czasie w konflikt z Polską na tle sprawy Wolfganga Haricha. Ulbricht zdaje się nie rozumiał tej prostej rzeczy, że sam fakt jego konfliktu z jakimkolwiek przeciwnikiem musi temu przeciwnikowi przysparzać popularności.

Ale Gomułka i Puławianie umieli zdobywać sobie popularność nie tylko drogą takich komedii. Mam tu na myśli świetnie wykorzystany propagandowo fakt istnienia pewnych dziedzin, w których tendencje rządu były zgodne z tym, czego domagała się opinia publiczna.

Sprawa kołchozów i sprawa stosunków z Kościołem nie wymaga właściwie komentarzy. Chodziło po prostu o zwiększenie

produkcji rolnej i o nieprovokowanie dodatkowych niepokoїв w sytuacji, w której wszystko i tak kipiało. Bardziej skompli kowana jest sprawa jest sprawa „doradcїв radzieckich” i sprawa U. B.

Odwołanie doradcїв radzieckich było niewątpliwie prostą konsekwencją deklaracji Chruszczowa z 30 października 1956 r. Trudno powiedzieć, z jakich powodїв Chruszczow na tę dziwną deklarację zdecydował się: trudno powiedzieć przede wszystkim, w jakiej mierze uczynił to w przekonaniu, że stalinowski system rządu krajami satelickimi nie zdał egzaminu, a w jakiej mierze wbrew przekonaniu a jedynie pod presją wydarzeń. Jakielwiek były jednak jego motywy, fakt ogłoszenia tej deklaracji świadczy o tym, że Chruszczow nie miał w tym czasie zamiaru sprzeciwiać się pozostawieniu rządów satelickim pewnej swobody decyzji, zwłaszcza w sprawach nie mających znaczenia międzynarodowego.

Co więcej, deklaracja ta wydaje się świadczyć, że interesy jakie Chruszczow miał w Warszawie 10 dni wcześniej, polegały raczej na tym, żeby wziąć za mordę naród, niż przywódcїв. Gomułka musiał sobie z tego zdawać sprawę. Jest zupełnie prawdopodobne, że oferując Chruszczowowi swe usługi w zakresie zdławienia istniejących elementów demokracji, żądał w zamian większej niezaleźności dla siebie. W każdym razie tendencje do częściowego uniezaleźnienia się od Rosji zarówno Gomułka jak i Puławianie żywili serio. Ani Gomułka ani Puławianie „ojczyzny proletariatu światowego” z pewnością nie kochają i w srodowiskach Gomułkowcїв i Puławian dyskredytowanie i wydrwiwanie Rosji jest wprost kwestią dobrego stylu.

Te postawy wobec Rosji przysparzały grupie rządzącej po październiku szczególnie dużo popularności w masach. W nastrojach mas było trochę zrozumiałej kompensacji za tyloletnie upokorzenia. Ale było także sporo zwykłego, ordynarnego nacjonalizmu, wyławdującego się w problematyce „swojej” i „obcej” władzy. Jakby to, że władza jest „swoja” było samo przez się jakimś powodem do chwały. Co z tego, że Enver Hodża oskarża K.P.Z.R. o zdradę marksizmu, kiedy zastąpienie go przez agentów Chruszczowa byłoby zapewne szczęściem dla jego narodu!

Stosunek do Rosji, zarówno u Gomułki jak i u Puławian, wyznaczał postępowanie w sprawie Bezpieki. W przeszłości Bezpieka była narzędziem presji paranoicznie podejrzliwego Stalina na polskich leaderów komunistycznych. W r. 1956, mimo jej całkowitego opanowania przez Puławian, zachodziła zawsze obawa, że rozbudowany ponad wszelkie granice aparat policyjny znowu zacznie robić nie całkiem to, czego od niego oczekiwały władze partyjne. Całą propagandę Puławską w tej sprawie można w gruncie rzeczy sprowadzić do tezy: „Partia nad policją zamiast policja nad partią”. To była rzecz konkretna, której jak zwykle przy okazji towarzyszyły komedie. Czytając artykuły na ten temat można było pomyśleć, że jedynymi ludźmi przesławowanymi w

Polsce za czasów stalinowskich byli komuniści, zwłaszcza tacy, jak Bierut, Cyrankiewicz czy Albrecht. O rzeczywistych ofiarach, jeżeli wspominało, to raczej oględnie. Ważni byli „starzy zasłużeni towarzysze”.

Z tych motywów Puławianie zabrali się rażno do przetrzebienia kadr „byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa”. Gomułka, który poznał tę instytucję z pierwszej ręki i który w dodatku nie miał pewności, czy ten Puławski aparat nie byłby w końcu użyty przeciwko niemu, parł w tym samym kierunku. Ale szeregowi Ubecy nie chcieli się poddać bez walki. Zagrożeni redukcjami, ogłosili strajk. Imprezę nazwali „Bezpieczniackim październikiem”. (W rzeczywistości był to listopad). Zaczęli grawitować ku Natolińczykom; w każdym razie nastrojem dominującym była wściekłość na Puławskich mocodawców, że zamiast wdzięczności za wierną służbę wyrzucają ich na bruk, przy okazji oskarżając o różne brzydkie rzeczy. Ubecy zawiązali komitet strajkowy, na czele którego stanął niejaki kapitan Makolągwa i zaczęli rozpowszechniać dokumentację, dowodzącą, że wszystko, co kiedykolwiek robili, było wiernym wykonywaniem przychodzących z góry rozkazów, wydawanych w niemałej części przez takich liberałów, jak Zambrowski, Ochab itp. Najkapitałniejszą rzeczą, jaką zrobili było sproszenie dziennikarzy na konferencję prasową i udostępnienie im archiwów. Po kilku dniach pozwolili się jednak spacyfikować przez K.C. w sposób idiotyczny. Wszystko to razem było oczywiście wydarzeniem bardzo fortunnym. Dzięki temu K.C. musiało przyspieszyć redukcje i zwiększyć ilość zredukowanych. Co najważniejsze jednak, strajk ten wprowadził do tej całej szacownej instytucji taki chaos, że jej odbudowanie, reorganizacja i postawienie na nogi trwało potem lata. I znowu opinia publiczna nie odegrała tu żadnej roli i nawet nie orientowała się, co się w tym czasie naprawdę działo za murami Bezpieki.

A działy się jednak rzeczy, których nie można sobie wytłumaczyć inaczej, niż strachem Gomułki i przywódców partyjnych przed opinią. Do takich należała mająca wyjątkowo ciekawy przebieg sprawa roszczeń robotniczych. Gomułka świetnie zdawał sobie sprawę z nacisku inflacyjnego, jaki Polska wtedy przeżywała i nawet jeżeli początkowo nie przewidywał, że suma tych roszczeń sięgnie kilku miliardów złotych, to i tak musiał z ciężkim sercem godzić się na niebezpieczny wzrost siły nabywczej, który w wyniku uwzględnienia tych roszczeń musiałyby automatycznie dać się odczuć. Tym niemniej zdecydował się na to. Tym bardziej brutalny przebieg miało odtrąbienie całej sprawy, kiedy Gomułka doszedł do wniosku, że robotnicy przestali już być tak groźni i że może się ich tak bardzo nie obawiać. Wstrzymanie płatności z tytułu tych roszczeń było w tym momencie zapewne rzeczywistą koniecznością ekonomiczną. Ale można było na przykład wypuścić obligacje z jakimiś mniej lub bardziej odległymi terminami płatności, a w każdym razie należało zapłacić tym (nie było ich tak wielu), którzy już mieli w rękę wyroki sądowe

tzn. tym, którzy ponieśli koszty sądowe, opłacili adwokata itp. Nierealistyczna ustawa, uchwalona pod wpływem strachu, w chwili gdy strach minął została przekreślona w sposób maksymalnie brutalny i możliwie prowokujący.

Ale już było po wyborach. W tym nowym okresie nie był to bynajmniej akt odosobniony. Gomułka i Puławianie dochodzą w tym okresie wyraźnie do wniosku, że z opinią publiczną nie ma się co więcej liczyć. Wyjątkowo prowokujący charakter miało np. ogłoszone w lipcu 1957 r. sprawozdanie komisji Romana Nowaka, której zadaniem było zbadanie działalności b. Ministerstwa Bezpieczeństwa. Sprawozdanie to było czystą kpiną. Równocześnie, może bardziej po cichu, ale na szeroką skalę łamano dane w październiku obietnice w sprawie rad robotniczych, w sprawie likwidacji aparatu partyjnego, nie mówiąc już o bałamutnej obietnicy „jawności życia publicznego”. Nade wszystko zaś rozpoczęto kampanię przeciwko rewizjonizmowi.

O rewizjonizmie i walce z nim napisano już wiele. Dlatego pragnę tu poprzestać tylko na zwróceniu uwagi na parę elementów tej sprawy. Kampania przeciwko rewizjonizmowi była akcją zgraną w skali międzynarodowej. To wystarczy, żeby wnioskować, że była postanowiona w Moskwie. W chwili, kiedy akcja ta się zaczęła, tzn. w lutym 1957 r., Węgry były już skneblowane, a jeszcze nie było sporu chińsko-jugosłowiańskiego. To, co się w danym momencie liczyło, to ferment w kompartiach Francji, Włoch i innych krajów zachodnich oraz to, co się działo w Polsce. Strach przed polskim demokratycznym ruchem masowym i jego wpływem na partię komunistyczną odczuwano więc wtedy nie tylko na Nowym Świecie, ale także na Kremlu. Oczywiście konflikt chińsko-jugosłowiański zmienia charakter tej kampanii i stwarza dla niej nowe problemy, ale zasadnicze powody, dla których całą akcją wszczęto znajdowały się przede wszystkim w Warszawie.

Druą sprawą. Walka z rewizjonizmem na terenie Polski była pomyślana głównie jako rozprawa z elementami wewnątrzpartyjnymi, które wyłamały się z ram ortodoksji. Elementy pozapartyjne, czynne w ruchu październikowym chrzczone raczej mianem „zwolenników drugiego etapu”. (Ten drugi etap to miała niby być rezygnacja z socjalizmu i powrót do kapitalizmu). Opór tych środowisk wewnątrzpartyjnych jest zadziwiająco słaby. Zjawiskiem notorycznym jest zebranie o pozostawienie w partii, „ketmańskie” kombinacje taktyczne, uwaga skoncentrowana na personaliach, na problematyce typu „Iksiński czy Igrkowski i co z tego wyniknie”. Katalizatorem, przyczyniającym się do ujawnienia tych kapitulanicznych nastrojów stały się inicjatywy „Kultury” w sprawie rewizjonistów. „Kultura”, a w szczególności Mieroszewski całkiem trafnie dostrzegli w tych młocnych ludziach, bądź co bądź rozumujących kategoriami par excellence europejskimi, naturalnych kandydatów na utworzenie jakiegoś pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem i jakąś szansę

przynajmniej kulturalnego, jeśli nie politycznego przeobrażenia komunizmu w przyszłości. Otóż Mieroszewskiego ludzie ci powszechnie oskarżali o to, że swoimi artykułami dostarcza on władzom pretekstu do stosowania przeciwko nim represji; a w ogóle ich największym marzeniem było, żeby prasa światowa nabrała wody w usta i w ogóle o nich nie wspominała. Był to zupełny idiotyzm. W rzeczywistości świadomość, że rewizjoniści polscy cieszą się na świecie ogromną popularnością i że nie są bynajmniej tak osamotnieni, jak np. ofiary procesów moskiewskich z 1936 i 1937 r. mogła co najwyżej skłaniać polskie władze partyjne do pewnej oględności w postępowaniu z nimi. Natomiast błędem Mieroszewskiego było to, że nie wziął pod uwagę momentów psychologicznych. Ci ludzie byli członkami partii, a więc mieli za sobą lata treningu strachu. Jak długo nie zmuszano ich do wypowiedzania się zbyt jasno, tak długo kluczyli. Ale kiedy Mieroszewski radykalizmem swoich sformułowań doprowadził ich do konieczności samookreślenia się, do konieczności zdecydowania się na jakąś orientację, na jakiś określony sposób pojmowania swej roli w partii, większość z nich, pod wpływem strachu skłaniała się do decyzji zgodnych z oczekiwaniami góry partyjnej. Myśl tę po latach wyraził, jak zwykle w formie bałamutnej, Adam Schaff w niedawnym artykule pt. „Humanizm czy rewizjonizm” (*Przegląd Kulturalny*, 20.IX.1962). Schaff napisał, że Mieroszewski, pokazując rewizjonistom, jak ich poglądy mogą być interpretowane, pomógł im zrozumieć ich „błędy” lepiej niż była to w stanie uczynić partyjna propaganda. Naprawdę nie o żadne błędy chodziło, tylko o własną skórę, niezależnie od tego, że bardzo wzniosłe motywy mogły być i nieraz były ex post do kapitulanczkich decyzji dorabiane. Ale jest faktem, że na skutek artykułów Mieroszewskiego skłonności rewizjonistów do kapitulowania wzrosły.

Sprawa trzecia i ostatnia. W piśmiennictwie rewizjonistów były rzeczy o nieprzemijającej wartości intelektualnej: wystarczy wymienić całą twórczość Kołakowskiego. Ale pod względem koncepcji ustrojowych rewizjoniści nie posunęli się na ogół poza to, co uroczyście obiecywali z trybun październikowi wodzowie i co wypisywali Puławscy agenci już na wiosnę 1956 r. (Pod tym względem bardziej konstruktywni byli pozapartyjni działacze ruchu październikowego). Puławianie byli oczywiście tymi, którzy najgoręcej rewizjonistów zwalczali. Tragiczny był w gruncie rzeczy los tych młodych ludzi, którzy kiedyś Puławianom zawierzili, którzy byli na tyle uczciwi, żeby traktować swoją walkę przeciwko totalizmowi na serio i których „na nowym etapie” wyrzucano na śmietnik. Puławianie niechętnie się w końcu przyznawali nawet do własnych agentów zbyt mocno w poprzednim okresie zaangażowanych w „liberalizm”. Panie, o których mówiłem, na ogół nie zrobili karier.

XI

Najdramatyczniejszym momentem walki Puławian z byłymi sojusznikami była likwidacja *Po Prostu* i czterodniowe rozruchy w Warszawie w r. 1957.

O *Po Prostu* i jego likwidacji pisano już dużo i w tej sprawie nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Natomiast parę słów chciałbym poświęcić rozruchom.

Rozruchy były spontaniczną odpowiedzią ludności Warszawy na likwidację cieszącego się ogromną popularnością tygodnika. Zaczęły się od demonstracji studenckiej na Pl. Narutowicza. W demonstracji odbywającej się w dniu następnym przed Politechniką uczestniczą już nie tylko studenci, ale wciąż jeszcze chodzi o protest przeciwko zamknięciu *Po Prostu*. Trzeciego dnia sytuacja się zmienia. Demonstracja na Pl. Konstytucji jest już raczej reakcją na gwałty policji, dokonywane w czasie dwóch pierwszych demonstracji. W tej demonstracji wyraźnie dominuje element proletariacki. Ostatnia demonstracja przed Pałacem Kultury ma ten sam charakter, co demonstracja dnia poprzedniego.

Do rozruchów tych nie przywiązywano na ogół większego znaczenia. Co więcej, poczynając od trzeciego dnia stały się one niepopularne. Udział inteligencji w dwóch ostatnich demonstracjach był już znikomy i nawet ci, którzy w poprzednich brali czynny udział, od trzeciego dnia usuwali się i dalsze demonstracje dezawuowali. Nie zapomnę rozmowy z człowiekiem, który w momencie wybuchu rozruchów odegrał istotną rolę, a który mi oświadczył, że demonstracja na Pl. Konstytucji była „raidem chuliganów z Targówka, Młocin i Powiśla”. Miał zapewne na myśli że rewolucja jest tak długo dobra, jak długo na jej czele kroczą intelektualiści. Później ten człowiek zwalczał mnie za „reakcyjność”.

Opinia o chuligańskim charakterze trzeciej i czwartej demonstracji nie była niestety bynajmniej odosobniona. W związku z tym pragnę zwrócić uwagę na pewien fakt. Adam Uziembło pisząc w „Kulturze” o wypadkach Poznańskich 1956 r. porównywał podjętą wówczas przez prasę komunistyczną próbę dyskredytacji rewolty przez przytaczanie pojedynczych wypadków rabowania sklepów z analogicznymi próbami dyskredytacji zajęć 1905 r. ze strony prasy endeckiej. Czytelnik może nie wiedzieć, że na Pl. Konstytucji znajdują się najbardziej luksusowe sklepy w Warszawie, między innymi dwa wielkie sklepy jubilerskie. Otóż w czasie całej demonstracji nie została stłuczona ani jedna szyba. Nie znalazł się ani jeden amator złota czy brylantów, który by dostarczył reakcyjnej prasie powodów do moralnego zgorznienia. Kamienie leciały tylko w policjantów.

Chcę tu wyrazić przekonanie, że warszawska ulica dokonała w tych dniach czynu politycznego ogromnej miary. Warszawski proletariąt pokazał władzy, że polityka prohibicji, represji i gwałtów może prowadzić do konsekwencji nieobliczalnych. Poka-

zał, że stoi na straży wartości kulturalnych narodu i nie będzie się przyglądał indyferentnie ich niszczeniu. Wspomnienie rozruchów długo jeszcze musiało nękać dysponentów władzy przy podejmowaniu decyzji i skłaniać do rozwagi i namysłu.

Starałem się wyżej scharakteryzować czynniki, które sprawiły, że pomimo ogólnego trendu brania za mordę, pewne elementy liberalizmu w Polsce ostawały się, represje stosowano raczej powoli i oględnie, dokonywano pewnych reform itp. Wśród tych czynników rozruchy październikowe 1957 r. postawiłbym na pierwszym miejscu.

XII

Przesławne październikowe lanie pociągnęło za sobą dość gruntowne przeobrażenia w łonie grupy Natolińskiej. Część przywódców, jak Franciszek Józwiak czy Hilary Chełchowski w skrajnym rozgoryczeniu usuwa się z życia publicznego w ogóle. Część pozostaje nieprzejednana i występuje z otwartymi atakami na Gomułkę i Puławian, oskarżając ich, jeżeli nie wprost o zdradę, to w każdym razie o kapitulowanie przed wrogiem klasowym i wypaczanie marksizmu-leninizmu. Są to w pierwszym rzędzie Wiktor Kłosiewicz, Stefan Matuszewski i Kazimierz Mijał. Natomiast grupa bardziej umiarkowana próbuje się od razu „włączyć do nowej rzeczywistości”. Są to przede wszystkim Aleksander Zawadzki, Zenon Nowak, Władysław Kruczek oraz Bolesław Rumiński.

Oskarżeń o zdradę i kapitulantstwo ani Gomułka ani Puławianie, rzecz prosta, tolerować nie chcą i skrajna grupa zostaje z trzaskiem z K.C. wywalona. Charakterystyczna jest, dobrze mi znana, historia Stefana Matuszewskiego. Ten był ksiądz, był „socjalista” i był członek Biura Politycznego został wylany z K.C. za to że na zjeździe Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oświadczył: „Syjoniści, masoni i różne niebieskie ptaki nie będą nas uczyć patriotyzmu”. Tego było już za wiele i nie tylko wywalono go z K.C., ale także uniemożliwiono mu wszelką działalność polityczną. Wobec tego zaczął się zajmować jedyną rzeczą, do której miał fachowe przygotowanie. Został mianowicie wykładowcą Nauki Ojców Kościoła. (Podobno skończył jakąś wyższą uczelnię teologiczną w Paryżu i podobno zna niezłe hebrajski i aramejski). Przez całe lata miałem wątpliwy zaszczyt kolegowania z nim na Wydziale Filozoficznym U.W. Los innych skrajnych Natolińczyków był zapewne podobny.

IX Plenum K.C. w kwietniu 1957 r., na którym wywalono skrajnych Natolińczyków, jest ostatnim, które zostało przez Puławian rozplotkowane. Od tej pory aż do Plenum, które zebrało się w końcu 1961 r. i które obradowało nad XXII Zjazdem K.P.Z.R., Puławianie trzymają język za zębami. Uniemożliwia to

dokładne śledzenie walk frakcyjnych w tym okresie. Pewne elementy stają się jednak widoczne.

Gomułka, prawdopodobnie ulegając presji zawsze niechętnych Puławianom dołów aparatu partyjnego, decyduje się w końcu wzmocnić poparcie udzielane umiarkowanym Natolińczykom, wciąż jednak nie wchodząc jeszcze w otwarty konflikt z Puławianami. Dodatkowym bodźcem mogła tu być ucieczka powiązanego z Puławianami Pawła Monata na Zachód we wrześniu 1959 r. W związku z tą sprawą zostaje wydobyty z zapomnienia i wyniesiony na wysokie stanowisko kierownika Wydziału Administracyjnego K.C. osławiony „Generał Gazzurka” Kazimierz Witaszewski. Mniej więcej w tym samym czasie dwaj inni Natolińczycy zostają powołani na jeszcze wyższe stanowiska: Ryszard Strzelecki na stanowisko sekretarza K.C. i Julian Tokarski na stanowisko wicepremiera. Ludzie ci zaczynają działać energicznie i inteligentnie i w efekcie Puławianie tracą jedną pozycję po drugiej. Po nominacji Witaszewskiego centralnym ośrodkiem działania Natolina staje się Wydział Administracyjny K.C. Jego akcja zmierza w pierwszym rzędzie do podporządkowania sobie kolejno wszystkich zależnych od tego wydziału ogniw aparatu represyjnego. Po kolei zostają wydarte Puławianom: prokuratura, sądownictwo, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Pomagają im w tym, jak mogą starzy „gomułkowcy”: mający szczególnie wiele porachunków z Puławianami szef wywiadu, Grzegorz Korczyński, oraz szef Biura Śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Mieczysław Moczar. Jest to niewątpliwie spełnianie dyrektyw wodza. W chwili, kiedy w sierpniu 1962 wyjeżdżałem z Polski, pozostało jeszcze nieopanowane ostatnie ogniwo tego łańcucha: Ministerstwo Sprawiedliwości. Ale i tu przygotowania zostały wyraźnie poczynione.

Przez długi czas Puławianie wciąż jeszcze czują się zbyt mocni, żeby bić na alarm. Rozgrywki wolą toczyć „u siebie w domu” i nie zaczynać ryzykownej bądź co bądź imprezy wynoszenia brudów na ulice, tak, jak to zrobili w r. 1956. Nie wykorzystują wspaniałej okazji, jaką im daje XXII Zjazd K.P.Z.R.

XIII

Parę słów o tym Zjeździe. Zupełnie nie ma racji Konstanty Jeleński w ogłoszonym niedawno w „Kulturze” artykule pt. „Bezdroża komunizmu”, pisząc, że XXII Zjazd był przez Gomułkę i polskie kierownictwo partyjne przyjęty z aprobatą. W rzeczywistości było wręcz na odwrót. Gomułka nie miał żadnego powodu do rozpoczynania w tym momencie liberalnej rozróbki. Jakikolwiek rewoltowanie opinii publicznej przez ponowne wyciąganie na jaw kompromitującej przeszłości było mu w tym momencie, w którym zamierzał przeprowadzić szereg drakońskich ustaw i zarządzeń, jak najbardziej nie na rękę. Pierwszą reakcją leade-

rów partyjnych na XXII Zjazd jest reakcja obronna: „Myśmy w Polsce już dawno przeprowadzili walkę z kultem jednostki, pokonali dogmatyków, naprawili błędy i wypaczenia. To, co w Z.S.R.R. jest jeszcze wciąż problemem aktualnym, u nas należy już do przeszłości i w ogóle nie ma o czym mówić”. Oświadczenia tego rodzaju były składane przez różne osobistości w sposób dość oficjalny. Są one wyraźną wskazówką, że kierownictwo partyjne publicznego prania brudów w tym momencie obawiało się i czyniło wszystko, żeby do niego nie dopuścić.

To stanowisko polskiego K.C., które znalazło swój aluzyjny wyraz w referacie sprawozdawczym Gomułka z XXII Zjazdu, wywołało gwałtowny sprzeciw Chruszczowa. Konflikt jest ostry i ma charakter prestiżowy: Chruszczow wyraźnie nie może ścierpieć tego, że Polska go w czymś „wyprzedziła”. Ma nadto jeszcze dwa inne zarzuty wobec tego referatu. Pierwszy zarzut ma charakter doktrynalny. Gomułka w swoim referacie twierdził, że okres „błędów i wypaczeń” zaczął się ok. r. 1930, co było przejrzystą aluzją, że forsowna kolektywizacja była także „błędem i wypaczeniem”. Chruszczow zaś nie chcąc podważać moralnych i ideologicznych fundamentów systemu kołchozowego, upierał się, że błędy i wypaczenia zaczęły się dopiero ok. r. 1933. Drugi zarzut dotyczył sprawy bardziej na czasie. Gomułka mianowicie ni stąd ni zowąd oświadczył, że Mołotow, Kaganowicz et consortes nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej, krępując tym oświadczeniem Chruszczowa, który pragnął zapewne trzymać bat odpowiedzialności karnej w pogotowiu.

Gomułka presji bynajmniej nie poddaje się i idzie z Chruszczowem na udry. Zostaje dokonany krok wyjątkowo prowokacyjny. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy Czechosłowacja i Rumunia zrywają z Albanią stosunki dyplomatyczne, Polska zawiera z Albanią układ handlowy i wiadomość o tym zostaje ogłoszona w prasie. Następuje, przejściowy niewątpliwie, moment zbliżenia Polski do Chin i Albanii. Sens tego manewru nie jest dla mnie całkiem jasny: być może chodziło o jakieś przetargi, związane ze sprawami niemieckimi. Ale Gomułce manewr ten nie tylko pozwala na dalsze ignorowanie XXII Zjazdu, ale także umożliwia przeprowadzenie kilku reform par excellence faszystowskich pomimo wiejących ze wschodu wiatrów liberalnych. Na sesje sejmowe zostaje rzucony projekt ustawy o Sądzie Najwyższym, likwidujący ostatnie resztki niezawisłości jego sędziów, projekt ustawy o zgromadzeniach, zobowiązujący między innymi organizatorów każdego otwartego zebrania do zawiadomiania o nim odpowiednich władz administracyjnych, które wysyłają swojego funkcjonariusza, mającego prawo w każdej chwili zebranie zamknąć, wreszcie projekt ustawy o meldunkach, przewidujący karę do dwóch lat więzienia za niedopełnienie obowiązków meldunkowych. Gomułka wydaje się w tym czasie świadomie zmierzać do tego, żeby pozbawić Polskę wszystkiego, co ją korzystnie wyróżniało spośród innych „bratnich krajów” i co zjednywało

jej pewną sympatię Zachodu. Postępuje tak, jakby chciał stanąć w jednym rządzie z tymi wasalami, którzy, jak Ulbricht, Novotny czy Gheorghiu-Dej opóźniali zainicjowane przez Chruszczowa procesy unowocześnienia i ucywilizowania systemu. Być może czynił to dla tego, że nawet ograniczona sympatia Zachodu kompromitowała go wobec Pekinu. Być może, jak prawdopodobnie cały ten sojusz, była to taktyka chwilowa. Ale od XXII Zjazdu inicjatywa w modernizacji i europeizacji komunizmu należy już do Z.S.S.R. a nie do Polski. Mimo, że stosunki w Polsce są jeszcze wciąż liberalniejsze, niż w Rosji, Rosja kroczy, przynajmniej chwilowo, w kierunku rozszerzenia zakresu swobód, a Polska w kierunku ich dalszego ograniczenia. I to decyduje.

Nie mogę wprost pojąć, jak Puławianie mogli w tej całej polityce Gomułce sekundować. Tego katastrofalnego błędu będą wkrótce gorzko żałować. Wydaje się, że bardziej przewidujący z nich mieli wątpliwości. Plotki, dochodzące z Plenum, na którym Gomułka składał sprawozdanie z XXII Zjazdu pozwalają mniemać, że Władysław Matwin był tym, który już w tym momencie chciał wychodzić z praniem brudów na ulicę. Mimo to znam tylko jeden wypadek oporu Puławian przeciwko Gomułce w tym okresie. Ich przedstawiciele w komisji sejmowej atakowali ustawę o Sądzie Najwyższym; oczywiście znowu nie z sympatii liberalnych, lecz dlatego, że ustawa praktycznie oznaczała opanowanie tej instytucji przez Wydział Administracyjny. Natomiast właśnie Puławscy promieniści gorliwie składali oświadczenia, że XXII Zjazd ich nie dotyczy.

XIV

Sytuacja zmienia się raptownie dnia 28 grudnia 1961 r. o godz. 12 w południe. Od tego momentu rozpoczyna się otwarty konflikt Gomułki z Puławianami.

Byłem naocznym świadkiem sceny, jaka rozegrała się tego dnia na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach. Kilkaset osób elity partyjnej wraz z sześcioma członkami Komitetu Centralnego składało ostatni hołd człowiekowi, którego obciążano oskarżeniami o szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa i który w trakcie postępowania karnego, w obecności przedstawicieli władz śledczych, bądź został zamordowany, bądź popełnił demonstracyjne samobójstwo.

Szczegóły sprawy Henryka Hollanda nie zostaną już zapewne wyjaśnione nigdy. Jest faktem, że Holland powtarzał korespondentowi *Monde'u*, Jean Wetzowi, plotki o wynurzeniach pijanego Chruszczowa na temat śmierci Stalina i Berii i że został przez kogoś z otoczenia Wetzza zadenuncjowany. Ale plotki te krążyły po całej Warszawie i były w gruncie rzeczy zupełnie bezwartościowe. Być może, że Gomułka, dla którego sama treść plotek musiała być rzeczą najzupełniej obojętną i który by zapewne

nie miał nic przeciwko temu, żeby te same wiadomości przeciekały na Zachód via Helsinki czy Belgrad, chciał w ten sposób położyć kres praktyce przeciekania takich wiadomości via Warszawa. Być może zagrał tu moment osobisty: Holland był tym, który ze szczególną furią atakował Gomułkę w prasie w okresie „odchylenia pravicowo-nacjonalistycznego” i skąd inąd wiadomo, że Gomułka go nie znosił. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Przede wszystkim skąd ten wściekły upór, żeby go, powodu dość błahej sprawy, od razu przyskrzynić i zmaltretować? Normalnie taka sprawa podpada pod art. 22 tzw. Małego Kodeksu Karnego (Szep-tana propaganda) i śledztwo przeprowadza prokuratura powszechna. W tym wypadku nakaz aresztowania był wydany przez prokuratora wojskowego, podobno po odmowie wydania takiego naku-za przez prokuraturę powszechną. Ale prokuratura wojskowa ma prawo prowadzić śledztwo przeciwko osobom cywilnym tylko wtedy, kiedy są one podejrzane o szpiegostwo. Konsekwentnie trzeba było rozplotkować, że Holland był na służbie wywiadu angielskiego już w roku 1944, co jest jawnym nonsensem i w co nikt nie wierzył. A na dobitkę wszystkiego poddano go czterdziestogodzinnemu konwojerowi, czego się nie praktykowało od r. 1954.

Wcale nie wykluczam ewentualności morderstwa. Cała rzecz miała wyraźnie cechy dintojry i trudno wykluczyć, że mord był jej aktem ostatnim. Osobiście skłaniam się jednak raczej do hipotezy samobójstwa. Sytuacja życiowa Hollanda, zarówno osoba-bista jak i zawodowa była pod każdym względem fatalna. Jest prawdopodobne, że o samobójstwie myślał już wcześniej. Ale wybór sposobu, miejsca i czasu zdaje się świadczyć o tym, że Holland chciał nadać temu aktowi charakter protestu.

Sens tego protestu wydaje się jasny. Stary i doświadczony agent Puławski, cyniczny i koniunkturalny do ostatnich granic, ale lubujący się w gestach i osobiście odważny, przekonał się na własnej skórze, że wbrew wszystkim wysiłkom jednak policja jest nad partią a nie partia nad policją, że jego przyjaciele w K.C. nie potrafią go ochronić przed mającym wszelkie cechy zemsty osobistej bezprawiem. Na przykładzie swojej sprawy zobaczył, że Puławska większość w K.C. nie panuje już nad tym, co robią zupełnie mali funkcjonariusze policyjni. Poza poczuciem klęski osobistej i zawodowej musiał mieć w tym momencie poczucie strasznej klęski politycznej. Widział daremność walki o podporządkowanie policji K.C. w którą sam się w swoim czasie zaangażował i widział niemoc grupy, z którą się od lat zwią-zał. Zapewne go upokarzano. Zapewne jego duma członka partii o bardzo długim stażu, cierpiała z powodu tego, że upokarzali go ludzie, których staż partyjny był znacznie krótszy. Cóż dziwnego, że szukał za to wszystko jakiejś rekompensaty. Musiał sobie zdawać sprawę z tego, że ten skok z piątego piętra będzie jednak wstrząsem potężnym. Mógł liczyć na to, że zmobilizuje jego przyjaciół do walki, w której on sam już nie odegra żadnej roli,

ale za to tym większą rolę odegra jego imię. I jeżeli tak myślał, to się nie omylił.

Sens demonstracji na pogrzebie wydaje się także jasny. Puławianie podjęli walną rozgrywkę o kierowane przez Mieczysława Moczara Biuro Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sześciu członków K.C. zostało wysłanych na pogrzeb po to, aby inni mogli powiedzieć: „Patrzcie, do czegoście doprowadzili. Zamordowaliście człowieka, starego, zasłużonego towarzysza. Trudno się dziwić towarzyszom z K.C., że poszli na pogrzeb przyjaciela i trudno się dziwić, że ludzie śpiewali Międzynarodówkę na pogrzebie”. Tego rodzaju deklamacje są w życiu partyjnym obyczajem ogólnie przyjętym i zdaje się, że przez pewien czas ta argumentacja chwytała. Kompromitacja była bądź co bądź nie-licha i Puławianie szykowali się do odwetu, a ich przeciwnicy byli w popłochu. W końcu jednak Gomułka powiedział mocnym głosem „nie!”.

Członków partii obecnych na pogrzebie zaczęto po kolei wzywać przed Komisję Kontroli. Sześciu członków K.C. (Morawski, Zarzycki, Jaworska, Granasowa, Lange i Finkelstein) egzaminował sam wódz. Sam przebieg tych przesłuchań nie był istotny: jakieś szykany, groźby, dziecinne wyklócanie się. Istotne jest to, że w toku tej kontrofensywy przeciwko Puławianom zadano im cios śmiertelny. Ze stanowiska wiceministra Spraw Wewnętrznych został usunięty Antoni Alster. Ten człowiek, o bardzo kompromitującej przeszłości (w czasach stalinowskich był wojewódzkim komendantem U.B. w Bydgoszczy), bardzo cyniczny ale niepospolicie inteligentny, został zastąpiony przez niejakiego Szlachcica — Natolińczyka, brutalnego żołdaka, który świeżo maczał palce w wyjątkowo ponurej sprawie adwokata Hoffa z Katowic, zmarłego w lutym br. w okolicznościach podobnych do tych, jakie miały miejsce w przypadku Hollanda. Szlachcic oczywiście z miejsca przeprowadza czystkę, w wyniku której Puławianie tracą wszelki wpływ na to, co się dzieje w policji. Odtąd sama fizyczna egzystencja Puławian staje się rzeczą nad wyraz niepewną.

XV

Przesłuchania przed Komisjami Kontroli oraz usunięcie Alstera stają się dla Puławian wreszcie sygnałem do jakże spóźnionego wyjścia z praniem brudów na ulicę. Akcja jest przy tym wyraźnie mniej zgrana, niż w r. 1956. Wydaje się, że w łonie grupy są poważne różnice zdań, czy akcję tę prowadzić i jak ją prowadzić.

Jakie są jej objawy?

1. *Systematyczne łamanie zasady tajemnicy partyjnej.* To, co się dzieje na Plenach i w zaciszu gabinetów K.C. znowu przecieka, i to w wielkich ilościach, do wiadomości publicznej.

2. *Fakt, że plotki te koncentrują się na sprawach personalnych K.C.* Wersja najczęściej spotykana, to wersja na temat grupy „partyzantów” (Zenon Kliszko, Grzegorz Korczyński, Mieczysław Moczar), których się oskarża o dążenia do zaprowadzenia rządów silnej ręki, antysemityzm i jednocześnie stwierdza się ich nastawienia antysowieckie. Prawdopodobnie jest to pośrednia forma ataku na Gomułkę. Nie chcąc atakować go wprost, atakuje się najbliższych mu ludzi. Podkreślana w tym kontekście antysowieckość służy prawdopodobnie do zasugerowania, że antysowieckość Gomułki to nie wiele i nie wszystko, że można być przeciwnikiem Sowietów i zarazem zwolennikiem reżymu jak najbardziej policyjnego.

3. *Oskarżenia o antysemityzm.* Oskarżenia te wybuchają ze szczególną siłą po odejściu Alstera i czystce w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Mówi się, że czystka została przeprowadzona według kryterium rasowego. Tym niemniej jednak Żydzi ze zrozumiałych powodów unikali Natolińczyków i grupowali się wokół Puławian, a czystka była robiona przez Natolińczyków i skierowana przeciwko Puławianom. (Inna sprawa, że bezpośrednio przed wyjazdem z Polski powiedziano mi o pewnym panu: „To jedyny Żyd, który się ostał w M.S.W.”. Przypuszczam, że takich „jedynych” Żydów znalazłoby się tam więcej). O oskarżeniu „partyzantów” o antysemityzm już mówiłem. Wyrazicielem tych oskarżeń stał się m.in. niejednokrotnie, jeszcze w 1956 r., inspirowany przez Puławian korespondent *Monde'u* Philippe Ben, który dn. 19 sierpnia 1962 napisał w tym dzienniku, że argumentacja „partyzantów” przeciwko Zambrowskiemu sprowadza się do tego, że wszyscy Żydzi posiadają powiązania międzynarodowe, ze względu na co powierzanie im odpowiedzialnych stanowisk jest rzeczą ryzykowną. Wszystko według zasady, że jedynym możliwym powodem pretensji pod adresem Zambrowskiego czy Alstera jest to, że są oni Żydami. Innych powodów być nie może.

4. *Inspirowanie artykułów w prasie zachodniej.* Typowe pod tym względem są naiwności artykułów Bena. Ciekawszy od nich był ogłoszony niedawno w „Kulturze” anonimowy artykuł pt. „Porażka Gomułki”. Wydaje się, że pochodzi on z jakichś radykalnych kół Puławian. Artykuł ten atakuje, i to bardzo ostro, wprost Gomułkę, a nie jego pupilów. (Ben Gomułkę chwali). Marginesowa w tym artykule próba zdezauowania Putramenta budzi przypuszczenie, że Putrament był przeciwny ponownemu rewoltowaniu opinii publicznej; przypuszczenie to harmonizowałoby z faktem, że w latach 1956 i 1957 Putrament był bardziej od innych Puławian ostrożny i chwiejny. Właśnie ten artykuł stwarza podstawę do przypuszczeń, że w łonie grupy nie ma jednomyślności co do tego, czy i jak prac publicznie brudy.

5. *Pewne ożywienie prasy.* Publikowanie artykułów krytycznych. Mam tu na myśli przede wszystkim długofalową akcję par excellence Puławskiej „Polityki” drukowania materiałów, dotyczących życia na prowincji. Jest to próba poważniejszego trafienia do masowego czytelnika i nawiązania z nim jakiegoś kontaktu.

Ale jedna rzecz w porównaniu z r. 1956 zmieniła się zasadniczo. Puławianie wysilają się, a naród nie reaguje. Być może zabrakło bodźca równie silnego, jak tajny raport Chruszczowa. Błąd niewykorzystania okazji XXII Zjazdu mści się na Puławianach straszliwie. Ale istotniejsze jest wielkie rozpowszechnienie się postaw apatii, apolityczności, indyferentyzmu i konformizmu. Po to, żeby tym razem poruszyć masy, Puławianie musieliby podjąć kroki o wiele bardziej zdecydowane, niż w r. 1956. A tymczasem to, co zrobili dotąd jest mniej zdecydowane i pełne wahań.

Chcę, żeby moja konkluzja była dzwonem alarmowym. W Polsce frakcje wzięły się znowu za łby. Oznacza to, że powstaje obecnie nowa wyjątkowa koniunktura na demokratyzację, na powtórzenie się w jakiejś formie tego, co się stało w r. 1956. Ale warunkiem niezbędnym do wykorzystania tej koniunktury jest, żeby naród polski nie przyglądał się bezczynnie i obojętnie temu, co na szczytach drabiny społecznej wyprawiają jego władcy.

XVI

Klub Krzywego Koła był dla Puławian swoistą klapą bezpieczeństwa. Puławianie, od chwili swoich pierwszych popaździernikowych niepowodzeń, niewątpliwie liczyli się z tym, że mogą się jeszcze kiedyś znaleźć w sytuacji groźnej. Z pewnością obawiali się w szczególności dwóch rzeczy: wyemancypowania się aparatu policyjnego spod kontroli K.C. i jakiejś wymierzonej przeciwko nim propagandy antysemitkiej.

Puławianie mogli zawsze liczyć na to, że w walce z samowolą policji i z antysemityzmem uzyskają bez trudu poparcie tych kół, jakie skupiały się w Klubie i wokół Klubu. Być może liczyli także na to, że te koła uda im się w typowy dla nich sposób oszukać: np. że pod sztandarem walki z antysemityzmem uda im się zwerbować je także do walki z przeciwnikiem, któremu bynajmniej o sprawy rasowe by nie chodziło. W każdym razie, Puławianie byli politykami, którzy wcześniej i trafnie zrozumieli, że kiedy opinia publiczna nie dysponuje normalnymi środkami wyrażania swoich nastrojów, intelektualiści mają szczególne szanse, aby stać się jej leaderami. Niewątpliwie w zrozumieniu tego prawa Puławianie zawsze zabiegali o kontakty — także prywatne — ze środowiskami intelektualistów i nigdy kontaktów tych nie zaniedbywali. Klub, przez swoje powiązania

z ogromną ilością osób wpływowych, posiadających głośne nazwiska i cieszących się autorytetem, mógł stać się szczególnie cenną bazą oddziaływania na elitę intelektualną kraju. W sytuacji, w której Puławianie wciąż dysponowaliby prasą i innymi środkami masowej komunikacji, rola Klubu mogłaby być dla nich drugorzędna. Ale po pierwsze, nie mogli mieć pewności, że w momencie zagrożenia będą prasą dysponować, a po drugie, doświadczenie ich uczyło, że zawsze jest coś, czego opublikować nie podobna, a co warto przekazać społeczeństwu drogą ustną. Dość centralne położenie Klubu na mapie kulturalnej Polski dawało gwarancje, że informacje i sugestie będą się stamtąd stosunkowo szybko rozchodzić naprzód po stolicy, a potem po całym kraju.

Wydaje się, że w kalkulacjach Puławian na temat Klubu istotną rolę odgrywało jeszcze jedno oczekiwanie. Puławianie nigdy nie zapomnieli, że Natolińczycy mają poza szeregami partii sojusznika. Kiedy próba wykończenia PAX-u przez secesję grupy Frankowskiego zawiodła, i kiedy Piasecki skutecznie schronił się pod opiekuńcze skrzydła Gomułki, Puławianie musieli zacząć myśleć o jakichś innych środkach walki ze swoim byłym agentem. Co do stanowiska Klubu wobec PAX-u nie było żadnych wątpliwości. Jeszcze w październiku 1956 r. Klub uchwalił rezolucję, domagającą się wykluczenia Bolesława Piaseckiego z Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Następnie w r. 1957 zorganizował zebranie, poświęcone rozlicznym publikowanym w tym czasie artykułom Piaseckiego: ton wypowiedzi, jak łatwo się domyślić nie był przychylny dla Piaseckiego. Ale decydującą chyba rzeczą była, napisana w r. 1959, przez jednego z czołowych działaczy Klubu, Jan Józefa Lipskiego, książka na temat ideologii kierowanego przez Piaseckiego przed wojną stronnictwa O.N.R.-Falanga. Lipski podpisał na tę książkę umowę z wydawnictwem „Książka i Wiedza”. Niezależnie od tego po jej napisaniu zaproszono go na kilka zebrań dyskusyjnych, na których miał referować różne jej fragmenty. Pierwsze takie zebranie odbyło się w Związku Literatów, gdzie zjawiała się cała masa osób z otoczenia Piaseckiego i gdzie doszło do bardzo burzliwej z nimi dyskusji. Drugie takie zebranie miało się odbyć w Klubie, ale wygłoszenie referatu zostało w ostatniej chwili zakazane przez władze. Co więcej, umowa wydawnicza została z Lipskim zerwana i zarówno on jak i ówczesny przewodniczący Klubu, Aleksander Małachowski, zostali w trybie karnym pozbawieni pracy.

Był to jedyny w dziejach Klubu przypadek, kiedy władze zdecydowały się środkami administracyjnymi nie dopuścić do wygłoszenia referatu i odbycia się dyskusji. Fakt, że podlegającym takiej szczególnej ochronie tematem była O.N.R.-Falanga ma niewątpliwie swoistą wymowę. O ile można sądzić, zarówno o zakazie odbycia zebrania jak i o represjach wobec Lipskiego

i Małachowskiego zdecydowali Puławianie. Piasecki, jak się zdaje, nie uchylał się w tym momencie od otwartej dyskusji; jest w każdym razie faktem, że na zebraniach pojawiało się wielu odpowiedzialnych PAX-owców i że zakazem odbycia zebrania w Klubie wydawali się oni nie mniej zaskoczeni, niż kierownictwo Klubu. Natomiast Puławianom, zaangażowanym po uszy w walkę gabinetową z PAX-em, było w tym czasie zdaje się nie na rękę dostarczanie przeciwnikom argumentów, że znów wychodzą z tą walką na ulicę.

Byłem wtedy wraz z całą grupą kolegów przekonany, że to jest początek końca i że następnym krokiem będzie rozwiązanie Klubu. Ale wkrótce potem rozpoczęły się pertraktacje zarządu Klubu z władzami. W czasie tych pertraktacji ze strony władz stawiano jakieś warunki, dyskutowano jakieś szczegóły i w końcu wszystko rozeszło się po kościach. Lipskiemu i Małachowskiemu nie przeszkadzano w uzyskaniu nowej pracy i działalność Klubu powróciła na normalne tory. Konsekwencję i upór władze wykazały wówczas właściwie tylko w sprawie tego jednego referatu. Klub jako taki zostawiono w końcu w spokoju.

Opowiedziałem specjalnie ze szczegółami o historii referatu Lipskiego, gdyż wydaje mi się ona pouczająca. Puławianie, kiedy nie mieli zamiaru z czymś wychodzić na ulicę, potrafili się stanowczo bronić przeciwko komuś, kto, jak w tym wypadku choćby całkiem mimowoli, ich na tę ulicę wyciągał. Ale jednocześnie jakby wiedzieli, że może przyjść moment, kiedy jednak będzie trzeba odwołać się do społeczeństwa lub przynajmniej do jego elity. I dlatego tych, na których pomoc mogli w takiej sytuacji liczyć, trzymali na wszelki wypadek w rezerwie. W ostatecznym rachunku książka Lipskiego nie zaszkodziła Klubowi. Raczej wprost przeciwnie.

Zarówno w toku wspomnianych pertraktacji, jak i przy innych okazjach można było wprost odnieść wrażenie, że pomimo rozmaitych pretensji jesteśmy w gruncie rzeczy chronieni przez jakieś wpływowe koła partyjne: chronieni przede wszystkim przed możliwymi skutkami denuncjacji delatorów niższych rang. Były na przykład takie sytuacje, że Komitet Dzielnicowy partii sarkał okropnie i słał jeden memoriał za drugim, a z przedstawicielami (zawsze bardzo Puławskiego) Komitetu Warszawskiego było ściskanie rączek. Memoriał Bolesława Piaseckiego do władz śledczych z dnia 12 września 1958 r., oskarżający Klub wraz z szeregiem innych grup, działających w kraju i za granicą (m.in. także „Kulturę”) o współnictwo w porwaniu i zamordowaniu Bohdana Piaseckiego i domagający się wszczęcia przeciwko wszystkim wymienionym grupom czynności śledczych, nie miał na postępowanie władz wobec Klubu najmniejszego wpływu. Nawet wtedy, kiedy Klub, jak to pisałem we wstępie, był już zupełnym anachronizmem, kiedy jego istnienie

kłuło w oczy, kiedy prostoduszni, nieświadomi krętych dróg, którymi chadza władza, delatorzy szaleli ze zgorzenia, ktoś na wyżynach dbał o to, żeby nic szczególnie złego (pomniejsze wykany owszem!) nam się nie stało.

Oczywiście cały ten układ stosunków był możliwy tylko pod pewnymi warunkami. Gdyby Klub, za sugestiami pewnych kolegów, włączył się w jakąś grę polityczną, gdyby próbował w dalszym ciągu, tak jak to robił w r. 1956, oddziaływać na załogi fabryczne, w ogóle gdyby okazał się zbyt ekspansywny, byłby prawdopodobnie zlikwidowany bardzo szybko. Czym mogła grozić ekspansja Klubu na środowiska robotnicze, przekonaliśmy się jeszcze w „liberalnym” roku 1957, kiedy aktywistom pozostającego w kontakcie z KKK klubu dyskusyjnego w fabryce radiodbiorników im. Kasprzaka z dnia na dzień wymówiono prace. Tolerowano nas jako rezerwę, która w pewnym momencie ewentualnie może się do czegoś przydać, a nie jako somuszniaka, od którego oczekuje się aktywności. Sprawa książki Lipskiego świadczyła o tym, że działanie, które — choćby przez nieporozumienie — zostanie poczytane za próbę włączenia się przez Klub do gry politycznej, spotka się ze stanowczym sprzeciwem; cóż więc dopiero, gdybyśmy się naprawdę do jakiejś gry politycznej próbowali włączyć. Ale jak długo Klub był zorientowany raczej na długofalowe efekty działalności kulturalnej i jak długo formy jego pracy były spokojne, tak długo jego tolerowanie było możliwe.

Kierownictwo Klubu z pewnością nie cieszyło się sympatią Puławian: represje wobec Lipskiego i Małachowskiego były najlepszym tego dowodem. Ale nie wykluczam i tego, że Puławianie z początku chcieli pozostawić Klubowi pewną niezależność. Skoro tolerowali Klub po to, żeby w razie potrzeby wykorzystać autorytet, jakim się cieszył, to być może wychodzili z założenia że nie opłaca im się autorytetu tego podważać przez jakieś działania, zmierzające do jego agenturalizacji. Wydaje się jednak, że później, w miarę jak Klub budził ich coraz większy niepokój, chcieli zmienić taktykę i Klub od siebie uzależnić, przez zapewnienie mu odpowiedniego kierownictwa. W r. 1957 agenci Puławscy do tego, co się w Klubie działo, nie wtrącali się prawie zupełnie. Później jednak zaczęto poddawać Klub coraz ściślejszej obserwacji, aż w r. 1959 po raz pierwszy padło żądanie wprowadzenia członków P.Z.P.R. do jego zarządu. Wtedy jednak wystąpiło zjawisko, o którym pisałem we wstępie: nie było ludzi, którzy by się do tej roboty palili.

Dlaczego wobec tego Klub w końcu zlikwidowano? Czy był to skutek przegranej Puławian w związku ze sprawą Hollanda?

Według wszelkiego prawdopodobieństwa zrobili to sami Puławianie w nowej sytuacji, jaka się wytworzyła we wrześniu 1961 r. Aresztowanie dwóch członków Klubu, Anny Rudzińskiej i Jerzego Kornackiego, zostało wyraźnie wykorzystane przez

Biuro Śledcze jako dogodna okazja do wysyłania alarmujących raportów na temat Klubu do władz partyjnych. Jednocześnie represje karne przeciwko członkom Klubu i w ogóle fakt konfliktów Klubu z policją, zjednywały mu sporo sympatii i popularności. Klub zaczął być coraz częściej i coraz szerzej uważany za jakąś grupę opozycyjną. Frekwencja na zebraniach wzrastała. „Wolna Europa” i inne radiostacje zachodnie zaczęły się dość jawnie z Klubem solidaryzować. W tej sytuacji dalsze, choćby ciche chronienie Klubu zaczynało być dla Puławian rzeczą krępującą i ryzykowną.

Mimo to są dane, że Puławianie wciąż jeszcze z Klubu nie rezygnowali. Kiedy wszystkim członkom K.C. doręczono kopie raportu Biura Śledczego wraz z zapytaniem, czy uważają dalsze istnienie Klubu za wskazane, tylko paru poszczególnych Puławian dało odpowiedź pozytywną lub wstrzymało się od wyrażenia opinii. Mimo to z wykonaniem decyzji większości K.C. jeszcze jakiś czas zwlekano, jeszcze jakaś siła nas chroniła. Decydującym momentem był dopiero dzień 1 lutego 1962 r.

Dnia tego odbyło się zebranie Klubu z referatem dyskusyjnym Adama Schaffa pt. „Konflikt humanizmów”. Schaff, człowiek niewątpliwie ściśle związany z grupą Puławską, kilkakrotnie zapewniał członków zarządu Klubu o swojej dla Klubu sympatii i oświadczał gotowość współpracy. W okresie poprzedzającym jego ostatni odczyt w Klubie, Biuro Śledcze żywo się nim interesowało i gromadziło przeciwko niemu obciążające materiały. Był on zdaje się jednym z tych niewielu członków K.C., którzy opowiedzieli się za dalszym egzystowaniem Klubu. Zdecydował się przyjąć zaproszenie do wygłoszenia odczytu w Klubie, zdając sobie niewątpliwie sprawę z tego, że przeciwko Klubowi odbywa się policyjna nagonka i że postanowienie likwidacji Klubu już zapadło. Wcale nie wykluczam tego, że Schaff chciał wtedy jeszcze w jakiś sposób Klub ratować. Oczekiwał on od Klubu tylko jednej rzeczy: posłuchu i aprobaty. Ale było to właśnie to, czego Klub mu dać nie mógł, gdyż wszelkie kłakierstwo przekreślało w ogóle sens istnienia Klubu. Kiedy Schaff spotkał się ze sprzeciwem, normalnym sprzeciwem, z jakim mógł się spotkać każdy nasz prelegent, wpadł we wściekłość i zaczął personalnie obrażać dyskutantów. Dalsze wypadki to już jest jego intryga. Najprawdopodobniej Schaff skomentował frakcyjnym przyjaciółom swoje prestiżowe niepowodzenie w Klubie w ten sposób, że Klub jest grupą, na sojusz z którą nie można liczyć; że można się obawiać, że w decydującej chwili zaczniemy, na przykład, pomagać Natolińczykom albo zrobimy coś innego, czego nie da się przewidzieć. To jest przypuszczenie. Natomiast jest faktem, że Schaff maczał ręce aż po łokcie w ordynarnej policyjnej prowokacji, wykonywanej rękami zwykłych lumpów i kryminalistów, dostarczając w ten sposób ostatecznego argumentu za rozwiązaniem Klubu, które nastąpiło

cztery dni po jego odczycie. W prowokacji tej, której przebieg zreferuję szczegółowo w rozdziale 5, poza Schaffem bierze udział jeszcze jeden członek Puławskiego sztabu (Wincenty Kraśko) oraz kilku menadżerów pomniejszych. Podkreślam, że intryga Schaffa nastąpiła już po postanowieniu zamknięcia Klubu. To, co zrobił Schaff, to była jedynie usłużna pomoc w wykonaniu tego postanowienia w sytuacji, w której wykonanie natrafiało na jakieś przeszkody, opory czy choćby tylko ulegało zwłóce.

Moja opinia, że Klub istniał dzięki politycznym kalkulacjom Puławian i przestał istnieć wskutek utraty zaufania Puławian jest oczywiście tylko hipotezą, która będzie musiała w przyszłości być przewietrzana przez nowe fakty, jakie będą niewątpliwie jeszcze wychodzić na jaw. Fakty, które znam, przemawiają jednak, jak mi się wydaje, dość mocno za tą hipotezą i przeciwko hipotezom konkurencyjnym, które omówiłem we wstępie. Dla mnie osobiście przekonanie to jest czymś wyjątkowo niemiłym. Pisanie o tym, jak instytucja, w którą włożyłem tyle serca, była w istocie przedmiotem jakichś manewrów i przetargów ze strony cynicznych stalinowskich łobuzów może mi sprawiać tylko przykrość. Ale z ogólnego punktu widzenia historia ta powinna, moim zdaniem, budzić optymizm. Pokazuje ona bowiem, że konstruktywna i naprawdę niezależna robota kulturalna jest w pewnych wypadkach możliwa nawet w okresach intelektualnego terroru. Muszą się tylko do tego znaleźć ludzie z inicjatywą, skłonni do wynajdywania okazji i wykorzystywania koniunktur. W Klubie Krzywego Koła tacy ludzie się znaleźli.

R o z d z i a ł 2

RUCH KLUBOWY 1955-1957

I

Liberalna koniunktura lat 1955 i 1956 została wykorzystana do przeprowadzenia dwóch ważnych i pożytecznych rzeczy na odcinku organizacji młodzieżowych. Jeszcze w r. 1955 zaczęto tworzyć Kluby Dyskusyjne młodej inteligencji, a w r. 1956 — wskutek umiejętnie prowadzonej kampanii propagandowej — zmuszono po dłuższych oporach ówczesne kierownictwo Związku Młodzieży Polskiej (ZMP) do rozwiązania organizacji.

Obie inicjatywy, jak dobrze wiadomo, wyszły z grona zespołu redakcyjnego *Po Prostu*. W tym miejscu interesować się będę w zasadzie tylko pierwszą sprawą; druga wykracza poza temat książki. Chciałbym jednak przed tym zwrócić uwagę na pewne charakterystyczne cechy wspólne obu akcji.

Jest rzeczą niezmiernie ciekawą jak w obu tych przypadkach nad konsyderacjami natury politycznej górowały konsyderacje natury moralnej. Zdaję sobie sprawę z tego, że z perspektywy kilku lat, lub kilku tysięcy kilometrów, łatwo jest, nawet jeżeli się o tym wyraźnie nie pisze, przypisywać młodym redaktorom *Po Prostu* takie motywy, jak — w pierwszym wypadku — chęć stworzenia przeciwwagi dla wszechwładnej jeszcze wówczas ZMP, a w drugim wypadku — wręcz chęć stworzenia jakichś zarodków systemu wielopartyjnego. Tymczasem tak nie było. Zespół *Po Prostu* był — o czym jeszcze będę miał okazję mówić — wbrew pozorom zespołem pod każdym względem bardzo niejednorodnym. W zespole tym byli typowi adepci Instytutu Kształcenia Kadr Naukowych KC PZPR, pełni niezachwianej wiary w absolutną słuszność marksizmu-leninizmu i ludzie myślący kategoriami nowoczesnego empiryzmu: odważni do szaleństwa najbardziej skrajni radykałowie społeczni i ostrożni taktycy o przekonaniach w gruncie rzeczy dość konserwatyw-

nych, ludzie, którym nikt nigdy przekonani nie dyktował i ludzie przysłani do redakcji przez KC. Przy takiej różnorodności ten czy ów działacz mógł wprawdzie snuć takie czy inne kalkulacje polityczne, ale mimo to motywy wystąpienia zespołu z tymi inicjatywami nie były bynajmniej dyktowane względami politycznymi. Mogę to stwierdzić nie tylko na podstawie artykułów i tekstów programowych drukowanych w piśmie, ale także na podstawie rozmów z osobami, które w inicjatywach tych odegrały zupełnie zasadniczą rolę.

Sprawa klubów dyskusyjnych wynikała wskutek decyzji zespołu rozszerzenia bazy czytelniczej pisma. Do r. 1955 *Po Prostu* było pismem przeznaczonym w zasadzie wyłącznie dla studentów i skoncentrowanym na problematyce studenckiej. W r. 1955 zespół decyduje się wyjść poza te wąskie ramy i przekształcić się w pismo młodej inteligencji. Decyzja ta pociąga za sobą w konsekwencji bliższe zainteresowanie się losem absolwentów wyższych uczelni, w znacznej części żyjących z nakazu komisji przydziału pracy na prowincji. Absolwenci ci, pozbawieni możliwości dokończenia się, pozbawieni dostępu do jakichkolwiek sensownych rozrywek podlegali szybkim procesom psychicznej i intelektualnej degeneracji. Zjawiskiem dla zespołu *Po Prostu* szczególnie alarmującym było to, że absolwenci ci, nawet jeśli w czasie studiów byli aktywistami PZPR-u, w prowincjonalnych środowiskach ulegali presji klerykalnej, chodzili do kościoła, zawierali śluby kościelne itp. Intencją zespołu *Po Prostu* było zapobieżenie tej degrengoladzie przez tworzenie sieci zrzeszeń, których celem byłaby kulturalna, intelektualna i społeczna aktywizacja tych ludzi.

Mimo że, jak już wspominałem, sprawa likwidacji ZMP nie należy do tematu tej książki, warto dla porównania wspomnieć, że akcja ta też nie była podjęta z motywów politycznych, lecz raczej z motywów moralnych. Historyczne artykuły *Po Prostu* pt. „Co robić?” i „Co robić dalej?” były nie tyle krytyką ideologii czy programu ZMP, ile krytyką ogłupiającego i deprawującego wpływu, jaki organizacja ta wywierała na swoich członków, ucząc ich koniunkturalizmu, donosicielstwa, bezmyślności itp. W wypowiedziach na temat ZMP, podobnie jak w wypowiedziach na temat absolwentów dominuje nuta protestu moralnego: natomiast element myśli politycznej w każdym razie nie występuje jasno.

Pewne analogie zachodzą także w przebiegu obydwu akcji. Zarówno kluby dyskusyjne jak i zainicjowane przez *Po Prostu* na miejsce ZMP tzw. grupy działania rewolucyjnego oraz inne powstające w ciągu r. 1956 grupy młodzieżowe, miały być w zamierzeniu zrzeszeniami niezależnymi. W pewnym momencie powstaje idea federalizacji tych zrzeszeń. W obu wypadkach zespół *Po Prostu* nie ma, jak się zdaje, jasnej idei czy należy federalizować te zrzeszenia czy federalizacji przeciwdziałać. (Oczy-

wiecie należało przeciwdziałać, gdyż istnienie ośrodka centralnego ułatwiało odgórną kontrolę PZPR-u nad całym ruchem). W każdym razie w obu wypadkach postępowanie zespołu jest niekonsekwentne. Skutek jest taki, że tzw. Ogólnopolski Ośrodek Klubów Dyskusyjnych jest od pierwszej chwili zwykłą agencją, a federację nowopowstałych grup młodzieżowych w tzw. Rewolucyjny Związek Młodzieży realizują w praktyce właśnie ci członkowie zespołu *Po Prostu*, którzy byli w jak najlepszych stosunkach z Biurem Prasowym KC PZPR i jego kierownikiem Arturem Starewiczem. Następnym etapem jest rozbijanie ruchu klubowego przez Ogólnopolski Ośrodek oraz samolikwidacja R.Z.M., będąca skutkiem wyrażenia zgody na komiczny „arbitraż” KC PZPR w sporze z nic nie znaczącą lokalną młodzieżową grupką Natolińską z Górnego Śląska. Dzisiejszy ZMS jest owocem połączenia R.Z.M.-u z tą grupką; połączenia zakomenderowanego właśnie przez ten „arbitraż”.

II

Zdaję sobie sprawę, że to co tutaj mówię o różnorodności zespołu *Po Prostu* i o niekonsekwencjach linii politycznej tego pisma, może niejednego czytelnika zdziwić. *Po Prostu* ma dziś swoją legendę i przeszło do historii jako swojego rodzaju symbol. Legenda ta jest w pełni uzasadniona; nie jest w najmniejszym stopniu moją intencją negowanie czy choćby pomniejszanie znaczenia faktu, że pismo to od 1955 r. torowało drogi demokratyzacji w Polsce i że spełniło rolę przywódczą w ruchu masowym, jaki w Polsce, w r. 1956, doszedł do głosu. Nie mam najmniejszego zamiaru negować faktu, że zespół redakcyjny tego pisma ma zasługi ogromne, że bez jego inicjatywy nie byłoby nie tylko likwidacji ZMP czy Klubów Dyskusyjnych, ale także nadal byłoby pełno żółtych firanek, Ministerstwo Handlu Zagranicznego byłoby nadal domeną międzynarodowych aferzystów, województwo Kieleckie byłoby nadal rządzone przez pospolitych bandytów, nie byłoby eksperymentów Nowosądeckich itd. itd. Co ważniejsze, zespół ten potrafił, publikując i cytując fakty, dane i dokumenty, pokazać, że w całej Polsce, a nie w jednym ministerstwie czy jednym województwie, jest bardzo źle: że w każdej dziedzinie i w każdym rejonie sytuacja wymaga radykalnej naprawy. Na tym, jak sądzę, polega największa zasługa tych ludzi. Do tego wszystkiego należy dodać, że zespół okazał rzadką w Polsce cnotę walki o zasady, a nie o ludzi. Kiedy postulaty personalne pisma zostały (mniej więcej) zrealizowane, a postulaty rzeczowe były wciąż dalekie od realizacji, zespół potrafił odmówić oświadczenia, że wszystko jest w porządku, stawić opór i nie poddać się bez walki, i to walki prowadzonej konsekwentnie i z honorem.

To są rzeczy ogólnie znane: wspominam o nich dlatego, żeby nie być posądzonym, że pisząc o błędach i niepowodzeniach pisma, zapominam o jego wielkości. Należy jednak pamiętać, że pismo nie mogłoby spełnić swojej roli i robić tego co robiło, gdyby mu na to nie pozwolono i gdyby mu w tym nie udzielano poparcia. Prawa cenzury są żelazne i *Po Prostu* nie stanowi tu wyjątku. Szczególnie inspirującą rolę w kierowaniu pisma na tory walki o demokratyzację odegrał ówczesny sekretarz KC PZPR, Jerzy Morawski; ale nawet znany ze sztywnego dogmatyzmu Roman Werfel znajdował okazję, żeby pismo chwalić. Puławianie mieli w łonie zespołu redakcyjnego grupę swoich ludzi. Szczególna rola, jaką pismo odegrało, była skutkiem nie tego, że było ono całkowicie od władz partyjnych niezależne, gdyż gdyby tak było, to pismo nie mogłoby egzystować. Odegranie dużej roli było możliwe dzięki temu, że większość zespołu potrafiła maksymalnie wykorzystać „liberalną” koniunkturę: tam gdzie trzeba stawić machinacjom Puławskim opór i na grupę agentów Puławskich wyrzucić presję, w każdym razie na tyle skuteczną, że nawet oni zmuszeni zostali do jedności działania w momencie likwidacji pisma (z żalonym wyjątkiem Barbary Kałamaciej).

Pragnę tu opowiedzieć pewien epizod, który rzuca wyjątkowo ciekawe światło na stosunki wewnętrzne w redakcji *Po Prostu*. Mężem zaufania Puławian w zespole redakcyjnym była przede wszystkim zastępczyni redaktora naczelnego, Anna Bratkowska. Była ona niewątpliwie jednym z najzdolniejszych agentów, jakimi Puławianie dysponowali. Do jakiego stopnia cieszyła się zaufaniem swoich mocodawców, może świadczyć fakt, że w pewnym momencie została — nie przestając pełnić swoich obowiązków w *Po Prostu* — bez wiedzy zespołu, mianowana zastępcą kierownika Biura Prasowego KC PZPR, Artura Starewicza. Natychmiast po tej nominacji, Bratkowska zaczęła jeździć po całej Polsce i w imieniu redakcji *Po Prostu* perswadować redakcjom nowopowstałych, efemerycznych pisemek, jakich cała masa zaczęła się wówczas w Polsce ukazywać, żeby z uwagi na rozmaite wyższe względy zaniechały dalszej działalności. Jeżeli perswazje nie odnosiły skutku, redakcje dobrych rad słu chać nie chciały — nagle okazywało się, że przedstawicielka zaprzyjaźnionej, cieszącej się takim autorytetem redakcji, piastuje jakąś administracyjną władzę zwierzchnią nad tymi pismami, wskutek czego rozmowy z nią od razu zmieniały swój charakter. Cała ta zabawa trwała jednak bardzo krótko, gdyż zespół *Po Prostu* bez dłuższych ceregieli zażądał natychmiastowej rezygnacji Bratkowskiej z jednego z dwóch stanowisk. Bratkowska z początku się opiera, ale w końcu widząc, że dalszy opór doprowadziłby tylko do wyrzucenia jej z redakcji, decyduje się ulec: zdaje się, że miała ochotę trzymać się KC, ale ostatecznie „poradzono” jej, żeby wybrała pismo. Mimo, że w tej

sprawie Bratkowska ostatecznie uległa, w innych sprawach odnosiła sukcesy. Udało się jej np. przejąć inicjatywę organizacyjną przy tworzeniu Rewolucyjnego Związku Młodzieży i (wraz z Romanem Zimandem) walczyć przyczynić się do upupienia imprezy. Ten sukces nie był przy tym bynajmniej odosobniony. Na dobro Bratkowskiej można jednak zaliczyć fakt, że później, przed Komisją Kontroli Partyjnej, wraz ze wszystkimi odmówiła samokrytycznego potępienia postępowania zespołu w czasie rozruchów 1957 r. Mimo to, jej poprzednie zasługi dla władzy ludowej były uznane za tak poważne, że w przeciwieństwie do innych członków zespołu pozwolono jej w partii pozostać. (Teoretycznie istnieje możliwość, że składała ona jakieś samokrytyczne deklaracje tajne i że to ją uratowało: osobiście nie sądzę jednak, żeby tak było).

III

Umyślnie pozwoliłem sobie na te dygresyjne uwagi o organizacjach młodzieżowych i o *Po Prostu*. Sądzę, że pomogą one czytelnikowi w rozumieniu ukrytych elementów sytuacji i ukrytych sił, które odgrywały rolę także w kształtowaniu się ruchu klubowego.

Zespół *Po Prostu* przystępuje do akcji z właściwą sobie energią. Jego inicjatywa trafia na grunt podatny: w odpowiedzi na apel pisma, jeszcze na jesieni 1955 r., Kluby powstają jak grzyby po deszczu zarówno w dużych jak i małych miastach, w najrozmaitszych częściach kraju. Warto zanotować, że chronologicznie pierwszym był klub w Brzozowie, zapadłej miejscinie w woj. Rzeszowskim, oddalonej ileś tam kilometrów od najbliższej stacji kolejowej. Klub ten borykał się później z takimi zagadnieniami, jak pomówienia o rozpustę ze strony otoczenia księdza proboszcza (z powodu zabawy sylwestrowej). Wspominam o tym dlatego, że historia ta nasuwa myśl, że właśnie w atmosferze beznadziejności życia na prowincji potrzeba społeczna podobnych zrzeszeń była pilniejsza niż w wielkich miastach, gdzie pole dla zaspokojenia ludzkich potrzeb aktywności i twórczości było szersze. Ich żywot był najczęściej dość krótkotrwały i jakoś smutny. Entuzjazm, który towarzyszył ich powstaniu, wskutek borykania się z codziennymi kłopotami, dość szybko ostygał. Większość prowincjonalnych klubów załamywała się pod wpływem przeszkód równie niepoważnych jak te, które wymieniałem w związku z Brzozowem: najczęściej były to spory z lokalnymi kacykami partyjnymi, szykany lokalnych władz, rywalizacje osobiste itp. Jak długo sytuacja polityczna była napięta, tak długo kluby te jakoś się trzymały, ale kiedy na wiosnę 1957 r. zabrakło aktualnych tematów do namiętych dyskusji

kluby zaczęły się po prostu rozłazić. O ile z początku stawiano sobie zwykle ambitne cele i formułowano dość nierealistyczne plany i projekty, o tyle później kluby stawały w obliczu braku tematu do dyskusji, braku prelegenta, czy braku audytorium; w tej sytuacji bądź przestawały istnieć, bądź przekształcały się w grupki urządzające jakieś imprezy towarzyskie, czy w najlepszym wypadku artystyczne. Niekiedy PZPR musiała pomagać temu procesowi przez stosowanie represji: tak było w Łęczycy, w Kolnie, w Szczytnie (woj. Olsztyńskie), a na znacznie większą skalę w stosunku do poważniejszych klubów w Krakowie i Częstochowie. Ale bodaj częściej degrengolada klubów prowincjonalnych odbywała się bez pomocy PZPR-u; represje spadały natomiast na izolowanych działaczy wtedy, kiedy kluby już nie istniały. Tragiczny był często los aktywistów klubowych na prowincji, zupełnie bezbronnych wobec szykan lokalnych władz. Nie zapomnę rozmowy z jednym z czynnych przy organizacji ruchu klubowego redaktorów *Po Prostu*, który wyrażał wątpliwość czy kluby należało w ogóle organizować. Argumentował on, że w wielkim mieście jednostka szykanowana przez władze zawsze ma dokąd pójść i jest w stanie jakoś sobie poradzić; natomiast na prowincji można ją „wykończyć” kompletnie. Za los tych ludzi mój rozmówca czuł się odpowiedzialny. Jest faktem, że UB, ledwie zdążyło ocknąć się ze strajkowych perturbacji w listopadzie 1956 r., natychmiast zainteresowało się żywo ruchem klubowym. Wyrazem tego zainteresowania było m.in. włamanie się do lokalu redakcji *Po Prostu* i kradzież dokumentów dotyczących ruchu klubowego. Seria szykan personalnych przeciw działaczom klubowym dowodziła następnie, że papiery te bynajmniej nie utknęły w szufladach biurokratów. Jest też faktem, że sytuację, jak zwykle, wykorzystał mądry Bolesław Piasecki, który niejednemu kompletnie wykończonemu przez władze aktywiście klubowemu zaoferował pracę w którejś z PAX-owskich instytucji, lub udzielał pomocy w innej formie, werbując sobie w ten sposób zwolenników spośród jednostek wyróżniających się zwykle aktywnością i inteligencją.

Nie chcę tu bynajmniej dorobku klubów prowincjonalnych lekceważyć. Odegrały one z reguły jak najbardziej pozytywną rolę, społecznie i intelektualnie aktywizując ludność danej miejscowości, rozbudzając zainteresowania, podnosząc poziom potrzeb kulturalnych, wywierając nacisk na miejscowe władze i przyczyniając się do lokalnych reform. W dodatku niektóre z nich, jak np. kluby w Łęczycy, w Ozimku na Górnym Śląsku, a zwłaszcza w niektórych miastach średniej wielkości, jak Olsztyn czy Częstochowa, były imprezami o poważniejszym znaczeniu. Ogólnie rzecz biorąc, nie były to zrzeszenia przygotowane do spełnienia jakichś zadań długofalowych, do systematycznego pokonywania przeszkód. Działały raczej na zasadzie zrywu krótkofalowego lub wręcz jednorazowego. Kiedy sytuacja

polityczna w r. 1957 przestała dostarczać codziennych bodźców do działania, na kluby te jakoś zabrakło miejsca.

IV

Spośród klubów powstałych w latach 1955-56 wyróżniały się, rozmachem organizacyjnym i powagą stawianych sobie zadań, cztery kluby warszawskie: „Krzywe Koło”, „Spalony Bezpiecznik”, Klub im. Karola Marksa oraz Klub Inteligencji Katolickiej, dwa kluby poznańskie: „Wyboje” oraz „Zielony Semafor” krakowski klub „Czerwony Pomidor” oraz lubelski klub „Akcenty”. Nie jest zapewne rzeczą przypadkową, że cztery miasta, w których te kluby działały są miastami uniwersyteckimi. W niektórych miastach uniwersyteckich, jak Łódź czy Wrocław, ruch klubowy był znacznie mniej rozwinięty, ale mimo to najlepsze szanse jego rozwoju istniały tam, gdzie była kadra pracowników naukowych i studentów nauk społecznych i humanistycznych. W wielkich skupiskach miejskich Gdańska-Gdyni i Katowic-Bytomia-Gliwic, gdzie uniwersytetów nie ma, żadne poważniejsze inicjatywy klubowe nie powstały.

To co piszę bynajmniej nie oznacza, że kluby te cechował jakiś intelektualistyczny ekskluzywizm. O ile się nie mylę, wszystkie wymienione kluby miały kontakty ze środowiskami robotniczymi swoich miast; wszystkie też występowały z inicjatywami społecznymi, zmierzającymi do aktywizacji załóg fabrycznych; inicjatywy te polegały na pomocy w organizacji klubów fabrycznych, wysyłaniu prelegentów do fabryk, spotkaniach z załogami, zapraszaniu przedstawicieli załóg na własne zebrania itp. Niezależnie od aktywizacji środowisk robotniczych kluby miały, jak się zdaje, ogromne znaczenie w ułatwianiu młodzieży startu życiowego i awansu społecznego. Kluby dostarczały audytorium dla wszelkiego rodzaju indywidualnej twórczości i przez to dostarczały bodźców do kontynuowania i doskonalenia tej twórczości. Uczyły konstruktywnej pracy i dawały poczucie społecznej użyteczności i przez to zapobiegały szerzeniu się demoralizacji i indyferentyzmu. W końcu, co może najważniejsze, dawały poszczególnym jednostkom szerokie kontakty społeczne, przełamując ich społeczną izolację i dając im poczucie, że nie są one zdane wyłącznie na siebie.

Inną wspólną cechą wymienionych klubów był ich namiętny radykalizm społeczny. Elementy skrajnie radykalne dochodziły do głosu nawet w Klubie Inteligencji Katolickiej, mimo że później najbardziej społecznie radykalni przedstawiciele tego Klubu przejawiali pewne tendencje do uciekania stamtąd, przeważnie jednocześnie grawitując do Klubu Krzywego Koła. Nazwa klubu krakowskiego „Czerwony Pomidor”, przyjęta była dla zaakcentowania, że Klub jest czerwony nie tylko „z wierzchu”, ale także

„w środku”. Radykalizm społeczny był tam traktowany na serio i nic dziwnego, że właśnie ten klub został poddany najbardziej miażdżącym represjom policyjnym i administracyjnym, z aresztowaniami włącznie. W środowisku poznańskich „Wybojów” powstawały oryginalne prace z zakresu historii i teorii socjalizmu. Bardziej zorientowany na praktyczną działalność, niż na teoretyczną dyskusję, zbliżony do redakcji *Po Prostu*. warszawski Klub im. Karola Marksa dał początek kilku istotnym inicjatywom politycznym. M.in. zapoczątkował on akcję wysuwania kandydatów na posłów do sejmu, o której jeszcze będę mówił. Radykalizm społeczny zaznaczył się wyraźnie także, w skupiającym przede wszystkim młodych inżynierów i studentów Politechniki, warszawskim „Spalonym Bezpieczniku” oraz zorientowanym bardziej literacko poznańskim „Zielonym Semaforze”.

Represje dotknęły już na wiosnę 1957 r. przede wszystkim krakowski „Czerwony Pomidor”, klub w Częstochowie oraz niektóre kluby w mniejszych miastach jak np. w Kolnie, Łęczycy i Szczytnie. Stosowano represje najrozmaitsze. Członków partii poddawano zwykle upokarzającym przesłuchaniom przed Komisjami Kontroli i usuwano ich z partii. Często uciekano się do karnego zwalniania z pracy. Niekiedy władze wykazywały nielada inwencję w wynajdywaniu środków represyjnych; tak np. aktywistów klubu w Częstochowie aresztowano bez sankcji prokuratorskiej (a więc z możliwością trzymania w areszcie nie dłużej niż 48 godzin) i wywieziono ciężarówkami w nocy kilkadziesiąt kilometrów poza miasto, zmuszając ich do powrotu do domów pieszo. Ciekawe, że władze dążyły we wszystkich, lub lub niemal wszystkich, wypadkach do tego, żeby kierownictwa klubów pod presją szycan personalnych same rozwiązywały swoje kluby; administracyjnej likwidacji klubów raczej unikano. Dlatego w większości wypadków kluby rozwiązywały się same.

Specjalny przebieg miała sprawa krakowska. W Krakowie zastosowano nie tylko metodę aresztowań, ale także, powtórzoną wiele lat później z takim powodzeniem w przypadku Jerzego Kornackiego, metodę szperania w papierach i notatkach osobistych. Dotknęło to przede wszystkim Bernarda Tejkowskiego, którego inicjatywie i rozmachowi organizacyjnemu klub „Czerwonego Pomidora” w dużej mierze zawdzięczał swoje sukcesy. Chcę z naciskiem podkreślić, że represje te wyszły z inicjatywy nowowybranego „październikowego” Komitetu Wojewódzkiego P.Z.P.R., a personalnie ówczesnego pierwszego sekretarza tego komitetu, dr. Bolesława Drobnera oraz jego prawej ręki, literata Władysława Machejka. Na wiosnę 1957 r., kiedy na pozostałych terenach kraju władze partyjne jeszcze się wahały, czy, w jakich wypadkach, w jakim stopniu i jakie represje stosować wobec ludzi mających odmienne poglądy, w Krakowie dwaj partyjni intelektualiści, pozbawieni wątpliwości, śmiało kroczyli w przyszość, wyprzedzając swoją epokę.

V

Zanim przejdę do historii Klubu Krzywego Koła i nieszczęsnego Ogólnopolskiego Ośrodka Klubów Inteligencji, chciałbym poświęcić jeden paragraf Klubowi Inteligencji Katolickiej. Pragnę się jednak wyraźnie zastrzec, że poniższa ocena tego klubu nie dotyczy wyłącznie lat 1955-1957, jakimi się w tym rozdziale zajmuję, ale także późniejszego okresu tego, do dziś dnia istniejącego, klubu. Po to jednak aby dokonać pewnej oceny tego klubu, trzeba powiedzieć wprzód parę słów ogólnie o sytuacji katolicyzmu w Polsce Gomułkowskiej. Jest rzeczą dobrze znaną, że w wyborach styczeniowych 1957 r. weszła do sejmu kilkusobowa grupa bezpartyjnych, liberalnie zorientowanych intelektualistów katolickich. Posłowie ci utworzyli własny klub sejmowy, zaczęli wydawać kilka czasopism, zaczęli wokół siebie grupować jakichś ludzi — słowem powstawało coś, co nosiło wszelkie cechy grupy ideowej, łączącej ludzi na bazie wspólnego programu i wspólnego światopoglądu. Klub Inteligencji Katolickiej był jednym z istotnych ogniw tej grupy. Wraz z całą grupą znalazł się też od razu na pozycjach politycznych niesłychanie drażliwych i śliskich.

Przede wszystkim grupa znajdowała się w sytuacji koncesjonowanej opozycji, która na mocy zawartego uprzednio porozumienia może publicznie krytykować rząd w sprawach drugorzędnych, popierając go w sprawach pierwszorzędnych. Jak zwykle w tego rodzaju sytuacjach, rząd chciał zjednać sobie pewne opozycyjnie ustawione grupy ludności w zamian za udzielenie ich reprezentantom pewnych koncesji. Z drugiej strony fakt, że była to jedyna zorganizowana grupa opozycyjna sprawił, że zaczęły się wokół niej grupować, i wywierać na nią presję, elementy bardziej radykalne, opozycyjne, które podważały cały ustalony *modus vivendi* z rządem. W ten sposób grupa ta znajdowała się w obliczu podwójnej presji: presji ze strony rządu obawiającego się, że grupa przekroczy wyznaczone jej granice swobody i stanie się opozycją bardziej na serio, i presji ze strony elementów prawdziwie opozycyjnych, w oczach których jej *quasi* opozycyjny charakter i dwuznaczność spełnianej przez nią roli coraz bardziej ją kompromitowały.

Były jednak przyczyny dla których pozycja tej grupy była jeszcze bardziej śliska. Grupa ta miała wyraźne ambicje reprezentowania opinii katolickiej w Polsce i dezawuowała konkurencyjne grupy Piaseckiego i Frankowskiego, jako grupy pseudokatolickie. Na tym etapie wszystko było jeszcze O.K.; agenturalny charakter grup Piaseckiego i Frankowskiego był dobrze znany i przed żałosnymi wysiłkami, zmierzającymi do zrównania trzech konkurencyjnych grup w prawach wyrażania myśli autentycznie kato-

lickiej, można się było z łatwością obronić. Kłopot na dobre powstaje wtedy, kiedy z biegiem czasu grupa staje coraz wyraźniej w konflikcie z władzami kościelnymi. Episkopat nie jest, zdaje się, w tej sprawie jednomyślny: jedni biskupi z grupą współpracują, inni współpracy odmawiają. W każdym razie o jakiegokolwiek autoryzacji ich polityki i ich sformułowań programowych ze strony władz kościelnych nie ma mowy. Co więcej, ta polityka i te sformułowania programowe stają się obiektem gwałtownych ataków ze strony oficjalnego watykańskiego *Osservatore Romano*, ataków nb. o poziomie, stylu i mentalności na miarę *Völkischer Beobachter* czy *Komsomolskiej Prawdy*.

Rozdźwięk grupy liberalnych intelektualistów katolickich z miarodajnymi czynnikami kościelnymi nie był wynikiem nieporozumienia. Sądzę, że większą rolę niż różnice polityczne odegrały tu różnice mentalności: dla katolickiego liberalnego intelektualisty komunista, ateista, Żyd, mason itd. są ostatecznie rzeczami równie naturalnymi jak katolik, podczas gdy dla biskupa tylko katolik jest rzeczą naturalną, a wszystko inne zwyrodnieniem. Teoretycznie rzecz biorąc, wszyscy ludzie są braćmi wobec Boga, ale zbyt częste podkreślanie, że komuniści to też bracia wobec Boga, musiało jednak co głębszych biskupów zacząć denerwować. Konflikty ściśle polityczne, jeżeli były, były drugorzędne. Nic mi nie wiadomo o tym, żeby episkopat jakiś swój program polityczny grupie intelektualistów przeciwstawiał, albo żeby chociaż formułował jakąś konkretną krytykę postępowania grupy.

Bez autoryzacji ze strony władz kościelnych grupa musi zrezygnować z ambicji bycia jedynym wyrazicielem myśli katolickiej i stać się jednym z wyrazicieli myśli katolickiej. Co więcej, pewne cechy, jakie intelektualiści ci reprezentowali, takie jak uniwersalizm, tolerancyjność i rezerwa w stosunku do prymitywnych form religijności, jakkolwiek byłyby godne pochwały, coraz bardziej oddalają ich od rzeczywistej opinii katolickiej w Polsce. Intelektualiści ci są tego świadomi: stąd ich naturalny pęd do stwarzania wzorów „innego”, „lepszego” katolicyzmu, do powoływania się na przykład francuskich myślicieli katolickich, usiłujących oderwać kościół od reakcyjnej i kapitalistycznej „do-czesności”, ich radykalizowanie. Chcą pokazać, że można konstruktywnie współpracować z ateistami, że „nie tu przebiega linia podziału”, i to ich zbliża do rządu. Następuje wyraźny proces lojalizacji tych ludzi, łatwo dający się prześledzić w wystąpieniach sejmowych Stanisława Stommy albo w artykułach publicystycznych Stefana Kisielewskiego. Co więcej, w tej sytuacji znikają różnice programowe pomiędzy nimi z „Paxem”; to, co pozostaje, to w gruncie rzeczy tylko różnice personalne. Jedni i drudzy są „lewicowi”, „postępowi”, „za budową socjalizmu”, „za racją stanu”, „za współpracą z rządem”; jedni i drudzy demonstrują „postępową” odrębność swojego katolicyzmu.

Cały ten radykalizm brzmiał przy tym bardzo, ale to bardzo

fałszywie. Po pierwsze, o ile sympatie lewicowe katolików francuskich mogą (też nie muszą) oznaczać przeciwstawianie się *status quo*, o tyle analogiczne sympatie katolików polskich oznaczać mogły tylko chwalenie *status quo*. To jest różnica dość zasadnicza i ustawiczne powoływanie się na francuskie przykłady mogło co najwyżej wprowadzać naiwnych w błąd, ale sytuacji nie zmieniało. Po wtóre, trudno chyba mówić o czymkolwiek radykalizmie tam, gdzie nie ma sytuacji obrony praw jakichś grup ludności przeciw dysponentom władzy (niekonięcznie władzy politycznej). Tymczasem katolicycy intelektualisti nigdy sobie takiego celu nie stawiali: oni reprezentowali ludzi, którzy, rezerwując sobie prawo do pewnych odrębności, chcieli z dysponentami władzy współpracować, a nie walczyć. Punkt widzenia katolickich intelektualistów był od pierwszej chwili „państwowy” a nie „klasowy”. Marksowska myśl, że w warunkach nieuregulowanych pretensji społecznych apelowanie do patriotyzmu, poczucie obywatelskich, wspólnego dobra itp. brzmi obłudnie, była im najzupełniej obca. (Np. jest rzeczą zdumiewającą, że jedyną dziś w Polsce dziedziną, w której ta myśl Marksa jest wyrażana w całej okazałości, jest folklor chuliganów. W samym pojęciu „drętwej mowy” myśl ta jest zawarta). Radykalizm społeczny „nie wyszedł” im tak samo, jak „autentyczny katolicyzm”.

Co więcej, podobnie jak w „autentycznym katolicyzmie” tak i w tym całym radykalizmie społecznym szybko pojawili się konkurenci. Dynamiczna grupa młodych katolików, skupionych wokół pisma „Więź”, z Tadeuszem Mazowieckim na czele, widząc fałszywość tej całej sytuacji wyraźnie zmierzała do przelicytowania intelektualistów starszego pokolenia w radykalizmie; inna sprawa, że i ta grupa wdała się w prowadzące do mandatów poselskich kombinacje taktyczne, które nic dobrego chyba przynieść nie mogły.

Ale wydaje się także, że w ludowym antyintelektualistycznym katolicyzmie ortodoksyjnym mogą w obecnych warunkach występować nuty radykalizmu społecznego bardziej autentycznego, niż u popisujących się swoim radykalizmem intelektualistów. Wcale nie jest powiedziane, że niekatolickie siły społeczno-radykalne, jeżeli mogą znaleźć jakichś sojuszników wśród katolików, to tylko w kołach „rewizjonistycznych” w stosunku do kościelnej ortodoksji intelektualistów. Nastroje te jednak rozbijają się o nihilistyczną postawę episkopatu, skoncentrowanego całkowicie na problematyce skrobanek, rozwodów, krzyży w szkołach, „nauczania światopoglądu materialistycznego” itp. bzdurach, zupełnie indyferentnego we wszystkich innych sprawach społecznych czy politycznych. Z punktu widzenia czysto politycznego jest rzeczą nie do pojęcia, że kościół w Polsce do niczego nie używa ogromnej siły, jaką dysponuje. Gdyby nawet Jezus Chrystus był heroldem państwa policyjnego, to w sytuacji

kościół elementarny nakaz taktyki politycznej wymagałby przypisywania mu idei demokratycznych, a cóż dopiero gdy tak łatwo i w tak naturalny sposób można znaleźć w ewangeliach uzasadnienie dla przeciwstawienia się dzikim prześladowaniom świadków Jehowy, karze śmierci za przestępstwa gospodarcze, ograniczaniu prawa oskarżonego do obrony, podsłuchom telefonicznym i kontroli korespondencji osobistej, cenzurze, biurokratycznej samowoli, szantażom policyjnym, zniesieniu prawa do strajku i tysiącu innych spraw społecznych wielkiej wagi. Niestety kościół w Polsce jest ponad tym. Kościół w Polsce poza paroma sprawami drugorzędnymi o nic nie walczy, i co ciekawsze, zupełnie nie stara się przyciągać do siebie niekatolików i w ogóle kogokolwiek zjednywać; co oczywiście mógłby robić z powodzeniem, gdyby stawiał sobie jakieś zadania. Jest absolutnym fałszem często spotykany w prasie zachodniej pogląd, że kościół jest jedyną w Polsce siłą opozycyjną w stosunku do komunistycznego państwa: w rzeczywistości kościół się tej roli dobrowolnie zrzekł.

Klubowi Inteligencji Katolickiej przypadło w udziale szamotanie się w całym tym kompleksie fałszywych sytuacji, fałszywych pozycji, śliskich i krętych dróg i krzyczących wieloznaczności, które były i są wspólną dolą polskich katolików, a zwłaszcza polskich katolickich intelektualistów w ciągu ostatnich kilku lat. Problemy, które stawały przed członkami tego klubu, były nieraz bardzo ciężkie: różni ludzie rozwiązywali je też na różny sposób. Byli w tym klubie ludzie zbyt radykalni na to, żeby akceptować politykę klubu „Znak” i uważać katolickich posłów do sejmu za swoich reprezentantów. Kiedy przed wyborami 1961 r. w czasie których Stomma i jego klubowi koledzy ubiegali się ponownie o to żeby — nie bardzo wiadomo za co — móc się dalej kompromitować w sejmie, przyszedłem do K.I.K. i kwestię tę poruszyłem, to nie bez zaskoczenia musiałem stwierdzić, że spotkałem się tam w tej sprawie z oddźwiękiem. Z drugiej strony, nie obcą była temu klubowi bigoteria, czołobitny klerykalizm, snobizm towarzyski („dobre domy”), rzeczywisty konserwatyzm społeczny, podobno antysemityzm: wszystko to razem sprawiało, że jednostki bardziej radykalne jakoś czuły, że się tam nie bardzo mieszczą, przejawiały pewne tendencje bądź do buntu, bądź do uciekania z tego klubu. O ile mogłem zauważyć, nie było tam dobrej atmosfery do dyskusji wskutek autorytatywnego wypowiedzania się pewnych księży; inna sprawa, że ci księża na ogół ograniczali się do prostowania „heretyckich” wypowiedzi w sprawach religijnych, a w sprawach pozareligijnych głosu nie zabierali. Odniosłem też wrażenie, że niektórych ludzi stać byłoby na większy radykalizm, gdyby nie paraliżujący wpływ dogmatu boskiego pochodzenia wszelkiej władzy świeckiej: wiara ta w warunkach panowania komunistycznego wydaje się spełniać rolę podobnie samobójczą i podobnie para-

liżującą wszelką zdolność do oporu, jak w warunkach najazdu Corteza wiara Azteków, że przyjdzie do nich kiedyś biały bóg zza oceanu. (Inna sprawa, że trudno tu rozgraniczyć, gdzie się kończy wpływ dogmatu jako takiego, a gdzie się zaczyna wpływ lojalistycznej tradycji, bardzo w katolicyzmie silnej). Dlatego tendencje do buntu przybierały nieraz postać dziwnie podskórną i ukrytą, która pod wpływem jakiegoś bodźca zewnętrznego nagle stawała się gwałtowna i niekontrolowana. Ciekawe, że był to często zarówno bunt przeciwko władzy państwowej jak i kościelnej. Miałem w K.I.K. okazję zaobserwować, jak gorzkie słowa rzucono w oczy księżom, którzy starali się nadać swoim przemówieniom charakter autorytatywny. Jeżeli K.I.K. może być uważany za reprezentatywny dla środowisk inteligenckiej młodzieży katolickiej, to kościołowi grozi niebezpieczeństwo herezji i rewizjonizmów w stopniu nie mniejszym niż P.Z.P.R.-owi.

K.I.K. ma jedną niewątpliwą zasługę. Kierownictwo klubu położyło wielki nacisk na walkę z tym, co jeden z długoletnich działaczy tego klubu w rozmowach ze mną nazywał zawsze „katolicką etnografią”: na walkę z prymitywnymi formami religijności, z mentalnością dewocyjną, z religijnym zabobonem, z zacofanymi wierzeniami. W Klubie tym próbowano wykuwać wzory religijności nowoczesnej i jakoś cywilizowanej. Sprawie tej poświęcono wiele uwagi i, jak się zdaje, odnoszono sukcesy. Trudno przewidzieć, jaka będzie przyszłość katolicyzmu polskiego, ale jeżeli pójdzie on drogą dalszego przystosowywania się do wymogów współczesnej cywilizacji, to Klubowi Inteligencji Katolickiej będzie tu można przyznać rolę prawdziwie pionierską.

VI

Początki Klubu Krzywego Koła są ciemne. Powstał on w mieszkaniu Juliusza i Ewy Garzteckich, przy ulicy Krzywe Koło na Starym Mieście; takie jest proste pochodzenie wywołującej niekiedy różne fantastyczne domniemania nazwy klubu. Małżeństwo Garzteckich skupiło wokół siebie, na jesieni 1955 r., grupę znajomych, z którymi zaczęli odbywać regularne spotkania dyskusyjne na różne tematy. Grono przychodzących osób szybko zaczęło się powiększać, wskutek czego dalsze spotkanie się w mieszkaniu prywatnym przestało być możliwe. Dlatego, jeszcze w r. 1955, zawarto umowę ze Staromiejskim Domem Kultury o przydzielenie stałego lokalu na cotygodniowe zebrania dyskusyjne. Odtąd, aż do końca istnienia Klubu, zebrania odbywały się zawsze w tej samej sali na pierwszym piętrze, mieszczącego się przy Rynku Starego Miasta 2, Staromiejskiego Domu Kultury, zawsze w czwartki o godz. 18-tej.

Kim byli Garzteczy? Przyznam się szczerze, że przeszłość tych ludzi jest tak skomplikowana, że w pewnych szczegółach

wyznać się nie jestem w stanie. Jest faktem, że kolejnymi etapami kariery Garzteckiego był kontrwywiad A.K., Polska Armia Ludowa, wreszcie Informacja Wojskowa i że na każdym z tych etapów miał on co najmniej jeden stopień oficerski więcej, niż na poprzednim. Jest faktem, że oboje Garzteccy pracowali w Ambasadzie PRL w Paryżu i że oboje po powrocie do kraju byli aresztowani i jakiś czas przesiedzieli się w więzieniu. W okresie utworzenia KKK Garzteccy byli członkami Partii, a mówiono, że i czegoś więcej. Podobnie mówiono o pierwszym przewodniczącym Klubu, Stefanie Królu, nie pozbawionym zdolności organizacyjnych, chociaż inteligencją nie dorastającym Garzteckiemu, pracownikowi wydziału Historii Partii KC PZPR, oraz o znajdującym się od dawna zagranicą i zamieszczałym w swoim czasie artykuły w prasie emigracyjnej, jednym z głównych inicjatorów Klubu, Romanie Szczurkowskim.

Po co policji taki klub był potrzebny? Hipoteza prowokacji raczej odpada. Przede wszystkim nie było żadnego finału: za działalność w Klubie nikt nie został aresztowany i ostatecznie Klub działał przez długi czas przez nikogo, nie niepokoiony. Nawet gdyby ten brak finału przypisać czynnikom od policji niezależnym, które sprawiły, że pierwotny plan nie mógł zostać wykonany, to i tak pozostaje nad wyraz wątpliwe, czy policja w celach prowokacyjnych posłużyłaby się takimi ludźmi, jak Garztecki, Król czy Szczurkowski. Prawdopodobniejsze jest przypuszczenie, że czynniki policyjne chciały mieć możliwość sondażu opinii warszawskiej elity intelektualnej, czy możliwość kontrowania nurtujących te sfery nastrojów. Nie wykluczam, że wchodziły w grę jakieś rozgrywki międzyfrakcyjne. Istnieją dane, żeby przypuszczać, że impreza została uruchomiona przez kierowaną wówczas przez Kazimierza Witaszewskiego Informację Wojskową, a nie U.B. Nie wykluczam, że była to robota antypuławaska; w każdym razie pomiędzy Garzteckimi a opanowanym przez Puławian drugim z kolei zarząd Klubu były jakieś niesnaski. Być może jakieś koła natolińskie lub do Natolińczyków zbliżone już wtedy coś wywachiwały dla siebie niedobrego w kontaktach Puławian z intelektualistami i chciały temu przeciwdziałać. Być może jakieś czynniki policyjne, których zakres kompetencji był już mocno wtedy przez KC ograniczony, chciały się w ten sposób „wykazać” i przy pomocy odpowiednio spreparowanych raportów uzasadnić potrzebę większej swobody działania dla siebie. Być może funkcjonariusze policyjni po prostu nie mieli już wtedy innych zajęć i nudzili się. Nie wiem. Wiem, że Klub został utworzony przez osobników co najmniej dziwnych; natomiast na temat motywów jego utworzenia mogę snuć tylko na niczym nie oparte domysły.

Grupa założycieli zabiera się do roboty z energią. Grono ludzi uczestniczących w obradach znacznie się rozszerza. Sytuacja jest sprzyjająca. Przychodzi okres XX Zjazdu i namiętności

rozpalają się. Zostaje zorganizowana seria niesłychanie atrakcyjnych zebrań dyskusyjnych: na temat XX Zjazdu, na temat pamiętnego artykułu Stanisława Ossowskiego „Taktyka i kultura”, na temat noweli Kazimierza Brandysa „Obrona Grenady” i inne. W tym czasie czynny już udział w Klubie biorą ludzie poważni. Szczególną aktywność w dyskusjach wykazują: Jan Józef Lipski, Andrzej Walicki, Stefan Kurowski. Powstaje zjawisko bez precedensu. Po raz pierwszy od wielu lat mówi się publicznie w sposób zwyczajny, naturalny, bez taktycznych wywiąsów, bez ideologicznej minoderii, bez owego „wprawdzie — ale”, dzięki któremu przemówienia i artykuły komunistycznych mężów stanu i propagandzistów są takie długie i takie beztreściwe. Po raz pierwszy od wielu lat wiadomo — i to wiadomo wprost, a nie z domysłów — co mówca twierdzi, a czemu przeczy. Nie obywa się to bez oporów. Jeszcze nie wszystkich stać na to, żeby nie licząc się z personaliami osób obecnych na sali rąbać całą prawdę w oczy. Jeszcze działają stare przyzwyczajenia, stare tabu i przede wszystkim strach; nie raz jeszcze ideologiczny bełkot powróci na salę obrad w pełnej krasie. Ale samo zjawisko mówienia w sposób zwyczajny, po ludzku, wywiera na słuchaczach wrażenie ogromne. Jak jedno publiczne pokazanie się księcia Walii w określonym ubraniu stwarza nowe wzory mody, tak tu jedno wystąpienie stwarzało wzór tego co — pod względem zarówno treści jak i formy — mówić wolno a nawet należy: różnica w porównaniu z księciem Walii była jednak ta, że osoba, która z czymś występowała nie musiała legitymować się żadną szczególną pozycją osobistą czy urzędową: nowe wzory mógł stwarzać każdy, kto tylko zapragnął. Później ten sam proces odbywał się w prasie; w Klubie jednak na ogół to wszystko odbywało się już wcześniej. Każde takie wystąpienie znajdowało naśladowców. Gdy tabu nałożone na jakiś temat raz zostało strzaskane, to potem temat ten był podejmowany przez wielu innych. Gdy jakaś „prawda absolutna” raz się okazała wątpliwa, to potem wątpili wszyscy. I tak dalej. Krok najtrudniejszy, to było zaprzeczenie zasadzie uważanej w tym czasie za absolutnie oczywistą, że nie należy mówić, skoro słuchają tego agenci. Zdecydowało to, że paru ludzi zrozumiało, że należy mówić, mimo że na sali siedzą agenci. Potem już wszystko szło jak lawina.

VII

Te procesy sprawiły, że Klub szybko dochodzi do pewnego znaczenia, że wiąże się z nim cała kadra ludzi naprawdę wartościowych i twórczych, że wysuwa się na czoło innych klubów dyskusyjnych w całej Polsce. Wiosną 1956 roku powstaje myśl, żeby Klub wziął na siebie rolę „koordynatora” pracy wszystkich

klubów w całym kraju. Powstaje wtedy wydawane przez Klub pismo pt. „Nowy Nurt” i zostaje nawiązana sieć szerokich terenowych kontaktów.

Problem czy kluby powinny mieć jakiś centralny ośrodek koordynujący, był już wcześniej dyskutowany w redakcji *Po Prostu*. W pewnym momencie w redakcji powstaje komórka koordynująca działalność klubów. Zespół dochodzi jednak szybko do słusznego wniosku, że wszelka tego rodzaju kuratela nad klubami jest zbędna i komórkę likwiduje.

Podjęcie analogicznej incjatywy przez Klub Krzywego Koła jest w tym momencie oczywiście próbą opanowania żywiołowo rozwijającego się ruchu klubowego przez elementy agenturalne: Klub znajduje się wciąż jeszcze w rękach Garzteckiego *et consortes*. Najwidoczniej jednak ludzie ci nie czuli się w Klubie zbyt pewni, skoro bardzo szybko postarali się, żeby komórkę koordynującą działalność klubów od KKK oderwać i zrobić z niej nadrzędną jednostkę czysto administracyjną. W ten sposób powstał Ogólnopolski Ośrodek Klubów Dyskusyjnych. „Nowy Nurt” automatycznie przestał być pismem Klubu i stał się organem tego ośrodka.

Okoliczności towarzyszące powstaniu tego ośrodka były, że tak powiem, dziwne. Nazywało się, że ośrodek ten jest „przy” Ogólnopolskim Komitecie Frontu Jedności Narodu. W praktyce to słówko „przy” znaczyło, że O.K.F.J.N. po prostu mianował głównych matadorów tego ośrodka, nikogo nie pytając o zdanie. W ten sposób ośrodek od razu znalazł się w rękach Garzteckiego, Króla itp. Redakcja *Po Prostu*, choć zapewne zachwycona powstaniem Ośrodka nie była, nie chciała doprowadzać do rozłamów pomiędzy klubami związanymi z Ośrodkiem, a klubami związanymi z *Po Prostu* i dlatego zdecydowała się delegować do Ośrodka swojego przedstawiciela. Był nim Zbigniew Sufin.

Dwa fakty wystarczą żeby scharakteryzować po co Ośrodek był potrzebny i jak działał. Na koniec czerwca 1956 r. została zwołana w Warszawie narada delegatów klubów. Były to dni rozruchów poznańskich i menadżerzy Ośrodka postarali się, żeby delegatom przedłożyć do uchwalenia wiernopoddańczą rezolucję potępiającą rozruchy. Do uchwalenia rezolucji ostatecznie nie doszło: zadecydował energiczny sprzeciw delegatów KKK, Czesława Czapowa i Aleksandra Achmatowicza, za którymi stanęła większość sali. Biedni autorzy rezolucji nie mogli oczywiście przewidzieć, że los będzie dla nich aż tak niełaskawy, że już wkrótce z trybuny KC będzie się oficjalnie głosić to samo, co na zjeździe głosili przeciwko nim dwaj bezpartyjni oponenti.

Druga heca była związana z wyborami do sejmu 1957 r. Nagle okazało się, że „ruch klubowy” wysunął kandydaturę Edmunda Osmańczyka i Henryka Korotyńskiego do sejmu. O ile pamiętam, kandydatury tych dwóch panów były wysunięte przez organa Frontu Jedności Narodu: etykiety reprezentantów

ruchu klubowego przyczepiono do nich *ex post*, już w trakcie ich kandydowania. Nie było żadnego rozsądnego powodu, dla którego akurat Osmańczyk i Korotyński mieliby się cieszyć szczególnym zaufaniem klubów: ale Ośrodek był nie po to, żeby pytać kogokolwiek o zdanie. Pamiętam zebranie KKK, na którym urządzono przedwyborczą dyskusję z Korotyńskim. Od razu na wstępie, zwrócono mu uwagę, że kandydatura jego została wysunięta (czy raczej poparta) nie przez żadne kluby, lecz przez administracyjną jednostkę nadrzędną, narzuconą klubom przez władze państwowe. Korotyński oświadczył, że nic o tym nie wiedział, co zresztą mogło być prawdą. Czując niepewny grunt pod nogami, zachowywał się tym bardziej przymilnie, z całą bezczelnością oświadczając m.in., że jego zdaniem Polska ewoluuje w kierunku ustroju wielopartyjnego, oczywiście pod warunkiem, że wszyscy będą głosować, jak przykazał Gomułka, bez skreśleń.

Ośrodek ma jednak jedną zasługę przed światem. Był on mianowicie takim kłębowiskiem antagonizmów i rywalizacji osobistych, że jakakolwiek bardziej efektywna praca była tam, zdaje się, niemożliwa. Ile w tym prawdy, nie mam pojęcia, ale mówiono, że Garztecki traktował Ośrodek jako trampolinę, która miała go wynieść na postać do sejmu. Czy inni mieli podobne ambicje nie wiem, ale wiem, że całe to towarzystwo w szybkim czasie gruntownie się ze sobą pokłóciło. A na wiosnę 1957 r., kiedy w wyniku procesów, o których wyżej pisałem, większość klubów przestała istnieć, Ośrodek rozplynął się w nicości, tak jak z nicości powstał.

VIII

Mniej więcej w tym samym czasie kiedy powstawał Ośrodek, rozpoczęła się w KKK kadencja nowego zarządu. Garztecki i Król odeszli do Ośrodka i ich związek z Klubem stawał się odtąd coraz luźniejszy. Prezesem Klubu został znany publicysta i socjolog Jan Strzelecki, ale pierwsze skrzypce odgrywały trzy kobiety: Henryka Broniatowska, Maria Kosińska i w dalszym ciągu Ewa Garztecka.

Zarząd ten był już zupełnie odmienny od poprzedniego. Przede wszystkim, cokolwiek by się o nim powiedziało, nie miał charakteru policyjnego. Po wtóre, poziom tego zarządu był bez porównania wyższy, niż zarządu poprzedniego. Po trzecie, zarząd dokonał niewątpliwie wielu rzeczy pożytecznych. Z tym wszystkim był to zarząd złożony wyłącznie z członków PZPR-u i to takich, których trudno nazwać „rewizjonistami”. Ludzie, którzy byli w tym zarządzie nie gwarantowali Klubowi niezależności. Ich zależność była jednak zależnością od frakcji partyjnej, a nie od policii.

Istotną rolę w tym zarządzie odgrywały Broniatowska i Ko-

sińska, nie zaś chwiejny, łatwo ulegający wszelkiego rodzaju prowokacjom, ale piekielnie inteligentny i mający zawsze własne zdanie Strzelecki. Kadencja tego zarządu przypada na okres przedpaździernikowy i październikowy. Dlatego, zgodnie z tym o czym pisałem w poprzednim rozdziale, troską tego zarządu nie było bynajmniej utrzymanie Klubu w ramach lojalności wobec partii, gdyż to nikogo wówczas nie interesowało, lecz dopilnowanie, żeby Klub basował Puławianom w rozgrywkach z Natolinem. Konsekwentnie zarząd — w każdym razie przed Październikiem — raczej nie przeszkadzał w swobodnym wypowiedzaniu się i sam organizował nieraz bardzo śmiałe zebrania dyskusyjne: przykładem może być zebranie z referatem Czesława Czapowa na temat teorii „nowej klasy” (na podstawie „Managerial Revolution” Burnhama, „The transition from the capitalism” Croslanda oraz „Jenseits des Kapitalismus” Seringa; książki Dżilasa jeszcze wtedy nie było), referat Józefa Kuśmierka, demaskujący z pasją i znanstwem absolutne nonsensy ówczesnej polityki gospodarczej, wreszcie dramatyczna relacja Wiktora Woroszyńskiego o powstaniu węgierskim. Atmosfera dyskusji, w każdym razie w późniejszym okresie, była już zupełnie swobodna i na ogół nikt się nie obawiał mówić tego, co myślał. Puławianom wciąż jeszcze zależało na rozruszaniu opinii, a nie na hamowaniu jej. Natomiast cała energia agentów puławskich na terenie Klubu szła w kierunku dostarczania odpowiedniej informacji personalnej pasującej do obrazu partii podzielonej na „elementy szczerze demokratyczne” i „wrogie postępowi” oraz niedopuszczenia do tego, żeby krytyka haniebnej przeszłości obejmowała także wymienianie pewnych określonych nazwisk.

Jest rzeczą ciekawą stwierdzenie czy inspiracja w sprawach personalnych napotykała w Klubie na opór. Otóż pewien opór wystąpił, gdy na dwa dni przed przewrotem październikowym sala, zelektryzowana pamiętnym artykułem Bolesława Piaseckiego „Instynkt państwowy”, żądała usunięcia autora z prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Następnym salą przeciwstawił się wówczas publicysta „Życia Warszawy” Jerzy Mikke. Powiązania Mikkego z Piaseckim, przynajmniej w przeszłości, były jednak zbyt dobrze znane, żeby Mikke mógł kogokolwiek za sobą pociągnąć. Natomiast na tym samym zebraniu był ktoś, kto, mimo że głosował za rezolucją domagającą się wykluczenia Piaseckiego z OKFJN, jasno i wyraźnie ostrzegł przed dawaniem wiary obiegowym informacjom personalnym o członkach kierownictwa partyjnego. Był to Edward Osóbka-Morawski. Niestety cała argumentacja Osóbki-Morawskiego była wyjątkowo niemądra: sprowadzała się ona do tezy, że linia P.K.W.N.-u była linią słuszną, tylko potem Stalin wszystko popsuł. To sprawiło, że przemówienie byłego premiera nie zostało potraktowane poważnie. A szkoda, bo niezależnie od głupstw, jakie plótł, w zasadniczej sprawie miał rację.

IX

Po październiku, kiedy w interesie Puławian leży już przyhamowywanie opinii i maksymalne nastraszanie jej groźbą sowieckiej interwencji, sytuacja w Klubie zaczyna się zmieniać. W tym czasie istnieją już w Klubie pewne siły odśrodkowe, względem zarządu opozycyjne, bardziej od zarządu zorientowane aktywistycznie. Były pewne tendencje w kierunku uspakajania tych elementów. Trzeba jednak powiedzieć, że najaktywniejszymi pacyfikatorami byli w Klubie nie Puławianie, lecz ich sojusznicy katoliccy. Pierwszym do wygłaszania w Klubie przemówień o racji stanu, położeniu geograficznym i konieczności ograniczenia żądań był wtedy Stefan Kisielewski.

Inna sprawa, że na problem „racji stanu” w tym pierwszym okresie po październiku trzeba, moim zdaniem, spojrzeć również od innej strony. Trzeba pamiętać o tym, że masa byłych stalinowców, chorych z poczucia winy i wstydu, łatwo wpadała w jakiś ekstremalny, nie mający żadnego pokrycia w rzeczywistości, socjalistyczny romantyzm. Przebąkiwano o tym, że „musimy ocalić dobre imię ruchu robotniczego”, marzono o tym, żeby Polska stała się wzorem ustrojowym dla całego świata, żeby z niej wyszedł nowy, czysty nurt prawdziwego socjalizmu. Frazy te albo nie znaczyły nic, albo też znaczyły jedno: że Polska w ewentualnym przymierzu z Jugosławią i komunistami włoskimi powinna sprokować rozłam w ruchu komunistycznym w skali światowej. Otóż w tej sytuacji, kiedy wiele rzeczy wydawało się jeszcze możliwych, powstawało pytanie, czy należy walczyć raczej o to, żeby Polska miała status Jugosławii czy status Finlandii: czy celem powinna być aktywna polityka ustrojowego eksperymentowania i ryzyka w stosunkach międzynarodowych, czy cicha, spokojna neutralność u boku potężnego sąsiada, z ustrojem może nie najlepszym, ale od dawna wypróbowanym i bez pretensji do narzucania tego ustroju innym. Osobiście sądziłem wówczas, że lepsza byłaby druga ewentualność: uzasadniałem to (publicznie) dwoma argumentami. Po pierwsze tym, że problemy moralne socjalistycznych intelektualistów są sprawą niewielkiej garstki ludzi i że ze względu na nie nie wolno ryzykować bezpieczeństwa całego narodu, którego kwestia „ocalenia imienia ruchu robotniczego” nic przeważnie nie obchodzi. Po drugie przekonaniem, że ustrój Finlandii jest jednak lepszy od ustroju Jugosławii. Wydaje mi się, że to moje stanowisko było o tyle typowe, że wielu ludzi o przekonaniach naprawdę liberalno-demokratycznych, nieufnych w stosunku do cieszących się wówczas tak ogromną popularnością anarchistycznych i syndykalistycznych eksperymentów z „radami robotniczymi”, „demokracją producentów” itp. tą drogą wpadało w objęcia koncepcji „racji stanu”. Dlatego sądzę, że podział na politycznych aktywistów i kapitulantów przebiegał wtedy nie pomiędzy tymi, którzy wów-

czas o racji stanu mówili, a tymi, którzy o niej nie mówili, lecz pomiędzy tymi, którzy przestali o niej mówić wtedy, kiedy romantyzm byłych stalinowców rozplynął się w atmosferze paniki przed represjami i kiedy rządowe represje zdjęły sprawę samorządu robotniczego z porządku dziennego, a tymi, którzy tą frazeologią posługiwali się nadal.

Z perspektywy dzisiejszej widzę jednak, że nie miałem wtedy racji, nie dlatego żeby ustrój Jugosławii był lepszy od ustroju Finlandii, albo żeby romantyzm byłych stalinowców był czymś godnym zaufania, lecz dlatego, że ze względów ściśle taktycznych jedyną szansą zachowania elementów demokracji w Polsce były samorzady produkcyjne, a nie instytucje parlamentarne. Pod tym względem przyznaję całkowitą rację niektórym kolegom, z którymi wówczas byłem w sporze. Ostateczne niepowodzenie — nie wstydzmy się tej nazwy — polskiego anarchosyndykalizmu lat 1956 i 1957 nie powinno przesłaniać faktu, że często łatwiej spreparować wybory do sejmu niż do rady robotniczej w jednym wielkim zakładzie pracy, nie mówiąc już o wszystkich zakładach pracy naraz. W dodatku domaganie się decentralizacji władzy przez przekazanie maksymalnej ilości uprawnień samorządom zakładowym i terenowym oraz utworzenia zamiast sejmu lub obok sejmu — organu naczelnego wyłonionego przez federację tych samorządów na wzór Wierchownego Sowietu z r. 1917, stawiało rząd w niesłychanie głupiej pozycji. Na postulaty parlamentaryzmu rząd w oparciu o Marksa i wszystkich świętych mógł odpowiadać, że to burżuazyjny wymysł; natomiast stawianie postulatów „demokracji producentów” musiało prowadzić do tego, że władze żeby nie wiem jak kluczowały i wywijały się, musiały znaleźć się na pozycjach antyleninowskich. Krążące wtedy po Warszawie powiedzonko, że represje zaczną się na dobre wtedy, gdy ktoś pierwszy krzyknie „cała władza w ręce rad!” — było głębokie i mądre. Nie chodzi przy tym o to, że stawianie takich postulatów prowadziło do „kompromitowania” rządu, lecz o to, że zmuszało rząd do zachowania pozorów i tym samym czyniło go bardziej skłonny do ustępstw.

Wokół całego tego kompleksu zagadnień koncentrowały się wówczas w Klubie zainteresowania i krystalizowały stanowiska. Toczyły się zażarte spory pomiędzy zwolennikami „racji stanu”, a zwolennikami bardziej aktywnego programu politycznego, pomiędzy zwolennikami anarchosyndykalizmu a zwolennikami parlamentaryzmu, wreszcie, o czym dotąd nie mówiłem, pomiędzy zwolennikami liberalizmu gospodarczego a zwolennikami gospodarki planowej. I trzeba przyznać, że Klub — zarówno w okresie zarządu Strzeleckiego, jaki w okresie następnego zarządu, którego przewodniczącym był J.J. Lipski — zrobił dużo dla upowszechnienia całej tej problematyki i podniesienia poziomu dyskusji na te tematy. W szczególności szereg zebrań zostało poświęconych problemom rad robotniczych oraz problemom modelu

ekonomicznego. Jeszcze przed październikiem odbyły się zebrania z udziałem członków słynnej rady robotniczej w Fabryce Samochodów Osobowych na Żeraniu. W zebraniach tych brał udział m.in. Lechosław Goździk. Nieco później cały szereg uczonych ekonomistów (Bobrowski, Brus, Kalecki, Lange, Lipiński, Pajestka, Rajkiewicz) przedstawiało w Klubie i uzasadniało stanowiska, zajmowane przez nich w odbywających się wtedy dyskusjach na temat modelu gospodarczego w Radzie Ekonomicznej lub na temat innych palących zagadnień ekonomicznych. Nie zanedbywano i innych aktualnych tematów. Pamiętam np. wyjątkowo gorące zebranie, którego tematem były głośne artykuły Jerzego Putramenta o pojęciu lewicowości. Putrament odmówił wtedy przyścia do Klubu i zebranie zagajała Edda Werfel. Na zebraniu tym z wyjątkową ostrością stanął problem: co dalej w dziedzinie ideologii? Ogólnie mówiąc, zebrania tego okresu cechowała jeszcze wiara, że nie mówi się na próżno, że coś jeszcze z tego gadania może wyniknąć. Ta wiara zapewniała frekwencję na sali, budziła entuzjazm, gwarantowała poziom dyskusji i uczyła odpowiedzialności za słowo.

X

Chcę tu powiedzieć parę słów o inicjatywach społecznych Klubu w tym okresie.

Zarząd Strzeleckiego zainicjował w Klubie tzw. sekcje. Były to kilkuosobowe zazwyczaj zespoły członków Klubu zajmujące się jakąś problematyką specjalną i prowadzące w danej dziedzinie pracę twórczą. Sekcji takich było cztery; trzy inne były w projekcie, ale *de facto* nigdy nie ujrzały światła dziennego. Natomiast te cztery sekcje miały pewne istotne osiągnięcia.

O zainicjowanej przez Andrzeja Dobosza sekcji teatralnej nie mogę nic powiedzieć, gdyż tą sprawą się zupełnie nie interesowałem. Wiadomo mi tylko, że przez pewien czas egzystował i cieszył się powodzeniem Teatr Krzywego Koła; pracował on jednak bez bliskich powiązań z Klubem. Sekcji plastycznej prowadzonej przez Mariana Bogusza i Kajetana Sosnowskiego zawdzięcza się wyjątkowo pożyteczną inicjatywę zorganizowania stałej galerii sztuki nowoczesnej na drugim piętrze tego samego domu, w którym odbywały się zebrania Klubu. Z biegiem czasu Galeria Krzywego Koła stała się jednostką autonomiczną. Jej kierownicy, a w szczególności Bogusz, włożyli w ciągły wielu lat — poza ogromnym wkładem pracy organizacyjnej — niesłychanie dużo entuzjazmu w konsekwentną realizację określonej polityki artystycznej, z punktu widzenia której dokonywano doboru eksponatów co zapewniło placówce trwałe i niepoślednie miejsce w życiu artystycznym Warszawy. Wszystkie zarządy Klubu, rzecz prosta, w pełni szanowały autonomię Galerii i do zapa-

dających tam decyzji nie wtrącały się, nawet jeżeli poszczególni członkowie zarządu mieli względem nich jakieś zastrzeżenia. Natomiast zawsze cieszyliśmy się sukcesami Galerii.

Trzecią sekcją była kierowana przez Jerzego Łozińskiego i Henryka Sęczykowskiego sekcja architektoniczna, która zainicjowała ambitne prace projektowe, związane z przebudową Podhala oraz dzielnicy Marymont w Warszawie. W swoim czasie toczyły się pewne rozmowy na temat przedstawiania projektów podhalańskich sekcji do akceptacji przez władze; pomagał w tym Klubowi ówczesny minister Oświaty, Władysław Bieńkowski. Ostatecznie sekcja ta, jak i inne, przestała istnieć: o powodach będę mówił w rozdziale następnym, gdyż wynikały one z ogólniejszego problemu pracy społecznej w Klubie. Ale w każdym razie w okresie jej istnienia występowała z inicjatywami wzbudzającymi ogromne zainteresowanie. Jest też rzeczą wartą podkreślenia bynajmniej nie wspólna wszystkim architektom, społeczna orientacja Łozińskiego i Sęczykowskiego, wyrażająca się i w pragnieniu, żeby ich projekty nie były wyłącznie zwykłą realizacją zamówień, ale rozwiązywały jakieś problemy społeczne i w interesowaniu się kim (w sensie pozycji w strukturze społecznej) ma być mieszkaniec projektowanego przez nich budynku mieszkalnego, i w zamiarze propagowania określonych wzorów mieszkalnictwa, i w jakimś szerokim kompleksowym widzeniu zjawisk społecznych związanych z architekturą.

Wreszcie sekcja czwarta: sekcja diagnostyki społecznej. Sekcję tę założyło i prowadziło siedmiu młodych absolwentów socjologii U.W.: Czesław Czapów, Waclaw Makarczyk, Stanisław Manurzewski, Aleksander Matejko, Andrzej Raźniewski, Andrzej Siciński i Zygmunt Skórzyński. Mieli oni różne ambitne plany: chcieli wykonywać prace usługowe w zakresie socjologii dla różnych instytucji, co wówczas jeszcze było czymś bez precedensu; zaczęli także prowadzić ciekawą pracę samokształceniową. Niewątpliwie większości swoich planów nie zrealizowali, ale dokonali jednej rzeczy naprawdę wielkiej, o trwałym znaczeniu dla życia społecznego i kulturalnego kraju: zainicjowali mianowicie utworzenie pierwszego w historii Polski instytutu badań opinii publicznej. Człowiekowi Zachodu trudno sobie wyobrazić jak ogromne trudności trzeba było pokonać w tej zdawałoby się oczywistej sprawie, przy przełamywaniu oporów tych, którzy twierdzili, że „partia i tak wie co robotnicy myślą”, którzy uważali, że dla poznania postaw, przekonań i nastrojów ludności wystarczy dedukować z ogólnych praw rozwoju dziejowego. Chceć być dobrze zrozumiany: w tym czasie nie było już oficjalnego stanowiska partii przeciwko badaniom opinii publicznej: np. Józef Cyrankiewicz i Włodzimierz Sokorski rozumieli doskonale społeczną potrzebę takiej placówki. Była to tylko sprawa nawyków myślowych, sprawiających, że idea empirycznej weryfikacji założeń (zarówno założeń historiozofii marksistowskiej jak i za-

łożenia polityki społecznej rządów komunistycznych w Polsce) była przez wielu urzędników partyjnych postrzegana jako katastrofa poznawcza. Ostatecznie jednak opory te zostały przełamane i Ośrodek Badania Opinii Publicznej przy Polskim Radiu ma dziś za sobą znaczną ilość wartościowych badań, pozwalających na bez porównania lepszy od urzędowych sprawozdań partyjnych i programowych broszurek wgląd w to, co się z ludźmi w Polsce naprawdę dzieje. Tym bardziej warto przypomnieć nigdy dotąd nie publikowany fakt, że placówka ta powstała z inicjatywy Klubu Krzywego Koła.

Politycznie ważniejsze od sekcji były jednak dwie inne inicjatywy Klubu. Obie się ostatecznie nie powiodły. Tym niemniej sam fakt, że tego rodzaju próby były czynione, nie może być, moim zdaniem, obojętny dla nikogo, kto się sprawami polskimi interesuje.

Pierwszą inicjatywą była próba stworzenia szerokiej sieci trwałych kontaktów z załogami fabrycznymi. W ostatnim paragrafie poprzedniego rozdziału wspominałem o tym, jak represje na terenie Fabryki Radiodbiorników im. Kasprzaka odstraszyły nas od kontynuowania tej działalności. Cała ta akcja została wszczęta z wyraźną intencją przełamania izolacji społecznej pomiędzy proletariatem a inteligencją: izolacji zawsze istniejącej, ale preraźliwie pogębilonej w okresie stalinowskiego terroru. W par. IV tego rozdziału wspominałem o formach organizacyjnych, w jakich akcja ta znajdowała swój wyraz w innych klubach: analogiczne akcje w KKK nie różniły się pod tym względem, jedynie skala realizacji była, o ile mi wiadomo, większa i charakter kontaktów bardziej polityczny, bardziej zorientowany na przeciwstawienie się szerzonej wśród robotników „antyinteligentkiej” propagandzie Natolińskiej. Np. oświadczenia w tym duchu składali przedstawiciele załogi żerańskiej Fabryki Samochodów Osobowych na zebraniu Klubu, o którym wspominałem w par. IX tego rozdziału.

Może jeszcze ciekawsza była druga inicjatywa. W nowej ordynacji wyborczej z listopada 1956 roku, na gruncie której miały zostać przeprowadzone wybory do sejmu w styczniu 1957 r. był przepis mówiący o tym, że kandydaci na posłów do sejmu są wysuwani przez zakłady pracy, organizacje społeczne i zrzeszenia terenowe. Natychmiast po ogłoszeniu tej ordynacji stało się jasne, że jedyną szansą realnego wpływu ludności na skład przyszłego sejmu jest nie sam akt wyborczy, polegający na skreśleniu ok. 1/3 nazwisk z przedstawionej jedynej listy kandydatów, lecz właśnie ów akt wysuwania kandydatów przez zebrania członków załóg fabrycznych i organizacji społecznych. W tej sytuacji redakcja *Po Prostu* wraz z Klubami im. Karola Marksa i Krzywego Koła oraz pewnymi radami robotniczymi fabryk warszawskich podejmuje szeroko zaplanowaną akcję organizacyjną zebrań przedwyborczych w warszawskich zakładach

pracy. Na tym etapie nie chodzi jeszcze o żadne personalia: Inicjatorzy akcji nie mieli swojej listy kandydatów, którą by chcieli narzucić załogom w trakcie tych zebrań. Celem akcji było coś innego: zapewnienie, że kandydaty będą rzeczywiście, zgodnie z *ordynacją wyborczą*, wysuwane w wyniku porozumień odpowiedniej ilości zwykłych ludzi pracy, a nie decydowane w ciszy partyjnych gabinetów. Tym bardziej nie była to, jak to później usiłowano tendencyjnie sugerować, jakaś próba stworzenia listy konkurencyjnej w stosunku do listy „Frontu Jedności Narodu”, zatwierdzonej oficjalnie przez „komisje porozumiewawcze stronnictw politycznych i organizacji społecznych”, a faktycznie przez władze PZPR-u. Celem akcji było przeciw przedstawienie wysuniętych przez wielotysięczne masy robotników kandydatów do zatwierdzenia tym właśnie komisjom.

W pierwszej chwili inicjatywa znajduje ogromny oddźwięk. Rady robotnicze i nawet organizacje partyjne zakładów pracy odnoszą się do całej tej sprawy z wyraźnym entuzjazmem. Błyskawicznie zostają jednak wprawione w ruch naciski partyjne, w wyniku których większość planowanych zebrań została udaremniona i przedstawiciele jednego zakładu pracy po drugim zaczęli się z imprezy wycofywać. Organizatorzy akcji widząc, że plan się nie powiódł, korzystają z przysługującego im na mocy ordynacji wyborczej prawa zgłaszania kandydaty i występują z własnym projektem listy kandydatów okręgu warszawskiego (częściowo zresztą pokrywającym się z później ogłoszoną oficjalną listą kandydatów). Autorytet *Po Prostu*, Klubów i rad robotniczych jest w tym czasie jeszcze ogromny i temu zapewne przypisać należy, że dwom reprezentantom wymienionych instytucji, Janowi Józefowi Lipskiemu i Jerzemu Płudowskiemu zaproponowano udział z głosem doradczym w posiedzeniach „komisji porozumiewawczej stronnictw politycznych i organizacji społecznych” okręgu warszawskiego. W komisji tej Lipski i Płudowski wyklócali się jak mogli, ale, jak łatwo było przewidzieć, w sytuacji, w której „stronnictwa polityczne i organizacje społeczne” stały murem za „partią prowadzącą”, nic wskórać nie mogli. Jedyny wypadek kandydaty przeforsowanej wbrew woli PZPR-u: konkretnie, przeprowadzenie przez studentów politechniki kandydaty ówczesnego naczelnego redaktora *Po Prostu*, Eligiusza Lasoty, pod groźbą zorganizowania wielotysięcznej ulicznej demonstracji studenckiej, nie miał z opisywaną tu akcją nic wspólnego.

Mimo, że udział Klubu Krzywego Koła w całej tej imprezie był poważny, zarząd Klubu, który nie mógł jej przeszkodzić, trzymał się od niej z daleka. Odosobnione głosy krytyki dawały się słyszeć także z kręgów katolickich, domagających się nie przeciwstawiania się rządowi w obliczu niebezpieczeństwa. Osobiście sądzę, że myśl tak właśnie pomyślanej interwencji w sprawy wyborcze była słuszna; *casus* Lasoty wydaje się przemawiać

za tym, że niepowodzenie należy przypisać temu, że presja oddolna była za słaba i akcja zbyt mało zgrana. Niestety, rozpowszechnione już wówczas przekonanie, że w obliczu zewnętrznych i wewnętrznych zagrożeń należy poprzeć rząd aż do wyrażenia bezapelacyjnej zgody na każdą poszczególną jego decyzję włącznie, było kłódą u nogi, o którą rozbiła się niejedna oddolna inicjatywa polityczna.

Ten pełen pokory pasywizm miał jednak pewien efekt, dla swoich wyznawców niepożądany. Opinia większości Klubu była jeszcze wtedy nieprzygotowana, żeby ulec niejednokrotnie wysuwanyim sugestiom, że skoro właściwie przewrót polityczny został dokonany, skoro osiągnięto maksimum tego co można było osiągnąć, to nie ma sensu żeby Klub nadal uprawiał politykę; lepiej żeby się zajął jakimiś sprawami „konstruktywnymi”, np. żeby przestawił się na organizowanie zebrań poświęconych problematyce artystycznej (dosłownie!). Większość Klubu jeszcze czuła, że dzieło naprawdę nie zostało doprowadzone do końca i wierzyła, że pozostaje niejedno do zrobienia. I to był powód dla którego zaczęła się coraz wyraźniej w Klubie krystalizować orientacja, że kierownictwo Klubu powinno być niezależne. I zaledwie dwa tygodnie po wyborach, dokładnie 31.I.1957 r. odbyło się walne zebranie członków Klubu, które wybrało nowy zarząd. Na mocy zwykłego większościowego mechanizmu wyborczego, do nowego zarządu nie wszedł już ani Strzelecki, ani Broniatowska, ani Garztecka, ani Kosińska. W życiu Klubu rozpoczął się nowy rozdział.

R o z d z i a ł 3

WEWNĘTRZNE ŻYCIE KLUBU

I

Pierwsza połowa roku 1957 była okresem największego kryzysu w historii Klubu. Na kryzys ten złożyło się szereg przyczyn.

Po pierwsze był to w ogóle okres szczególnej politycznej stagnacji. Charakterystyczna dla roku 1956 atmosfera niebywałego ożywienia politycznego minęła i ustępowała szybko miejsca atmosferze apatii i godzenia się z losem. Ludzie, których cała uwaga była w ciągu roku 1956 poświęcona sprawom politycznym, w momencie gdy poczuli stabilizację, przestawali się szybko na myślenie o sprawach osobistych i zawodowych. Inni, o postawach bardziej aktywistycznych, po niedawnych doświadczeniach czuli się źle w atmosferze braku codziennych sensacji, narzekali na nudę i przymusową pasywność, ale na ogół nie umieli sformułować sobie konkretnych zadań do spełnienia. Stale nadchodzące koszarne wiadomości z Budapesztu były znakomicie dyskutowane dla przekonania ludzi, że możliwe do osiągnięcia maksimum zostało osiągnięte, że w tym momencie nie pozostaje już nic innego do zrobienia poza podniesieniem produkcji: to dopełniało miary rozgoryczenia. Sprawa sueska i bierność Stanów Zjednoczonych wobec masakry powstania węgierskiego obudziły nową falę niechęci i nieufności do Zachodu. Wszystko to sprawiło, że ludzie, którzy poprzednio mieli poczucie ogromnego społecznego znaczenia swoich czynów, stawali się w tym okresie, jak za czasów stalinowskich, mali i bezradni. Nastroje te wpłynęły ogromnie na spadek zainteresowania Klubem i spadek frekwencji w Klubie. Ludzie, którzy w ciągu roku 1956 wyczekiwali czwartku i przychodzili z największą ochotą celem wymiany informacji i poglądów, teraz wiedząc, że szanse dowiedzenia się czegoś ciekawego są niewielkie, po prostu przestawali się pojawiać.

Po drugie, ta właśnie atmosfera stagnacji, bardziej nawet niż partyjne i policyjne represje, zdecydowała o rozlatywaniu się Klubów na obszarze całej Polski. Złe wiadomości o losie prowincjonalnych klubów stale w tym czasie do nas dochodziły, wywołując przygnębienie i niewiarę w to, czy nasz Klub także przetrzyma złą passę. Wiele osób prorokowało w tym okresie Klubowi szybki koniec.

Po trzecie, grupa na styczniowym walnym zebraniu wyeliminowana z kierownictwa Klubu, przyjęła względem nowego kierownictwa postawę jeżeli nie otwartego bojkotu to w każdym razie jak najdalej posuniętej izolacji. Większość członków dwóch poprzednich zarządów, wraz z całą grupą swoich przyjaciół, od styczniowego walnego zebrania przestała się w Klubie pokazywać. Mogły tu działać różne względy, ale są na to dane żeby sądzić, że było to działanie celowe. Według wszelkiego prawdopodobieństwa liczyli oni na to, że młodzi i niedoświadczeni ludzie, którzy objęli nowe kierownictwo Klubu, bez ich współpracy po prostu nie dadzą sobie rady i albo doprowadzą Klub do zupełnego upadku, albo przyjdą prosić ich o pomoc. Czytelnik musi sobie zdać sprawę, że prowadzenie tego rodzaju instytucji polega w pierwszym rzędzie na masie osobistych kontaktów, jakimi dysponuje kierownictwo. Bojkot ze strony byłego zarządu sprawił, że te kontakty zostały zerwane i nowe kierownictwo musiało od nowa budować całą sieć tych samych albo innych kontaktów. Sytuacja była tak krytyczna, że pamiętam, że mnie samemu przychodziła wówczas do głowy najniefortunniejsza w świecie myśl, żeby jednak do członków byłego zarządu zwrócić się o współpracę. Dla ścisłości chciałbym podać, że w jednym momencie bojkot ten został przerwany. W kwietniu 1957 r. Puławianom zależało jeszcze na rozplotkowaniu treści IX Plenum KC PZPR. Temu zapewne należy przypisać fakt, że na specjalnym zebraniu Klubu pojawili się członkowie byłego zarządu, dostarczając ekstensywnej informacji na temat tego co się na plenum działo. Również dla ścisłości pragnę zaznaczyć, że były przewodniczący Klubu, Jan Strzelecki, aczkolwiek był nastawiony jak najbardziej krytycznie do tego co się po upływie jego prezesury w Klubie działo i aczkolwiek wielokrotnie dawał wyraz swojemu przekonaniu o potrzebie zbliżenia Klubu do władz, zachował związek z Klubem przez cały czas, aż do końca jego istnienia.

Po czwarte, ludziom, którzy na początku 1957 roku stanęli na czele Klubu, rzeczywiście brakowało doświadczenia. Co więcej, brakowało im jakiegokolwiek wspólnej koncepcji tego, czym Klub być powinien. Istniejące w Klubie więzi były raczej więziami koleżeńskimi, niż więziami wspólnego programu czy wspólnej ideologii. Te więzi koleżeńskie były niejednokrotnie starsze od Klubu: w czasach stalinowskich późniejsi członkowie Klubu spotykali się zwykle w małych grupkach w prywatnych mieszkaniach, dla czynności tak niewinnych, jak wymienianie prohi-

bitów bibliotecznych, wygłaszanie jakichś odczytów i urządzenie jakichś dyskusji na tematy naukowe lub artystyczne. W czasach stalinowskich posiadanie grona zaufanych ludzi było rzeczą niezbędną wprost dla utrzymania równowagi psychicznej i aczkolwiek grona takie nie były żadnymi konspiracjami, były formą psychicznego oporu przeciwko wtłoczeniu w ramy oficjalnie obowiązującej mentalności. Środowisko Klubu powstało w gruncie rzeczy z połączenia kilku takich grup, do których doszły pewne jednostki nowe, zwłaszcza z terenu pozawarszawskiego. Jedną z tych dawnych grup, która niestety miała w swoim gronie prowokatorów, wskutek czego została w latach 1953-1955 poddana koszmarnym represjom, odegrała w rozwoju Klubu rolę szczególnie istotną. Ale takie, w gruncie rzeczy czysto towarzyskie, związki okazywały się niewystarczające tam, gdzie chodziło o spełnienie konkretnego, poważniejszego zadania; niewystarczające w każdym razie tak długo, jak długo nie było wspólnego programu działania. Jest rzeczą charakterystyczną, że pod tym względem niewiele się zmieniło w Klubie i w latach następnych. Wszyscy godzili się na to, że taka placówka jest potrzebna i że powinna być w miarę możliwości niezależna; wspólne było także niezadowolenie z poprzednich rządów w Klubie i oczekiwanie, że Klub powinien spełniać rolę aktywniejszą niż ta, jaką mu wyznaczał poprzedni zarząd. Ale zawsze był taki stan, że różni ludzie oczekiwali od Klubu różnych, często wzajemnie sprzecznych ze sobą rzeczy, formułowali bardzo różne zadania i bardzo różne plany jego pracy, bardzo też różnie wyobrażali sobie jego przyszłość. Mimo tego współżyli ze sobą i współdziałali. Skutkiem tego zawsze istniała w Klubie ogromna wieloznaczność i ogromne niedopowiedzenie co do tego, czym Klub właściwie jest: grupą ideową, czy tylko miejscem wymiany poglądów, instytucją stawiającą sobie społeczne zadania czy klubem towarzyskim itd. itp. Później, kiedy fundamenty organizacyjne Klubu zostały już założone, Klub mógł istnieć pomimo takiej wieloznaczności; stan ten miał nawet tę dobrą stronę, że ciągle prowokował wyrazy niezadowolenia, krytyki, spory, kłótnie i przez to zmuszał do ciągłego zastanawiania się, ciągłego myślenia, ciągłego rewidowania poglądów. Ale w momencie, kiedy na początku 1957 r. Klub trzeba było na dobrą sprawę na nowo organizować, brak jednoci działalności bardzo przeszkadzał, tym bardziej, że i bez tego panowała ogólna dezorientacja co do tego jakie formy działania w politycznie nowych warunkach kraju są możliwe, a jakie nie.

Był jednak jeden czynnik, który, jak się ostatecznie okazało, przeważał wszystkie trudności i sprawił, że Klub przetrwał kryzys i pomimo trudnych warunków później rozwijał się i odnosił sukcesy. Był nim upór, charakter i siła woli jednego człowieka. Ówczesny przewodniczący Klubu, Jan Józef Lipski zaczął przede wszystkim cierpliwie, cegiełka po cegiełce, budować zręby orga-

nizacyjne Klubu i nawiązywać ogromną sieć osobistych i urzędowych kontaktów. Stworzył i przez szereg lat prowadził ogromną kartotekę Klubu. Potrafił zjednywać i łączyć ludzi o najbardziej odmiennych ze sobą poglądach. Działał w sposób niearbitralny: przed podjęciem decyzji zawsze zwracał się do innych, aby wysłuchać ich opinii i nie narzucał swojej koncepcji. Dla tego koncepcyjne kierownictwo Klubu było kolektywne. Natomiast cała organizacja Klubu spoczywała na barkach Lipskiego, niezależnie od tego czy nominalnie był on przewodniczącym, czy później wiceprzewodniczącym, członkiem zarządu czy sekretarzem Klubu. Dla każdego z nas, nawet dla tych, którzy naprawdę dużo czasu i pracy Klubowi poświęcili, Klub był czymś na marginesie, jakimś uzupełnieniem pracy zawodowej. Lipski pięć lat swojego życia poświęcił niemal całkowicie Klubowi. Wielokrotnie próbowaliśmy odciążyć go w pracy, wziąć część jego pracy na siebie. Zawsze okazywało się to niemożliwe, gdyż z jego osobą wszyscy Klub identyfikowali, do niego zawsze w sprawach Klubu się zwracano, on miał w swoim ręku wszystkie kontakty. Nic tak nie zapewniało Klubowi popularności na zewnątrz i spistości wewnętrznej, jak osobisty autorytet tego człowieka, zdobyty dzięki jego zupełnie wyjątkowemu urokowi osobistemu, inteligencji i zdolności postępowania z ludźmi. Jego indywidualność dominuje nad całą historią Klubu.

II

Nowy zarząd odziedziczył po starym dwie rzeczy: tradycję zebrań czwartkowych i sekcje. I dokoła tego dualizmu od razu rozgorzał pierwszy wielki spór o koncepcję Klubu.

Dosyć szybko bowiem stało się jasne, że cele zebrań czwartkowych i cele sekcji są w tych konkretnych warunkach politycznych w pewnym stopniu sprzeczne. Członkom sekcji zależało przede wszystkim na rzeczach „konkretnych”. Architekci chcieli mieć możliwość realizowania projektów, socjologowie możliwość przeprowadzania badań, malarze możliwość wystawiania obrazów. Do każdej z tych rzeczy potrzebna była aproba władz administracyjnych oraz fundusze. Jak długo „Krzywe Koło” było firmą dobrą, jego szyldek mógł im w ich administracyjnych i finansowych staraniach pomagać. Ale właśnie zebrania czwartkowe bardzo szybko sprawiły, że firma stawiała się w oczach czynników decydujących coraz gorsza. Im więcej na tych zebraniach wypowiedziano myśli dla przeciętnego urzędnika PRL gorszących, tym bardziej przedstawiciele sekcji od tych urzędników zależni, musieli się obawiać o przyszłe losy swej pracy.

Przedstawiciele sekcji architektury i diagnostyki społecznej postawili wtedy sprawę dość ostro. Ciekawe, że z dwóch moż-

liwych ewentualności zdecydowali oni nie zrywać związków z Klubem, lecz wywierać wpływ na Klub i jego kierownictwo w kierunku nałożenia na zebrania czwartkowe pewnej dyscypliny. W swojej argumentacji powoływali się zwykle na użyteczność społeczną swych prac przy jednoczesnym braku użyteczności społecznej „samego gadania”. Uważali, że Klub powinien służyć jakimś konkretnym celem społecznym, a nie poprzestawać na nie mających żadnych konkretnych rezultatów dyskusjach.

Był to pierwszy frontalny atak na liberalizm dyskusji klubowych. Należałem wtedy do przeciwników przedstawicieli sekcji i zwolenników obrony liberalizmu zebrań, a także i dziś sądzę, że było to stanowisko jedynie słuszne. Ale na obronę przedstawicieli sekcji muszę powiedzieć, że w przeciwieństwie do późniejszych ataków na liberalizm zebrań klubowych, tym ludziom przynajmniej o coś chodziło, przynajmniej coś mieli tym zebraniom do przeciwstawienia, przynajmniej reprezentowali jakieś wartości, które w tych warunkach rzeczywiście mogły ze swobodą wypowiedzi konfliktować.

Obroncy liberalizmu zebrań nie usiłowali tuszować istniejącego konfliktu celów, ani nie pomniejszali znaczenia prac wykonywanych przez sekcje. Przeciwstawiali się jednak pomniejszaniu znaczenia zebrań i bronili ich przez zarzutem społecznej bezwartościowości. W obronie tej akcentowali nie samą wartość referatów czy wypowiedzi dyskusyjnych, bo te, rzecz prosta, bardzo się swoim poziomem różniły i obok bardzo wartościowych były często mierne i zupełnie słabe, lecz znaczenie społeczne faktu, że istnieje takie miejsce, w którym stała wymiana myśli może się w sposób nieskrępowany odbywać. Spór ten toczył się w okresie, w którym z bogatej palety klubów prowincjonalnych pozostało już bardzo niewiele i ten fakt dodawał rumieńców stanowisku obrońców nie krępowania zebrań. Twierdzili oni, że Klub istnieje w zasadzie po to, aby każdy mógł mówić to co myśli i aby niczyje poglądy nie były uprzywilejowane kosztem innych. Wprowadzanie jakichkolwiek ograniczeń lub uprzywilejowań, w ogóle pozbawiłoby Klub sensu istnienia. W ramach Klubu każdy ma prawo prowadzić taką działalność społeczną, jaka mu się podoba, ale poświęcanie dla efektów tej działalności jedynej rzeczy, która daje Klubowi rację bytu, jest jak najbardziej niewskazane, tym bardziej, że działalność tego typu, jaka ma miejsce w sekcjach, może być prowadzona i poza Klubem, podczas gdy miejsca dla swobodnych dyskusji jakoś w Polsce zaczyna gwałtownie brakować.

Spór ten rozstrzygnęły nie tyle argumenty, ile samo życie. Aby to zrozumieć, czytelnik musi sobie zdać sprawę z tego, że w Polsce dzisiejszej nie ma w gruncie rzeczy miejsca na autentyczną pracę społeczną. W Polsce wciąż jeszcze gros czasu wolnego idzie na załatwianie spraw urzędowych i na borykanie się z anarchią w zaopatrzeniu sklepów, w usługach, w komu-

nikacji. Ponadto w Polsce wciąż jeszcze przeciętny człowiek stoi wobec konieczności dorabiania przy pomocy prac dodatkowych wykonywanych wieczorami, nocami, w dni świąteczne i w okresach urlopowych. W tych warunkach wszelka praca społeczna, jeżeli nie ma zostać w ogóle zarzucona, musi degenerować się w najzwyczajniejszą w świecie pracę zawodową, jakkolwiek by się ją nazywało. Temu procesowi uległy także sekcje i trudno mówić tu o czyjejkolwiek winie, bo w warunkach życia w Polsce nie ma na to naprawdę żadnej rady. Sekcje architektury i diagnostyki społecznej rozwiązały się same dlatego, że łącznie z ich członkami nikt nie chciał firmować szyldem pracy społecznej czegoś, co w końcu stało się zwyczajną pracą zawodową. Jednocześnie sekcja plastyczna przeszła w ramy organizacji stworzonej przez siebie galerii, która była jednostką zupełnie autonomiczną. W zarządzie Lipskiego zasiadali jeszcze przedstawiciele poszczególnych sekcji. Już zarząd następny, pierwszy z trzech zarządów pod kierownictwem Aleksandra Małachowskiego, miał strukturę odmienną, bez przedstawicieli sekcji. W czasie kadencji tego zarządu, tzn. w r. 1958, sekcje faktycznie przestały istnieć i na placu boju pozostały tylko zebrania czwartkowe.

Spór o sekcje miał jednak pewne istotne znaczenie dla dalszych losów Klubu. Spór ten nauczył nas maksymalizmu, nauczył nas tego, że albo na zebraniach jest zupełna swoboda wypowiedzi i zupełna równość dyskutantów, albo lepiej żeby Klub nie istniał. Tysiące razy słyszeliśmy później z najrozmaitszych ust, że powinniśmy dyskusje troszkę podorganizować, podkierować, podreżyserować, popchać, przyhamować — niezawsze, ale wyjątkowo, przynajmniej raz jeden, w szczególnych okolicznościach, na próbę. Odmawialiśmy stanowczo. Nie chcieliśmy dopuścić do takiego precedensu. Poza wszystkimi innymi pobudkami był to jeden powód bardzo, że tak powiem, handlowy. Zastanawialiśmy się mianowicie, jak to będzie z tą frekwencją na dyskusjach pchanych i hamowanych, jacy prelegenci będą zgłaszać referaty, kto i jak będzie zabierał głos, kiedy nie będzie miał pewności, czy nie jest przedmiotem jakichś manipulacji ze strony kierownictwa. Te rozważania prowadziły nas do wniosku, że jakkolwiek ciężka byłaby sytuacja Klubu, tą drogą go się nie uratuje. I to stanowisko, którego aktualność tak bardzo później, zwłaszcza w ostatnim roku istnienia Klubu, powracała, po raz pierwszy wykryształizowało się w czasie sporu o sekcje i pod wpływem tego sporu.

III

Status prawny i struktura organizacyjna Klubu Krzywego Koła były w pierwszym okresie jego istnienia czymś zupełnie

płynnym. Kwestie te wykrystalizowały się ostatecznie dopiero gdzieś około 1958 roku.

W latach 1955 i 1956 mało kto się troszczył o status prawny Klubów dyskusyjnych. Wystarczało, że istniały faktycznie, że czyniki urzędowe ich istnienie uznawały i że od czasu do czasu nawet prasa partyjna zamieszczała artykuły, z których wynikało, że mogą one „spełnić rolę użyteczną”, a nawet „pomóc Partii”, pod warunkiem oczywiście, że wyrażana na ich forum krytyka będzie „konstruktywna”. (Takie artykuły wychodziły także ze środowisk KKK w okresie zarządu Strzeleckiego; trudno było nie odczuwać za nie wstydu). W momencie jednak kiedy, w wyniku rozpadnięcia się ogromnej większości istniejących poprzednio klubów, KKK przestał być zjawiskiem typowym i stał się wyjątkowym, jego nieuregulowany status prawny zaczął budzić niepokój.

Rozwiązaniem idealnym było oczywiście uzyskanie dla niego osobowości prawnej w wyniku zarejestrowania go według obowiązującej procedury administracyjnej. Tak postąpił Klub Inteligencji Katolickiej. W naszym przypadku jednak nie było na to żadnej nadziei. Trzeba było poszukać jakiegoś rozwiązania innego, skromniejszego.

Ostatecznie sprawę rozwiązano w ten sposób, że Klub stał się członkiem tzw. Federacji Klubów Staromiejskiego Domu Kultury. W podobny sposób jak my trafiło do tej federacji i znalazło siedzibę w gmachu S.D.K. przy Rynku Starego Miasta 2 szereg grup, uprawiających jakieś wspólne „hobby”: szachiści, miłośnicy Starej Warszawy, amatorzy filmowcy itp.

Wszystkie te Kluby, których ilość w miarę upływu czasu wzrastała, wydelegowały swoich przedstawicieli do tzw. Rady Klubów SDK, która decydowała o losach całej roboty kulturalnej odbywającej się w tym gmachu. W Radzie tej, obok przedstawicieli innych Klubów, zasiadali przedstawiciele Klubu i Galerii Krzywego Koła. Prestiż Klubu sprawił przy tym, że trzech kolejni przewodniczący Rady: Mieczysław Sroka, Janusz Trybuniewicz i Lubomir Mackiewicz byli jego delegatami. Dopiero ostatni przewodniczący Rady, Józef Małgorzewski, był delegatem innego Klubu.

Domy Kultury podlegają w Polsce odpowiednim terytorialnie Wydziałom Kultury Prezydów Rad Narodowych. Wydziały Kultury mianują kierowników i personel etatowy tych domów, przydzielają im dotacje i sprawują nad nimi nadzór. KKK, jak wszystkie inne zrzeszone w Federacji Kluby, z dotacji tych korzystał w granicach zresztą niezwykle szczupłych i niestwarzających nigdy żadnych problemów i formalnie podlegał władzom Prezydium Dzielnicowej RN. To był powód dla którego władze wyższe (partyjne oczywiście) ilekroć czegoś od nas chciały, zwracały się do nas za pośrednictwem pewnej, zwykle w takich razach dość zakłopotanej, starszej pani z Wydziału Kultury Prezydium Dzielnicowej RN Stare Miasto.

Federacja Klubów i Rada Klubów były swego rodzaju eksperymentem, nie praktykowanym w innych Domach Kultury. To sprawiło, że stosunki Rady z czterema kolejnymi kierownikami Domu układały się różnie: z dwoma z nich lojalnie i poprawnie, z dwoma wręcz na odwrót. Np. niejaki pan Wasilewski z miejsca, po nominacji na kierownika Domu Kultury, oświadczył, że „on tu rządzi”, że „Rady Klubów nie uznaje” i z reguły odmawiał jakichkolwiek dyskusji zasłaniając się tajemnicą państwową. Rada była jednak w stanie przekonać władze o niezbędności zamiany jego osoby na kogoś innego. Ostatni kierownik, niejaki Babiejczuk, przyszedł na swoje stanowisko w momencie likwidacji KKK z tym samym nastawieniem co Wasilewski i zaraz na wstępie swojego urzędowania, prawem kaduka, bez żadnych właściwie powodów rozwiązał Federację. Był to akt zupełnie bezmyślnego kulturalnego wandalizmu.

Natomiast stosunki między Klubem a innymi zrzeszonymi w Federacji Klubami układały się z reguły poprawnie. Panowało wzajemne poszanowanie i tak, jak myśmy się do nikogo nie wtrącali, tak i nikt do nas się nie wtrącał.

Cały ten układ stosunków nie miał jednak nigdy zatwierdzonej przez władze formy prawnej. Statut Federacji Klubów SDK czekał na zatwierdzenie latami, aż wreszcie, w 1961 r., władze oświadczyły, że go nie zatwierdzą. To była taktyka typowa: gdy spontanicznie powstawało coś, o czym nie bardzo było wiadomo co sądzić, władze tolerowały to w formie prawnie nieuregulowanej, żeby w razie decyzji zastosowania przemocy — móc się wylegitymować pełną praworządnością.

Podobnie tzw. statut Klubu nie był niczym więcej jak uchwałą walnego zebrania o jego władzach. Nie różnił się on niczym istotnym od typowych statutów różnych instytucji tego rodzaju. Była w nim jednak charakterystyczna tendencja ograniczania władzy zarządu. Tak np. zarząd nie miał prawa kooptacji nowych członków: w wypadku ustąpienia kogoś z członków zarządu, na jego miejsce wchodził automatycznie ten, kto uzyskał kolejną największą ilość głosów na ostatnim walnym zebraniu wyborczym. W 1959 r. cała batalia toczyła się z władzami partyjnymi o to, że te domagały się kooptacji dwóch członków PZPR do Zarządu, co byłoby jawnym pogwałceniem statutu. Podobnie w tendencyjny sposób rozprzestrzeniana po likwidacji Klubu wiadomość, jakoby to sam zarząd Klub rozwiązał, była nie tylko absolutnie niezgodna ze stanem faktycznym, ale także ze stanem normatywnym. Na mocy statutu zarząd nie miał bowiem żadnego prawa rozwiązywać Klubu.

Wszystkie zarządy starały się też pracować w duchu statutu w tym sensie, że np. przed każdą ważniejszą decyzją zasięmano opinii szeregu bardziej zainteresowanych członków Klubu spoza zarządu. Niejednokrotnie w zebraniach zarządu brali udział aktywniejsi członkowie Klubu. Weszło także w zwyczaj, że dla podjęcia decyzji donioślejszych zwoływało się tzw. narady akty-

wu, na które troskliwie zapraszano wszystkich tych członków, co do których istniało choćby podejrzenie, że mogą się daną sprawą interesować.

Do uzyskania członkostwa Klubu potrzebne było poręczenie dwóch osób które były już członkami poprzednio. Samo przyjęcie do Klubu, dokonywane przez zarząd, było już czystą formalnością. Było zapewne naszym błędem, że nie pomyśleliśmy o tym, żeby stworzyć jakieś bodźce do wstępowania do Klubu. Wstęp na salę i prawo do zabierania głosu miał każdy i praktycznie pomiędzy członkami i nieczłonkami nigdy nie czyniono żadnych rozróżnień. Było zawsze tak, że niektórzy członkowie nie mieli od lat żadnego kontaktu z Klubem, a niektórzy nie-członkowie mieli stały kontakt, i to bardzo bliski. Zawsze na nowo podnoszono kwestie uregulowania spraw członkostwa, przeprowadzenia weryfikacji członków, zrobienia jakiejś propagandy członkostwa itp., ale z reguły decydowano się w końcu pozostawić rzeczy po staremu. Dopiero w ostatnim okresie istnienia Klubu, kiedy frekwencja na zebraniach dochodziła do szczytu, i kiedy w braku dostatecznej ilości miejsc zachodziła niekiedy smutna konieczność przeprowadzania przy wejściu jakiejś selekcji, legitymacja członkowska w naturalny sposób uprzewilejowywała do wejścia na salę.

W chwili likwidacji Klubu w ewidencji członkowskiej figurowały 292 osoby. Była w tym pewna część „martwych dusz”; odnosiło się to w szczególności do osób zwerbowanych jeszcze przez Garzdecką z okazji jakiejś jednorazowej bytności, które nigdy, albo prawie nigdy, więcej się w Klubie nie pokazywały. Nie jestem w tej chwili pewien, ale zdaje mi się, że cyfra ta obejmuje także parę osób, które w trakcie istnienia Klubu bądź zmarły, bądź wyemigrowały zagranicę. Można jednak stwierdzić, że wszystko to było kompensowane przez znaczną ilość osób które choć formalnie członkami Klubu nie były, faktycznie niczym się od członków nie różniły.

Dużo zamieszania wywoływał zawsze, w moim przekonaniu, w zasadzie słuszny system rozsyłania zaproszeń na zebrania. System ten był następujący. Sala mogła pomieścić sto, przy maksymalnym stłoczeniu sto kilkadziesiąt osób. Znaczyło to, że wszyscy członkowie Klubu naraz i tak na sali pomieścić by się nie mogli. Co więcej wiadomo było dobrze, że niektóre tematy zebrań, zwłaszcza o bardziej specjalistycznym charakterze, przyciągną stosunkowo małą ilość członków, a za to znaczną ilość osób spoza Klubu. Dlatego Lipski dość wcześnie, oprócz kartoteki członków, zaprowadził i później stale uzupełniał drugą, liczącą około 2.000 nazwisk, kartotekę przedstawicieli różnych specjalności naukowych, artystycznych, społecznych itd. Na każde zebranie rozsyłano po 200-300 zaproszeń do osób każdorazowo wytypowanych z tej kartoteki, w zależności od tematu zebrania. Była to metoda bardzo pracochłonna, ale właśnie ona zapewniała frekwencję i to frekwencję osób najbardziej powołanych. Dzia-

łała ona o wiele skuteczniej niż ogłoszenia w prasie, które zwykle zresztą także się ukazywały. Kłopot był tylko ten, że cała masa członków Klubu miała potem pretensję, że nie dostaje zaproszeń, albo że dostaje zaproszenia nieregularnie; trzeba było więc cały ten system każdemu z osobna wyjaśniać. Niezależnie od tego, o ile to tylko było możliwe, zawsze ogłaszano temat następnego zebrania na tydzień przedtem. Jeżeli potem wypisujący zaproszenia przypominał sobie, że dana osoba była na ostatnim zebraniu obecna, to ze względów oszczędnościowych zaproszenia do niej nie wysyłał. Stąd powstawał paradoks, że im kto był aktywniejszym członkiem Klubu, tym rzadziej otrzymywał zaproszenia.

Zebrania odbywały się zawsze w czwartki o godz. 18.00, zawsze w tej samej sali (z paroma tylko wyjątkami, bądź kiedy sala była w remoncie, bądź w wypadku pokazów filmowych, urządzanych w sali SPATiF'u w Alejach Ujazdowskich). Przebiegały się one zwykle długo: rzadko kiedy kończyły się przed godziną 22.00, a pamiętam i takie zebrania, które się kończyły grubo po północy. Przewodniczył co tydzień inny, zawsze przypadkowo dobierany członek Klubu. Styl przewodniczenia był zawsze niearbitralny, może za mało arbitralny: przewodniczący interweniował, i to nie zawsze, dopiero wtedy, kiedy porządek był wyraźnie zakłócony. Istniała zasada tolerowania *zwischenrufów*, ripost, dialogów poza porządkiem zgłoszeń do dyskusji: wywoływało to czasami protesty, ale znakomicie ożywiało atmosferę. Niestety zawsze w drugiej czy trzeciej godzinie dyskusji okazywało się, że trzeba ograniczać czas przemówień: więc ci, co zdążyli się zgłosić do głosu pierwsi, byli zawsze uprzywilejowani. Przewodniczący przerywał mówcy w wypadku personalnej obrazy innego uczestnika zebrania, mówienia nie na temat i przekroczenia ustalonego czasu; poza tymi ograniczeniami mówca mógł mówić wszystko, co uważał za stosowne. Sporadyczne wypadki demonstracji zgrozzenia z powodu treści wypowiedzi (np. demonstracyjne opuszczanie sali) były zwykle przez przewodniczącego karcane.

Cały ten opis byłby niepełny, gdybym nie powiedział na zakończenie czegoś o kawiarni Staromiejskiego Domu Kultury. Ta składająca się z trzech izb piwnicznych kawiarnia stała się, nie bardzo wiem czemu, jakimś symbolem zabawy w dobrym stylu i wskutek tego turystyczną atrakcją Warszawy. Gdy Ministerstwo Spraw Zagranicznych albo Kultury i Sztuki nie wiedziało co robić z jakimś Adlai'em Stevensonem, albo Giuliettą Masiną, to ich tam kierowało. Przychodzili tam wszyscy: uczeni, artyści, dyplomaci, mnóstwo zagranicznych turystów, studenci, prostytutki, pospoliccy kryminaliści. Podobno lokal był przez jakiś czas obserwowany przez milicję, bynajmniej nie z powodów politycznych, tylko dlatego, że tam mieściła się jakoby centrala handlu narkotykami. Nie wiem czy to prawda, ale tam nic nie było wykluczone. Ale w tym lokalu działy się także rzeczy

poważniejsze. Tam, pomimo późnej pory, dogorywały zawsze dyskusje pozornie tylko skończone na górze. Istniał zwyczaj, że po zebraniu przewodniczący reprezentując wobec prelegenta zarząd Klubu zapraszał go na dół na wino lub kawę, w której zawsze uczestniczyło całe grono członków i sympatyków Klubu. Ludzie rezerwowali sobie czwartkowe wieczory nie tylko na dyskusje; wykorzystywali te okazje do spotkań, nawiązywania kontaktów, wymiany informacji, poglądów i komentarzy, do rozmów o bardziej prywatnym i nieoficjalnym już charakterze. Wszystko to odbywało się w tej kawiarni. Tam też powstawały i ginęły wszystkie Klubowe koncepcje, tam toczyły się wszystkie spory o cel i sens istnienia Klubu. Z tym miejscem jest nierozdzielnie związana dość specyficzna i dość trudna do opisanie kultura środowiska klubowego.

IV

Realia, które opisałem w poprzednim paragrafie dadzą czytelnikowi pojęcie, jak skromne zadania stawialiśmy sobie w Klubie, jak bardzo brakowało naszej pracy jakiegoś większego rozmachu i w jak ciasnych poruszaliśmy się ramach. Myślę, że najciekawszy spór o koncepcję Klubu, jaki miał miejsce w ciągu jego istnienia, spór który będę tu nazywał sporem pomiędzy zwolennikami orientacji kulturalnej a zwolennikami orientacji politycznej Klubu, polegał w pierwszym rzędzie na różnych sposobach reagowania na ten przymusowy minimalizm naszych zamierzeń i na to szalenie wąskie pole działania, na obracanie się w którym byliśmy skazani.

Koledzy, których będę tu nazywał reprezentantami orientacji politycznej dążyli do tego, aby środowisko klubowe, wbrew uniwersalistycznej tradycji Klubu, stało się grupą o charakterze ideowym, akceptującą pewien wspólny program i stawiającą sobie pewne określone cele działania. Kolegów tych irytowały te cechy Klubu, z powodu których nadawali mu niekiedy pogardliwe nazwy „Hyde Parku” lub „wolnej trybuny”, a mianowicie różnorodność i przypadkowość doboru prelegentów i dyskutantów, brak tematycznej ciągłości zebrań, intelektualizm. Marzyli o tym, żeby dyskusje służyły wypracowywaniu jakiegoś programu ideowego i programu działania przez jakąś zwartą grupę. Stąd ich nacisk na podporządkowanie całej działalności dyskusyjnej Klubu jakiemuś ogólnemu planowi, oczywiście takiemu, który uprzywilejowywałby tematykę społeczną i polityczną kosztem naukowej i artystycznej. W ogóle zaś dyskusje miały być środkiem a nie celem: nie Klub po to, żeby były dyskusje, lecz dyskusje po to, aby wyłoniła się z nich z warta, zdolna do działania grupa ideowa.

Zwolenników orientacji politycznej cechowała, może niezbyt fortunna w warunkach w jakich pracowaliśmy, tendencja do

stawiania kropek nad „i”. Typowym przykładem może być wysunięty w swoim czasie przez kogoś, lecz nigdy nie zrealizowany projekt napisania deklaracji ideowej środowiska klubowego. Ich dążenie do stworzenia grupy ideowej miało właśnie taki charakter. Teoretycznie Klub grupą taką nie był. Wstęp do Klubu miał każdy i nikt przed przyjęciem nie był pytany o przekonania i światopogląd. Ale z drugiej strony Klub zaangażował się w pewne akcje, które miały charakter ideowy i w których Klub był czymś więcej niż wolną trybuną: przykładem może być rezolucja domagająca się wykluczenia B. Piaseckiego z prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu, rezolucja potępiająca proces Wolfganga Haricha i in. Co więcej, niezależnie od ogromnych różnic indywidualnych w Klubie dobierali się ludzie, których przekonania miały pewne cechy wspólne: najlepszy dowód, że w Klubie nie było sympatyków Natolina, PAX'u, endecji, ONR'u, czy „integryzmu katolickiego” i że wszyscy chyba członkowie Klubu wobec wymienionych ugrupowań i ideologii żywili postawy wrogie. Tendencje zwolenników orientacji politycznej zmierzały więc do tego, żeby sobie powiedzieć „przestańmy bujać sobie i innych, że nie stanowimy grupy. Przestańmy uprawiać fikcję. Powiedzmy sobie otwarcie, że jesteśmy grupą i wyzbądźmy się uniwersalistycznych aspiracji. Tylko grupa, która postawi sobie konkretne społeczne zadanie, będzie w stanie wyprowadzić Klub z impasu, w jakim się znalazł z chwilą, gdy cała jego działalność ograniczyła się do organizowania wieczorów dyskusyjnych. Tylko w ten sposób Klub będzie w stanie znów odegrać rolę poważniejszą, na miarę tej, jaką odgrywał w 1956 r.”.

Zwolennicy poglądu, który będę tu nazywał orientacją kulturalną zarzucali powyższej argumentacji przede wszystkim niezrozumienie dynamiki oddziaływania społecznego naszych zebrań. Mówiąc bardziej konkretnie, zarzucali oni niezrozumienie faktu, że kształtowanie opinii publicznej jest także działalnością społeczną i to działalnością społeczną niemniejszej rangi od mgliście formułowanych zadań, o realizacji których marzyli zwolennicy orientacji politycznej. Zwolennicy orientacji kulturalnej godzili się najczęściej z argumentem zwolenników orientacji politycznej, że uniwersalizm Klubu powoduje często dopływ ludzi przypadkowych i nieodpowiednich i że wskutek tego powstaje w Klubie szereg zjawisk niepożądanych, np. takich jak demagogia i niepotrzebne gadulstwo. O ile jednak dla zwolenników orientacji politycznej te niepożądane konsekwencje były argumentem przeciwko uniwersalizmowi, o tyle zwolennicy orientacji kulturalnej gotowi byli je tolerować po to, aby uniknąć jakiegokolwiek reżyserii zebrań i jakiegokolwiek uprzywilejowania jednych mówców kosztem drugich. Zwolennicy orientacji kulturalnej przywiązywali ogromną wagę właśnie do tego, żeby każdy mógł przyjść, mówić co mu się podoba, mądrze lub głupio, żeby mu nikt nie odbierał głosu, żeby treść wypowiedzi nie była poddana żadnym naciskom,

ani ograniczeniom. Nikt się oczywiście nie łudził, że w takich warunkach uniknie się wypowiedzi bezpłodnych i nie na poziomie. Różnica polegała tylko na tym, że zwolennicy orientacji kulturalnej zjawiska te byli gotowi tolerować, a zwolennicy orientacji politycznej nie.

To stanowisko przedstawiciele orientacji kulturalnej było umotywowane kilkoma czynnikami, ale wszystkie, jak mi się zdaje, można sprowadzić do jednego. Chodziło mianowicie o przeciwstawienie się groźbie kulturalnej uniformizacji środowisk inteligencji, o stawienie oporu tendencjom do narzucenia ludziom jednego obowiązującego wzoru myślenia i wypowiadania myśli. Wszyscy mieliśmy żywo w pamięci moralne i intelektualne spustoszenia, dokonane przez uniformizm kulturalny doby stalinowskiej. Zwolennicy orientacji kulturalnej począwszy od 1957 r. obserwowali z przerażeniem zjawiska świadczące o powracaniu groźby kulturalnego uniformizmu i pojmowali swoją służbę społeczną w ten sposób, aby tendencjom tym w miarę swoich skromnych sił przeszkadzać i zapobiegać.

Na czym ten opór polegał? W jaki sposób zwolennicy orientacji kulturalnej wyobrażali sobie rolę Klubu na tym polu? Jak naprawdę wyglądała dynamika oddziaływania społecznego zebrań klubowych?

1) *Klub był miejscem w którym dominowała atmosfera autentyczności.* Mówiono mądrze lub głupio, ale z nielicznymi wyjątkami mówiono to, co naprawdę myślano. Nie było atmosfery sprzyjającej temu, żeby przychodzić i uprawiać ideologiczne błaznistwa. Ten kto chciałby to robić, mógłby to robić na równych prawach z innymi. Ale rzecz ciekawa, że nie było amatorów, że nawet ci, którzy byli jak najbardziej chętni do przysłużenia się władzom woleli to robić poza Klubem. Sala tego po prostu nie lubiła; zawsze też była groźba, że strojenie ideologicznych min spotka się z ripostą dostatecznie złośliwą i ośmieszającą, żeby warto się było na nią narażać.

Nie trzeba uzasadniać, że jedno miejsce, w którym kanon nie obowiązuje burzy cały kanon. Tragedią okresu stalinowskiego był brak takich miejsc i fakt, że wszędzie obowiązywał ten sam kanon. Klub stwarzał ludziom możliwości porównania dwóch różnych kultur intelektualnych i wyboru jednej z nich. To był jeden z powodów dla których zwolennicy orientacji kulturalnej nie chcieli nikomu zamykać dostępu do Klubu i byli przeciwni zacieśnianiu się do jakiejś *task oriented group*.

Nawiasem mówiąc, władze były jakoś świadome tego charakteru zebrań klubowych. W czasie kampanii oszczerstw przeciwko nam, w lutym 1962 r. wysunięto zarzut, że w dopuszczaniu do głosu dyskryminowaliśmy członków PZPR'u, a nawet że ich terroryzowaliśmy. Taka była oficjalna wersja faktu rzeczywistego, że członkowie PZPR'u sami się bynajmniej nie spieszyli do tego, aby bronić ideologii swej partii, gdyż wiedzieli, że ich

występy mogą wypaść nie najlepiej. (Sami zresztą nieraz oświadczali, że nie ma w Klubie „odpowiedniej atmosfery”).

2) *Klub aktywizował ludzi do wypowiedzania się w sposób zgodny z przekonaniem bez względu na konsekwencje.* W Klubie nigdy nie brakowało jednostek, które nie obawiały się poruszać tematy tabu, wypowiadać poglądy sprzeczne z oficjalnymi, krytykować władze. Ich przykład działał zaraźliwie: było to przy tym oddziaływanie wielokierunkowe. Ludzie którzy początkowo bali się mówić otwarcie, widząc co się na sali dzieje, przełamywali swoje obawy i dlatego że widzieli, że nie działają w pojedynkę, że nie są osamotnieni, i dlatego że widzieli, że nie za wszystko od razu spadają represje, i dlatego, że pociągała ich sama atrakcyjność tego rodzaju postępowania (któż w końcu nie chciałby mówić tego co myśli?); wreszcie działał wzór moralny, który sprawiał że ludzie zaczęli się zastanawiać czy warto obrzydzać sobie życie przymuszaniem się do nieszczerych deklaracji, lub do milczenia, po to np., żeby zapewnić sobie wyjazd zagranicę, stypendium lub inne łaski administracji.

3) Ostatnią sprawę można uogólnić. *Klub stwarzał wzory moralne przeciwko oportunistom i konformistom.* W środowisku klubowym oportunizm był rzeczą niepopularną. Ten kto się decydował na akty oportunistyczne, narażał się na pewien opór tego środowiska w stosunku do swojej osoby. Z drugiej strony środowisko to tolerowało a nawet ceniło non-konformizm i to non-konformizm zarówno moralny jak i intelektualny. Popularność zdobywał sobie zwykle (choć nie zawsze) ten, kto mówił rzeczy niepopularne. W środowisku tym nie było na ogół lęku przed paradoksem i obrazoburstwem. Jednocześnie środowisko to nie sprzyjało utrzymywaniu się różnych naiwnych racjonalizacji, które osłaniały oportunistyczne postępowanie; w ogniu dyskusji i wymiany zdań racjonalizacje te były kompromitowane. Presja środowiska klubowego działała w kierunku utrzymania wysokiego standardu uczciwości wystąpień publicznych: zarówno uczciwości moralnej, która nie pozwalała na wypowiedzanie się w sposób niezgodny z przekonaniem, jak i uczciwości intelektualnej, nie pozwalającej na samooszukiwanie się, na naginanie przekonań do interesów itp.

4) *Klub łączył różne środowiska i zapobiegał dezintegracji społecznej.* Konsekwencją terroru jest rozbitcie społeczeństwa na drobne niekontaktujące się ze sobą grupki. W warunkach terroru nawiązanie przyjaźni, czy choćby nawet nieco bliższego kontaktu osobistego, wymaga porozumienia, które nosi charakter konspiracji. Partnerzy muszą się ze sobą porozumieć, stwierdzić że mogą się wzajemnie siebie nie obawiać, że jeden drugiego nie zadenuncjuje, muszą się wzajemnie upewnić, że są w jednakowym stopniu zainteresowani w ukryciu jakichś myśli, prag-

nień i przekonań. Zawsze w takich wypadkach istnieje pewne ryzyko: a nuż interlokutor jest prowokatorem, a nuż choćby tylko nie można polegać na jego dyskrecji. Do tego trzeba dodać, że w warunkach terroru każdy kontakt z drugim człowiekiem pociąga za sobą ryzyko. Nic dziwnego, że w tych okolicznościach nikt się do nawiązywania przyjaźni czy kontaktów osobistych nie śpieszy, że regułą jest, że poza najbliższymi znajomymi, ludzie unikają się jak zarazy i ograniczają kontakty do absolutnie niezbędnych. Dominuje typ współżycia w kilkuosobowych grupkach starych i dobrych znajomych. Grupki takie nawet jeżeli się opierają presji zmonopolizowanej i zuniformizowanej propagandy oficjalnej, rzadko zachowują zupełną równowagę psychiczną. Ludzie, których najbardziej elementarne potrzeby kulturalne bądź nie mogą być zaspokojone, bądź są zaspakajane w jakiś bardzo zastępczy i okrężny sposób, mają zrozumiałą skłonność do postrzegania rzeczy w sposób obsesyjny. Łatwo rodzą się takie zjawiska jak np. kult dziwaczności i nonsensu, poczucia katastrofizmu czy np. zupełnie nieuzasadniona megalomania, że stanowi się jedyne grono, które dotąd nie postradało zdrowych zmysłów, podczas gdy wszyscy naokoło są już zaczadzeni bezsensowną doktryną. Trzeba sobie bez złudzeń powiedzieć, że nawet tym, którzy pozostali przez cały okres stalinizmu najbardziej odporni na uroki doktryny, też na ogół nie udawało się w tych warunkach zachować pełni obiektywizmu, zdrowego rozsądku i rozwagi. Terror intelektualny pacył mentalność i charaktery nie tylko tych, którzy mu ulegali, także i tych, którzy mu się opierali.

Taka była typowa struktura stosunków osobistych w czasach stalinowskich, w środowisku klubowym dość powszechnie uważana za jedną z najbardziej koszmarnych konsekwencji stalinizmu. Była też zdecydowana wola zrobienia wszystkiego co możliwe, aby ta cecha systemu nigdy już się nie powtórzyła. W Polsce gomułkowej nigdy nie było terroru na taką skalę, żeby ludzie przy układaniu swoich stosunków osobistych myśleli przede wszystkim o policji. Działy natomiast inne czynniki, które przyczyniały się potężnie do rozbicia społecznego i do rozluźnienia kontaktów społecznych. Wśród tych czynników wymieniłbym na pierwszym miejscu pochłanianie ogromnej ilości energii ludzkiej i czasu na bezsensowne najczęściej czynności administracyjne i na bezskuteczne najczęściej próby załatwienia jakiejś sprawy administracyjnej, na koszmarnie kupowania towarów lub korzystania z usług w „uspołecznionym” sklepie czy punkcie usługowym oraz ciągłą konieczność dodatkowego zarobkowania poza pracą etatową. Otóż Klub przez sam fakt swojego istnienia, stwarzał jedyną w swoim rodzaju, nieposiadającą precedensów, zinstytucjonalizowaną okazję utrzymania szerokich kontaktów społecznych i towarzyskich dla całego środowiska intelektualistów Warszawy. Okazja ta była w pełni wykorzystywana i tu tkwi chyba najważniejsze źródło niewątpliwej popularności, jaką Klub się cieszył.

5) Klub dostarczał audytorium dla idei niedopuszczonych do druku przez cenzurę. Przypadki takie były sporadyczne, ale były. Ich znaczenie było tym większe, że zdarzało się, że nawet przedstawiciele partyjnej ortodoksji decydowali się korzystać z oferowanej im przez Klub możliwości, wobec groźby, że np. wyniki ich wieloletnich badań utoną w całkowitym zapomnieniu. Niezależnie od tego co stanowiło oficjalną treść zebrań, maszynopisy skonfiskowanych artykułów często krążyły wśród członków i sympatyków Klubu. Rzecz prosta, że przez kontakty Klubowe docierały one do szerszego grona czytelników niż to, jakie byli im w stanie zapewnić ich autorzy.

6) Ostatnia sprawa jest może mniej istotna, ale myślę, że w tym kontekście zasługuje także na podkreślenie. Klub podjął, niestety późno, bo dopiero w 1960 r., pewną próbę przeciwstawienia się oficjalnym kryteriom oceny wartości działalności twórczej z zakresu nauki, sztuki, literatury i pracy społecznej. Konkretnie Klub ufundował doroczne nagrody za działalność twórczą w tych dziedzinach. Wyraz „ufundował” powinien właściwie znaleźć się w cudzysłowie; nagrody były czysto symboliczne: laureatom ofiarowywano jedynie medal pamiątkowy. Rzecz jasna, intencją inicjatorów tych nagród było przeciwstawienie się polityce personalnej, której wyrazem była cała masa różnych nagród oficjalnych i której efektem było między innymi systematyczne pomijanie przy rozdawnictwie nagród pewnych osób o bardzo wartościowym dorobku. Oszczędzę czytelnikowi nudnych szczegółów jak było formowane jury nagrody Klubu, kto wchodził w jego skład itp. Mogę stwierdzić, że potrafiliśmy zapewnić zespół jurorów naprawdę niezależnych i naprawdę kompetentnych w ocenie wartości dzieł twórczych w reprezentowanych przez siebie dziedzinach. Wobec tego, że inicjatywa miała miejsce dopiero w 1960 r., jury zdążyło przyznać nagrody Klubu tylko dwa razy: za rok 1960 i 1961. Za pierwszym razem nagrody otrzymali: Paweł Jasienica za publicystykę historyczną i Jan Wolski za prace z zakresu spółdzielczości pracy. Za drugim razem Władysław Bartoszewski za prace historyczne dotyczące 2-ej wojny światowej, Leszek Kołakowski za działalność publicystyczną i literacką, oraz Henryk Stażewski za prace malarskie. W obu wypadkach udało się nam na szczęście zamieścić komunikaty o nagrodach w prasie. Ale w obu wypadkach dochodziły do nas pogłoski, że władze partyjne reagowały na to z tłumioną wściekłością.



W roku 1957 można się było jeszcze łudzić, że Klub będzie stanowić jakąś polityczną *pressure group*, że będzie w stanie wywierać jakiś nacisk na władze, w jakiś sposób hamować ich totalitarne zapędy. Na to jednak Klub był imprezą zbyt skromną; można też z całą stanowczością stwierdzić, że pod tym względem

nie odegrał żadnej roli. Wydaje się natomiast, że w zakresie oporu kulturalnego pojmowanego w ten sposób, jak to wyżej starałem się przedstawić, rola Klubu była poważna. Zdaję sobie świetnie sprawę z tego, że wobec braku obiektywnej miary i niemożności obiektywnej oceny tego rodzaju efektów, wszelkie takie twierdzenia mają charakter niemal metafizycznych zapewnień „na słowo honoru”. Ostatecznie nigdy nie będziemy wiedzieć co byłoby gdyby Klubu nie było. Jako wieloletniemu obserwatorowi zjawisk, które tu opisuję, przysługuje mi jednak, jak sądzę, prawo wyrażenia przekonania, iż w takich sprawach jak zapobieganie inwazji doktrynalnego bełkotu do życia publicznego, jak pozytywny wpływ na polityczne morale całych środowisk, czy jak zapobieganie społecznemu rozdrobnieniu i społecznej izolacji jednych środowisk od drugich — efekty istnienia Klubu były chyba poważne.

Efekty te trudno uważać za realizację jakiegoś programu. Było raczej tak, że reprezentanci orientacji kulturalnej obserwując, że działalność dyskusyjna Klubu jednak wywiera jakiś wpływ społeczny, że to całe gadanie jednak nie jest całkiem daremne, z tego niejako *ex post* czerpali poczucie społecznej użyteczności Klubu i własnej roli w Klubie. Pod tym względem poszczyściło im się bardziej niż zwolennikom orientacji politycznej, którym ostatecznie nigdy nie udało się stworzyć ideowej *task oriented group* i którzy nigdy nie wyszli poza stadium projektowania i planowania.

Osobiście byłem zawsze najbardziej skrajnym przeciwnikiem orientacji politycznej i zwolennikiem orientacji kulturalnej. Zgadzałem się z kolegami reprezentującymi orientację polityczną, że panuje w Klubie dwuznaczność co do tego, czy jesteśmy właściwie grupą ideową czy instytucją kulturalną. Ale w przeciwieństwie do tych kolegów oceniałem w sposób skrajny wszelkie przejawy zorganizowanej „grupowości” Klubu negatywnie, jako rzeczy niepożądaną. Poza argumentami przeciwko orientacji politycznej, które już przedstawiałem, niepokoiła mnie (i nie tylko mnie) obawa, czy zorganizowana grupa ideowa, o jakiej powstaniu marzyli zwolennicy orientacji politycznej, potrafi się prześliznąć pomiędzy Scyllą konspiracji a Charybdą wdania się w jakieś przetargi i kombinacje taktyczne z władzami. Sami zwolennicy orientacji politycznej z pewnością chcieli obu tych ewentualności uniknąć; nie jestem jednak pewien czy wiedzieli jak to zrobić. W każdym razie precedens, na który ktoś ze zwolenników orientacji politycznej kiedyś się powołał, mianowicie precedens grupy „Więzi” obaw tych nie uspakajał. Grupa „Więzi” bowiem, która zaczynała jako grupa o znaczeniu może mniejszym nawet niż środowisko klubowe, dorobiła się w końcu dwóch mandatów poselskich i różnych przywilejów w zakresie możliwości publikacyjnych, właśnie w drodze układów z władzami, które według wszelkiego prawdopodobieństwa polegały na uzyskaniu jakiejś sfery samodzielności w zamian za publikowanie pewnych deklaracji

i opinii „prawomyślnych”. Tego rodzaju droga wydawała się nie do przyjęcia dla tych, którzy za wszelką cenę chcieli utrzymać stan rzeczy w którym Klub był wyrazicielem autentycznych, a nie sfingowanych nastrojów i przekonań.

Dopiero po likwidacji Klubu zrozumiałem jak bardzo stanowisko moje i innych reprezentantów orientacji kulturalnej było błędne. Orientacja kulturalna nie przygotowywała Klubu zupełnie na ewentualność likwidacji administracyjnej, pomimo, że z tą ewentualnością wszyscy się przecież liczyliśmy. Dawała ona efekty tylko tak długo jak długo Klub istniał; z chwilą jego likwidacji rozpadało się dosłownie wszystko. W ciągu pół roku od lutego do sierpnia 1962 r. kiedy to wciąż jeszcze mieszkałem w Warszawie, mogłem obserwować szybki rozpad całego środowiska klubowego, a wiadomości które docierały do mnie i później, świadczyły, że po moim wyjeździe proces ten jeszcze dalej się pogłębiał. Przyszło wtedy gorzko żałować, że zwolennikom orientacji politycznej nie udało się stworzyć czegoś, co pozostałoby z Klubu po jego oficjalnej likwidacji, że nie udało im się stworzyć zwartej, nieformalnej grupy, której egzystencja byłaby od takich czy innych humorów władzy zupełnie niezależna. To co się stało po likwidacji Klubu było lekcją, że trzeba było obie orientacje godzić ze sobą i znaleźć jakieś wyjście pośrednie. Niestety lekcja ta była już po niewczasie. W tej sytuacji niewielką pociechą było dla mnie to, że mogłem jeszcze w rozmowach z przedstawicielami orientacji politycznej przyznać im lojalnie pełną rację.

V

Problem presji władz na Klub poruszałem już kilkakrotnie. Można wyróżnić pod tym względem trzy okresy. Pierwszy okres, który trwa do listopada r. 1959 — to okres obserwacyjny. Klub zostaje już w tym okresie poddany stałej obserwacji, i to podwójnej: policyjnej i partyjnej. W rezultacie tej obserwacji od od czasu do czasu ktoś z partyjnych członków Klubu zostaje wezwany przed Komisję Kontroli, żeby się z czegoś tam wytłumaczył lub coś tam wyjaśnił: stąd wiadomo było, że dość niekompetentnie sporządzane protokoły naszych zebrań zbierane były pracowicie. Oprócz sprawozdań swoich agentów z zebrań, policja miała w tym okresie jeszcze jedną piękną metodę gromadzenia materiałów na temat Klubu. Dwukrotnie mianowicie dwóm różnym członkom zarządu KKK zginęły teczki z różnymi dokumentami klubowymi, bynajmniej nie stanowiącymi żadnej tajemnicy. Kradzieże te utrudniały ogromnie bieżącą pracę w Klubie; jest natomiast rzeczą wątpliwą, czy policji w czymkolwiek one pomogły. Co więcej, jedna z ukradzionych teczek zawierała bezcenne archiwalia, odnoszące się do wieku XIX ewentualnie początków wieku XX-go. Nikt się oczywiście nie pofatygował, aby przynajmniej te materiały w jakiś sposób zwrócić.

Łatwo można sobie wyobrazić, jaka miała tu miejsce procedura. Naprzód zasadzono kilku funkcjonariuszy Bezpieki, którzy pocą się z wysiłku archiwalia te odczytywali i pisali na ich temat humorystyczne sprawozdania, a potem ktoś na gorze podjął decyzję, żeby materiały te włączyć do tajnego archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych: a nuż się przydadzą. Podobne historie miały miejsce w dziejach Bezpieki wcale nie tak rzadko.

W listopadzie 1959 r., w związku ze sprawą książki Lipskiego, zaczyna się nowy okres — okres stawiania warunków. Wreszcie we wrześniu 1961 r., po aresztowaniu Rudzińskiej, zaczyna się okres trzeci, który można by nazwać okresem śledczym. O tej fazie opowiem szczegółowo w rozdziale piątym: tutaj natomiast chciałbym na chwilę jeszcze powrócić do fazy poprzedniej. O treści warunków stawianych nam po incydencie z referatem Lipskiego, już mówiłem. Chodziło o doręczanie władzom planów zebrań na miesiąc naprzód oraz o wprowadzenie do zarządu Klubu dwóch członków partii. Pierwsza sprawa nie budziła właściwie poważniejszych wątpliwości i zarząd zobowiązał się, w miarę swoich możliwości, plany takie dostarczać. Zwrot „w miarę swoich możliwości” oznacza tutaj, że możliwości były niewielkie: plan zebrań był rzadko zafiksowany na miesiąc z góry: z reguły były w nim bądź pozycje puste, bądź takie, które później ulegały zmianie. Władze były o tym uprzedzone, ale godziły się na to i trzeba lojalnie stwierdzić, że z tego powodu nigdy żadnych szykan nie mieliśmy.

O wiele bardziej skomplikowana była sprawa uczestnictwa członków partii w zarządzie Klubu. Przede wszystkim jest rzeczą ciekawą, że w momencie postawienia tego żądania, na siedmiu członków zarządu był jeden członek partii: był nim socjolog Jan Malanowski. W toku pertraktacji, prowadzonych ze strony Klubu w sposób naprawdę doskonały przez ówczesnego prezesa Klubu, Aleksandra Małachowskiego, przyznano jednak od razu otwarcie, że Malanowski nie cieszy się zaufaniem partii i że chodzi o to, żeby zamiast niego było dwóch innych. Jak już wspominałem, równało się to jawnemu pogwałceniu statutu, który na żadną kooptację nie zezwalał. Z początku istniała nadto obawa, że osobami wskazanymi przez władze będą ludzie w stosunku do Klubu obcy. Ostatecznie jednak władze wskazały dwie osoby spośród członków Klubu, w stosunku do których nie było żadnych powodów do nieufności: a mianowicie ekonomistę prof. Włodzimierza Brusa i b. członka sztabu generalnego AL, dowódcę słynnego zamachu na Café-Club — Jerzego Duracza. Znalaziono wtedy wyjście takie, że Brus i Duracz weszli do specjalnie utworzonej rady programowej Klubu, komórki o charakterze doradczym. Na walnym zebraniu, które się odbyło na wiosnę 1960 r., ustępujący zarząd, chcąc uniknąć przedłużania się sytuacji konfliktowej, zdecydował się zaproponować listę kandydatów do nowego zarządu, obejmującą dwóch członków partii: zamiast Brusa na

liście znajdował się jednak inny członek partii, również ekonomistka, Helena Hagemajerowa. Lista ta została w całości zaakceptowana i zarówno Hagemajerowa jak i Duracz zostali wtedy do zarządu wybrani. Duracz został nadto w rok później wybrany do zarządu ponownie. Celem uniknięcia nieporozumień, pragnę wyraźnie zaznaczyć, że wszystkie te osoby zazwyczaj szukały jakiegoś wyjścia kompromisowego z trudności, na jakie Klub napotykał w stosunkach z władzami, ale że w stosunku do żadnej z nich nie można postawić zarzutu nielojalności wobec Klubu.

Tak wyglądała ta sprawa od strony, że tak powiem, formalnej. Były w tym wszystkim jednak podteksty, które nie utraciły aktualności nawet wtedy, kiedy o członkach partii w zarządzie i o planach zebrań dawno już wszyscy zapomnieli. Mam tu na myśli cały problem niedopuszczenia do tego, aby w Klubie miały miejsce „wrogie wystąpienia” i problem odpowiedzialności zarządu za takie wystąpienia.

Ileokroć podnoszono tę sprawę, przedstawiciele Klubu oczywiście odpowiadali, że nie mogą ponosić odpowiedzialności za poglądy wszystkich uczestników zebrań i że nie mają na to żadnej rady. Przedstawiciele władz mimo to wracali do tego problemu dość uporczywie. W czasie pertraktacji w r. 1959 nie wysunięto wprawdzie żadnego konkretnego projektu jakiejś zmiany procedury zebrań, która by uczyniła uniknięcie takich wystąpień możliwym. (Projekt taki wysunął dopiero w październiku 1961 r. Minister Spraw Wewnętrznych, Władysław Wicha, o tym jednak będę mówił dopiero w rozdziale piątym). Być może liczone jeszcze na to, że odpowiedzialni członkowie partii w zarządzie potrafią na cały Klub w odpowiednim kierunku oddziaływać. Natomiast w czasie tych pertraktacji zaatakowano — i to z niesłychaną ostrością — dwóch kolegów, których uznano za szczególnie winnych tego rodzaju wystąpień. Byli to — rzecz ciekawa — dwaj członkowie partii: poeta Jan Wyka oraz historyk Ludwik Hass. (Ściśle mówiąc, Wyka, członek partii od 1925 r., został z niej usunięty kilka miesięcy wcześniej za wygłoszony w Klubie odczyt „W czterdziestolecie KPP”). W rozdziale następnym postaram się jeszcze scharakteryzować bliżej tendencje, reprezentowane w Klubie przez tych dwóch ludzi o tak jakoś ciekawych indywidualnościach: tu zajmę się tylko formalną stroną sprawy. Małachowski oczywiście stanowczo odmówił jakiegokolwiek dyskusji personalnej tego rodzaju. Przymuszczałnie liczone na to, że sami się odetniemy od „kompromitujących” nas kolegów: jeżeli tak, to stanowczy sprzeciw Małachowskiego musiał być dla naszych rozmówców rozczarowaniem. W każdym razie poruszenie sprawy Wyki i Hassa było swojego rodzaju ostrzeżeniem, że pewnych rzeczy władze tolerować nie będą.

Ostatecznie cała ta sprawa utknęła po pertraktacjach 1959 r.

w zawieszeniu. W miarę jednak jak presja partyjna na Klub wzmagająca się i w miarę jak w ogóle cała atmosfera polityczna w kraju stawała się coraz bardziej totalitarna, właśnie ta sprawa zaczęła być przedmiotem ogromnego niepokoju całego szeregu kolegów, których będę tu nazywać „ugodowcami”.

Ugodowcy występowali z pewną generalną krytyką Klubu. Zarzucali Klubowi przede wszystkim nieliczenie się z rzeczywistością, brak związku z życiem społecznym kraju oraz marginesowość elementów skupiających się wokół Klubu. Parę słów o każdym z tych punktów po kolei:

Zarzut nieliczenia się z rzeczywistością był wysuwany z reguły wtedy, kiedy Klub opierał się w czymś władzom i nie chciał pójść na ustępstwa. W praktyce zarzut ten sprowadzał się do postulatu ustepliwości wobec władz i głoszenia potrzeby kompromisu z nimi. Rzeczywistość, z którą należało się liczyć to był fakt, że w Polsce rządzi PZPR: do tej konkretnej „rzeczywistości” należało się dostosować. Agitacja ugodowców w tej sprawie odniosłaby moim zdaniem większy sukces, gdyby nie jedna jej zasadnicza słabość. Nie odpowiadała ona mianowicie na pytanie, jaki ma być tej ustepliwości kres. Tak np. kiedy w sporze o kooptację członków partii zarząd stanął na gruncie nienaruszalności statutu, z szeregów ugodowców rozległ się gromki śmiech z powodu „legalistów”, co to „nie mają większych smartwien niż statut”. Uwadze tych ludzi uszedł jednak fakt, że przepis statutowy był tu pewną, choćby konwencjonalną granicą, poza którą nie wolno było się dalej posunąć w ustępstwach i gdyby jakiejś takiej granicy nie było, ustępstwom mogłoby nie być końca. Nie mogą sobie odmówić przyjemności wskazania palcem. Śmiech ten pochodził m.in. od redaktorów tygodnika „Argumenty”. Mam pełny podziw dla odwagi cywilnej z jaką ludzie ci — w szczególności Janusz Kuczyński — potrafili bronić najbardziej na sali klubowej niepopularnych poglądów: konkretnie głosić apoteozę skrajnego konformizmu wobec władzy. Poglądy Kuczyńskiego były osobiście dla mnie rzeczą obrzydliwą i kłóciłem się z nim zażarcie. Ale muszę z pełną lojalnością przyznać, że to nie był przeciwnik, który by się chował za czyimiś plecami i stroił miny do publiczności. Mogę tylko wyrazić jak najdalej posuniętą wątpliwość, czy tą swoją programową ustepliwością i kompromisowością Kuczyński i jego koledzy potrafili w czymkolwiek utrzymać niezależność ruchu wolnomyślicielskiego.

Drugim punktem krytyki ugodowców był brak związku Klubu z życiem społecznym kraju. Był to w gruncie rzeczy stary argument przedstawicieli sekcji, jakoby dyskusje w Klubie były „bezpłodne”. W tej formie zarzut ten na pewno nie był bezpodstawny: do tego tematu również jeszcze powrócę w zakończeniu rozdziału 4. Ugodowcy formułowali ten zarzut jesz-

cze ostrzej, mówiąc, że dyskusje klubowe składają się z jakichś monologów, które wszystkie, jeden bez związku z drugim, są atakami na władze. Tak postawiony zarzut ten nie miał już nic wspólnego z rzeczywistością, był jednak często powtarzany. Wszystko to razem było źle maskowaną próbą obciążenia pewnych, uparcie walczących o prawo do swobodnej wypowiedzi, kolegów (znowu przede wszystkim Wyki i Hassa), odpowiedzialnością za prowokowanie represji i zmobilizowanie opinii klubowej przeciwko tym kolegom oraz równie źle maskowaną próbą sugestii, że zebrania klubowe powinny być trochę reżyserowane i to reżyserowane w określonym kierunku. Wracał znowu stary problem, aktualny jeszcze w czasach sporu o sekcje.

W punkcie trzecim też chodziło chyba nie całkiem o to, co się mówiło. Ugodowcy mocno akcentowali — i w tym spotykali się z przedstawicielami orientacji politycznej — że struktura Klubu ewoluuje w kierunku niepożądanym. Z pewną racją wskazywali na to, że przeciętna wieku w Klubie od r. 1956 niesłychanie wzrosła, że w klubie „młodej inteligencji” zaczęli się pojawiać i coraz większą rolę odgrywać starcy, emeryci, ludzie znajdujący się jakoś zupełnie na marginesie społecznym, posiadający jakieś zainteresowania dziwaczne i maniackalne itp. i że ten skład Klubu ogromnie wpływa na obniżenie poziomu dyskusji. Znowu chyba w rzeczywistości chodziło nie tyle o skład Klubu i o poziom dyskusji, ile o potrzebę zastosowania odgórnej interwencji w skład Klubu i w poziom dyskusji: interwencji, której precedensu przeciwnicy ugodowców bardzo się obawiali.

Wcale nie zamierzam pisać o ugodowcach samych rzeczy złych. Przede wszystkim muszę tu rozróżnić pomiędzy tymi, którzy na terenie Klubu wyrażali interesy obce (niekoniecznie PZPR-u; były to niekiedy interesy instytucji obawiających się „kompromitacji” na skutek swoich powiązań z Klubem i z tej racji usiłujących pacyfikować Klub) oraz tymi, którym naprawdę chodziło o Klub, którzy naprawdę wierzyli, że Klub powinien pójść na daleko posunięte ustępstwa. To było bowiem wielką różnicą pomiędzy ugodowcami a agentami Puławskimi z r. 1956: przeważająca część ugodowców naprawdę chciała dobra Klubu, a nie PZPR albo p. Zambrowskiego. Byli też wśród nich ludzie bezwzględnie uczciwi, którzy nie przysstrajali zalecanych przez siebie konformistycznych rozwiązań w piórka pięknej ideologii.

Przeciwników ugodowców będę tu nazywał „likwidatorami”, ze względu na to, że ich podstawową tezę było, że likwidacja Klubu nie jest ewentualnością najgorszą; że istnienia Klubu nie powinno się bronić za wszelką cenę, np. za cenę utraty jego niezależności. Likwidatorzy nie przeczyli i nie mieli zamiaru zbywać milczeniem faktu, że rzeczywiście było w Klubie wiele zjawisk niepokojących. Niejednokrotnie przyznawali, że i poziom niektó-

rych referatów i poziom niektórych wypowiedzi dyskusyjnych pozostawia wiele do życzenia. Dostrzegali także negatywne zjawiska, będące konsekwencją przypadkowości składu członkowskiego i składu uczestników zebrań: takie na przykład jak występujące niekiedy nieodpowiedzialne gadulstwo, jak niemożliwość skupienia dyskusji na ściśle określonym temacie i „rozłazenie” się jej w zupełnie przypadkowych kierunkach, w zależności od często wzajemnie rozbieżnych zainteresowań dyskutantów. Słowem, rozbieżność pomiędzy ugodowcami a likwidatorami nie polegała na tym, że ugodowcy atakowali *status quo* Klubu, a likwidatorzy byli jego obrońcami. Polegała ona, jak już wspominałem, na tym, że likwidatorzy obawiali się precedensu polityki „silnej ręki” w zakresie organizacji dyskusji i dlatego woleli nawet negatywne zjawiska tolerować, byle takiego precedensu nie stwarzać.

Było pewne doświadczenie, które skłaniało likwidatorów do szczególnej w tych sprawach przezorności. Doświadczeniem tym była historia klubu „Życie”, który był pomyślany jako miejsce spotkań dyskusyjnych intelektualistów partyjnych; była to próba nawiązania do tradycji przedwojennego klubu akademickiego o tej samej nazwie. W latach 1956 i 1957 Klub ten skupiał całą mozaikę najrozmaitszych elementów, które łączyła formalna przynależność partyjna. Kogo tam nie było: generałowie, wysocy urzędnicy, młodzi „rewizjoniści”, dający się zwykle wodzić za nos Puławianom. Było masę starych partyjnych ramoli, którzy w chaosie wydarzeń kompletnie stracili orientację. Byli, ale w nielicznej mniejszości, ludzie reprezentujący jakieś wyraźne nurty opozycyjne, jak trockizm czy anarchizm. Temu całemu towarzystwu deptał przy tym po piętach tłum agentów najrozmaitszych maści. Ci ostatni zadbali o to, żeby Klub pomimo ogromnych możliwości żadnej poważniejszej roli nie odegrał: trzeba przyznać, że to im się raczej udało. W pewnym momencie kierownictwo Klubu zostało całkowicie opanowane przez elementy agenturalne. I wtedy stała się rzecz ciekawa: po miesiącu, dwóch, może trzech, Klub przestał istnieć. Po prostu okazało się, że nie ma chętnych do przychodzenia na zebrań. Impreza przestała kogokolwiek interesować. Agenci nie mieli kim manewrować. Przed moim wyjazdem z Polski, kiedy — o czym także jeszcze będę mówił — nowe kluby o niejasnym profilu i bez jakiegokolwiek znaczenia powstawały jak grzyby po deszczu, słyszałem o próbach reaktywizacji „Życia”. Ale, o ile wiem, nie doszło to ostatecznie do skutku.

Pod wpływem historii „Życia” likwidatorzy stawiali sobie pewne szczególnie niepokojące pytania: co się stanie w przypadku utraty zaufania członków Klubu do jego kierownictwa? Czy istnienie Klubu nie jest możliwe tylko dzięki temu, że ludzie mają zaufanie, iż nie będą na sali zebrań przedmiotem jakichś taktycznych manipulacji, że nie spotka ich żadna dyskryminacja?

Czy będą ich interesować zebrania reżyserowane i czy będą na nie przychodzić? Oczywiście likwidatorzy zdawali sobie świetnie sprawę z tego, że pewne *quantum* reżyserii nie oznacza jeszcze agenturalizacji Klubu, że w końcu nic łatwiejszego, jak poprosić X-a: „dzisiaj nie zabieraj głosu, bo tego wymaga dobro Klubu”, a Ygreka: „dzisiaj pochwal Gomułkę, bo tego wymaga dobro Klubu”. Ale likwidatorzy szli w swoich przewidywaniach dalej. Przewidywali oni mianowicie, że jeśli się raz dopuści do tego rodzaju precedensu, to będzie on potem służył komu innemu. Sytuacja Klubu była zbyt niepewna, żeby można było sobie w nim pozwolić na jakiegokolwiek koncentrowanie władzy. W ten sposób tylko zwiększało się prawdopodobieństwo, że już skoncentrowana władza zostanie przez kogoś silniejszego przejęta. Ponadto nie było rzeczą wskazaną przyzwyczajanie ludzi do tego, żeby postępowali wbrew swojemu sumieniu ze względu na jakieś poczucia lojalności. W ten sposób bowiem wydawało się tylko ludzi mniej krytycznych lub gorzej zorientowanych na pastwę agentów. Agentom nigdy nie brak wyższych względów, dla których zalecają uprawianie wszelkiego rodzaju *double-speech* i *double-thinking*. W tym bagienku czują się jak pączek w maśle. Dlatego właśnie takiego bagienka likwidatorzy nie chcieli w Klubie stwarzać.

Likwidatorzy stali więc na stanowisku, że drogą taktyczno-koniunkturalnych ustępstw Klubu się nie uratuje. Twierdzili oni, że następstwa takie narażają samo istnienie Klubu w stopniu nie mniejszym niż opór: z tą przy tym różnicą, że o ile opór dawał przynajmniej perspektywę honorowego zakończenia imprezy, o tyle ustępstwa narażały nie tylko istnienie, ale także dobre imię Klubu.

Troska o imię Klubu sprawiła, że w dyskusjach z ugodowcami likwidatorzy przyjęli jeszcze inny kierunek argumentacji. Mówili oni mianowicie ugodowcom mniej więcej w ten sposób: „Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że nikomu nie zapewniamy chleba. Gdyby Klub był instytucją, będącą dla kogokolwiek źródłem utrzymania, sytuacja byłaby znacznie trudniejsza; wtedy kto wie, może trzeba byłoby pomyśleć o ideologicznym równaniu kroku, żeby ludzi tego źródła utrzymania nie pozbawiać. Ale ten wzgląd odpada. Wobec tego, jeżeli z powodu swoich związków z Klubem lub z jakiegokolwiek innego powodu czujesz się zagrożony, idź na ustępstwa sam. Na przykład napisz państwowotwórcy artykuł. Nie będziemy mieć o to do ciebie pretensji i nie będziemy cię bojkotować. Ale dlaczego chcesz mieszać w to Klub?”. Muszę stwierdzić, że nigdy z ust ugodowców nie usłyszałem na ten argument żadnej odpowiedzi.

Dla jasności obrazu chciałbym dodać, że podział na ugodowców i likwidatorów krzyżował się z podziałem na zwolenników orientacji kulturalnej i zwolenników orientacji politycznej. Byli

ugodowcy „kulturalni” i „polityczni” i byli likwidatorzy „kulturalni” i „polityczni”. Jednakże ugodowcy „polityczni” byli jakoś mniej od ugodowców „kulturalnych” skoncentrowani na problemie bezpieczeństwa, natomiast bardziej chodziło im o osiągnięcie czegoś za cenę ustępstw. I byli trochę mniej od ugodowców „kulturalnych” naiwni. Bo w gruncie rzeczy program i argumentacja ugodowców była bardzo naiwna.

Znana mi jest tylko jedna argumentacja przeciwko stanowisku likwidatorów pozbawiona cech naiwności i z pewnością zasługująca na uwagę. Według tej argumentacji w momencie, kiedy Biuro Śledcze MSW (a więc elementy Natolińskie czy „Partyzanckie”) wszczęło przeciwko Klubowi czynności śledcze należało zaapelować o ochronę do frakcyjnych konkurentów, tzn. Puławian. Tego rodzaju krok leżał istotnie w granicach naszych możliwości. Było jednak rzeczą jasną, że w tym momencie Puławianie uzależniliby udzielenie nam takiej ochrony od przyjęcia przez nas warunków oznaczających faktycznie wyrzeczenie się wszelkich aspiracji do niezależności. Zdając sobie z tego sprawę formułowałem w tym czasie zasadę: „żadnych rozmów z władzami partyjnymi!”; było to wtedy, kiedy kręciły się wokół nas różne podejrzone indywidua podszeptując, że „Komitet Warszawski oczekuje przyścia delegacji Klubu na rozmowy”. Otóż argumentacja, którą tu przytaczam, kwestionowała właśnie tę zasadę: wedle tej argumentacji należało iść na rozmowy, wszystko obiecywać i potem po prostu obietnic nie dotrzymywać. Była to droga śliska i niebezpieczna: jej sukcesy były uzależnione od naszych zdolności do uprawiania gry taktycznej. Osobiście sądzę, że manewr ten prowadziłyby do zyskania na czasie, ale ostatecznie Klubu by też nie uratował. W tej sytuacji jednak zyskanie na czasie było jedyną rzeczą możliwą do osiągnięcia i dlatego należało próbować. Niestety, z możliwości takich ja osobiście zdałem sobie sprawę już za późno, tzn. wtedy, kiedy było wiadomo, że Puławianie nas dłużej chronić nie będą. W każdym razie to jest powód, dla którego nie mam dziś poczucia, że moje stanowisko „likwidatorskie” i „antyugodowe” było całkowicie słuszne; podobnie jak nie mam poczucia, że słuszne było moje stanowisko w sporze orientacji kulturalnej z orientacją polityczną. Mimo to w dalszym ciągu nie ulega dla mnie dziś żadnych wątpliwości, że pójście na faktyczne ustępstwa (a nie obietnice ustępstw), które by uzależniły Klub od jakichś czynników zewnętrznych i czyniły z niego przedmiot politycznych przetargów z władzami — żadnych korzyści dać nie mogło. To, co się ostatecznie z Klubem stało poszło po linii tego, czego chcieli likwidatorzy, a nie ugodowcy. Mam nadzieję, że także czytelnik zapoznawszy się z opisem wydarzeń w rozdziale 5-ym przyjmie mój punkt widzenia, że była to ewentualność lepsza od tego, co mogła dać realizacja programu ugodowców. Choć nie udało się utrzymać Klubu przy życiu, udało się uniknąć rozłamów,

dyskryminacji personalnej, kneblowania ust, płaszczenia się przed możliwymi, wiernopoddańczymi deklaracjami i *last but not least* pustej sali, na której kilku panów uprawiających polityczną maskaradę, na próżno usiłowałyby stworzyć pozory jakiejś dyskusji. W tych warunkach było to chyba niemało: dobrze wiadomo, że nie każdej „wykończonej” grupie czy instytucji to się udało.

R o z d z i a ł 4

WSPOMNIENIA Z ZEBRAŃ

I

Nie jestem oczywiście w stanie opisać choćby w przybliżeniu tego, co się na sali zebrań klubowych działo w ciągu całego, blisko siedmioletniego, okresu istnienia Klubu. Można by o tym pisać bez końca: materiału byłoby bardzo wiele. Materiał ten przy tym ze zrozumiałych względów nie był nigdzie zbierany. Zebrania klubowe nie były protokółowane. Istniały wprawdzie różne projekty ogłaszania drukiem treści przynajmniej niektórych referatów i głosów dyskusyjnych, bądź na łamach jakiegoś własnego pisma Klubu, bądź na gościnnych łamach któregoś z istniejących tygodników. Ale projekt założenia własnego pisma Klubu był zawsze zupełnie nierealny, a drukowanie materiałów klubowych na łamach jakiegoś pisma obcego zawsze rozbijało się o trudności nie do pokonania. W najlepszym razie poszczególne prelegentom udawało się własnymi staraniami wydrukować gdzieś swój referat. Zwykle w takich wypadkach zamieszczano wzmiankę, informującą czytelnika, że tekst jest wyłożonym w Klubie referatem. Z reguły jednak publikowany był tylko referat bez dyskusji. Rzecz ciekawa, że niektóre bardziej interesujące zebrania były nagrywane na taśmę lub stenografowane przez instytucje, do których mieliśmy zaufanie, że nie zużyją tego materiału na szkodę Klubu czy kogokolwiek z uczestników zebrań. Materiały te jednak jeśli — w co wątpię — w ogóle przechowywane, są niekompletne, rozproszone i nieautoryzowane. Znaczna ilość materiałów spoczywa niewątpliwie w ręku policji lub komisji kontroli partyjnej. Z natury rzeczy jednak są one tam niedostępne a ponadto, jak już wspominałem, były sporządzane w sposób wybitnie niekompetentny.

W tej sytuacji praktycznie jedynym źródłem tego, co się na sali klubowej działo, jest pamięć uczestników zebrań. Jest to

oczywiście źródło bardzo zawodne. Pisząc te wspomnienia muszę także z konieczności polegać wyłącznie na własnej pamięci. Postaram się przy tym nie nużyć czytelnika nadmierną ilością szczegółów i z masy drobnych faktów wybrać bądź takie, które wskutek powtarzania się mogą świadczyć o jakichś dominujących w Klubie tendencjach, bądź też takie, które mogą mieć jakieś poważniejsze kulturalne znaczenie.

II

Wśród zebrań klubowych można wydzielić różne kategorie, i to z dwojakiego punktu widzenia. Można mianowicie przeprowadzić podział z punktu widzenia dziedziny, jakiej dany referat dotyczył i z punktu widzenia formy zebrania. Pozwolę sobie tutaj po kolei dokonać krótkiego przeglądu dziedzin, jakim zebrania Klubu były poświęcane oraz form referatów.

W r. 1956 i 1957 dość często odbywały się zebrania poświęcone aktualiom politycznym. Przykładem mogą być zebrania poświęcone XX Zjazdowi KPZR, VIII i XIX Plenum PZPR, wyborom do sejmu w styczniu 1957 r., referat Wiktora Woroszyłskiego o Powstaniu Węgierskim, dwugłos Bory i Berezowskiego o konflikcie Sueskim itp. Dość podobny w gruncie rzeczy charakter miały zebrania poświęcone jakimś publikacjom, które w danym momencie stanowiły sensację dnia, niekiedy w pozytywnym a niekiedy w negatywnym sensie tego słowa. Przykładami mogą być zebrania na temat „Taktyki i kultury” Ossowskiego. „Obrony Grenady” Brandysa, „Instynktu Państwowego” Piaseckiego, artykułów Putramenta na temat pojęcia lewicowości itp. Z biegiem czasu ta aktualistyczna orientacja zebrań wykazuje, ze zrozumiałych powodów, tendencję do zaniku. Tematyka polityczna pojawia się wtedy na zebraniach w jakimś innym, ogólniejszym i bardziej problemowym, kształcie. Przykładami referatów *par excellence* politycznych, ale o problemowym, a nie aktualistycznym charakterze, może być np. referat Jana Wyki w czterdziestolecie K.P.P., Aleksandra Małachowskiego w trzecią rocznicę października i inne.

Osobną grupą referatów, w których problematyka polityczna także dochodziła do głosu, ale już w powiązaniu z problematyką gospodarczą, społeczną i kulturalną była znaczna ilość zebrań poświęconych sytuacji w różnych określonych krajach. Tak np. aż trzech doskonałych prelegentów (Mieczysław Kobyłański, Antoni Rajkiewicz i Franciszek Ryszka) zajmowało się problematyką niemiecką, kilku innych (Józef Chałasiński, Stefan Nowakowski, Jan Strzelecki) amerykańską, Artur Hajnicz mówił o doświadczeniach jugosłowiańskich rad robotniczych, Krzysztof Pomian o lewicy francuskiej, Mieczysław Bibrowski o

sprawach algierskich, Dario Tosi o wsi włoskiej, ktoś inny o komunach chińskich itp.

Osobną grupę referatów, na których tematyka polityczna, choć ubocznie, także dochodziła do głosu, stanowiły omówienia obowiązujących, nowouchwalonych i projektowanych ustaw. Jako przykłady takich zebrań można przytoczyć zebranie poświęcone tzw. Małemu Kodeksowi Karnemu (Dekret Prezydium K.R.N. z 13 czerwca 1946 o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa) z referatem Adolfa Dąba i Anieli Steinsbergowej, dwa zebrania na temat ustawy o szkolnictwie wyższym, zebranie na temat ustawy prasowej, zebranie na temat ustroju adwokatury itp. W tej kategorii zebrań znalazłby się także referat Jana Bądkowskiego o popaździernikowym orzecznictwie Sądu Najwyższego oraz — jeżeli traktować rzecz czysto formalnie — dwa wspaniałe referaty Mariana Falskiego: o ustroju szkolnym oraz o programach szkolnych.

Cały szereg zebrań poświęcono aktualnym sprawom gospodarczym. O zebraniach poświęconych radom robotniczym oraz modelowi gospodarczemu mówiłem już w rozdziale 2-im. Jako inne przykłady warto przytoczyć doskonały referat Antoniego Rajkiewicza o problemach demograficznych (w szczególności o problemie zatrudnienia) w Polsce, referat o badaniach nad stopą życiową i wskaźnikach stopy życiowej, referat Zdzisława Sadowskiego o problematyce gospodarczej krajów zapóźnionych w rozwoju itp.

Problematyka społeczna zebrań klubowych to przede wszystkim referaty z dokonanych badań ankietowych lub eksperymentalnych. Tak więc kilka zebrań poświęcono różnym stadium badań nad postawami studentów warszawskich, przeprowadzonych przez Zofię Józefowicz, Stefana Nowaka i Annę Pawełczyńską. Irena Nowakowska mówiła o swoich badaniach nad światopoglądem pracowników naukowych, Julian Hochfeld o badaniach nad składem sejmu, Zdzisław Szpakowski o badaniach nad antagonizmami narodowościowymi, Jan Malanowski o rozwodach, Adam Podgórecki o badaniach nad sędami robotniczymi, Andrzej Malewski o uwarunkowaniu poglądów na różnice dochodów itp. Oprócz referatów poświęconych problematyce społecznej, które były sprawozdaniami z badań socjologicznych, odbył się także szereg zebrań na różne aktualne tematy społeczne, które nie bazowały się na konkretnych badaniach, a których tematyka była z reguły bardziej ogólna od tamtych. Tu należałoby wymienić referat Remigiusza Bierzanka o spółdzielczości, dwa bardziej specjalne referaty Jana Wolskiego o ruchu spółdzielczości pracy: konkretnie o strukturze spółdzielni pracy i o doświadczeniach historycznych ruchu, szereg referatów Aleksandra Matejki z zakresu socjologii przemysłu, kilka referatów (wśród nich Juliusza Poniatowskiego) poświęconych problematyce wsi, referat Jana Szczepańskiego o inteli-

gencji, referat Władysława Bieńkowskiego o młodziźnie, referaty Stanisława Manturzewskiego o problemach chuligaństwa i przestępczości młodziźnie i inne.

Sporą liczbę zebrań poświęcono problematyce filozoficznej w potocznym tego słowa znaczeniu, tzn. rozważaniom światopoglądowym, etycznym itp. Ogromne audytorium przyciągały zwłaszcza referaty Tadeusza Kotarbińskiego o karze śmierci oraz o wolności słowa, kilka referatów Leszka Kołakowskiego (m.in. o marksizmie), referaty Marii Ossowskiej o etyce marksistowskiej oraz o religijnych podstawach moralności oraz referaty Stanisława Ossowskiego o różnych problemach ideologii socjalistycznej. Z innych zebrań tego typu warto wspomnieć wieczór poświęcony społecznie radykalnym nurtom w katolicyzmie, z referatem Jerzego Zawieyskiego, wieczór poświęcony Simone Weil z referatem Andrzeja Wielowieyskiego, referat niżej podpisanego o historycyzmie i jego konsekwencjach politycznych oraz wieczory z referatami członków zespołu redakcyjnego „Argumentów”: w tym referat Tadeusza Mrówczyńskiego o personalizmie Mouniera, Janusza Kuczyńskiego o problematyce filozoficznej „Doktora Faustusa” Manna czy, ogólniejszy już w swoim charakterze, referat Tadeusza Jaroszewskiego.

Wiele wieczorów poświęcono problematyce literackiej i artystycznej. Przykładów takich można by przytoczyć mnóstwo, dlatego ograniczę się tu wyłącznie do wymienienia kilku, które, moim zdaniem, wyróżniały się atrakcyjnością tematu. Na pierwszym miejscu przytoczyłbym tutaj pasjonujący referat Artura Sandauera o Gałczyńskim. Warte wzmianki są także referaty Jerzego Kornackiego o Orzeszkowej, Henryka Berezy o młodym pokoleniu prozaików, Jana Błońskiego o „Taryfie ulgowej” Sandauera, Jana Józefa Lipskiego o „Sezonie w czyścicu” Pomianowskiego oraz o polityce kulturalnej, dyskusja na temat „Zezowatego szczęścia” Munka i Stawińskiego, ogólne rozważania Stefana Kisielewskiego o polityce kulturalnej i roli społecznej sztuki, oraz z rzeczy specjalnych referaty na temat plastyki i architektury współczesnej.

Wreszcie problematyka naukowa *sensu stricto*. Można by ją, jak sądzę, podzielić na problematykę naukoznawczą, problematykę nauk ścisłych, problematykę nauk społecznych i problematykę historyczną.

Zebrań poświęconych problematyce naukoznawczej (tzn. metodologicznej lub teoriopoznawczej) nie było zbyt wiele. Problemom metodologicznym nauk biologicznych poświęcony był ciekawy referat Sławomira Kozłowskiego. Klemens Szaniawski mówił o utylizacji matematyki w naukach społecznych. Co najmniej dwa zebrań, a mianowicie zebranie z referatem Romana Zimanda o książce Witolda Kuli „Rozważania o historii” oraz zebranie z referatem Juliusza Bardacha o zjeździe historyków, stanowiły podstawę do dyskusji na temat metodologii historii.

Problematyka nauk ścisłych była, ku zgorzeniu niektórych kolegów przyrodników, wyraźnie w Klubie lekceważona. Wobec tego jednak, że wśród członków i sympatyków Klubu wyraźnie dominowały zainteresowania humanistyczne, było to koniecznością. Mimo to, np. referat Andrzeja Wiercińskiego na temat antropogenezy potrafił porwać publiczność, a wspomniany wyżej referat Kozłowskiego doprowadził do interesującej dyskusji metodologicznej pomiędzy przedstawicielami nauk społecznych i nauk biologicznych, w której obie strony rozumiały się doskonale.

Problematyka teoretyczna nauk społecznych była reprezentowana co najmniej przez kilka referatów. Jako przykłady można tu wymienić referat Henryka Gieratowskiego o modelach cybernetycznych, Andrzeja Malewskiego o współczesnych nurtach psychologii społecznej, niżej podpisanego o psychoanalizie Freuda, Adama Podgóreckiego o przewidywaniu skutków ustaw, Wacława Makarczyka o warunkach demokratyczności organizacji społecznej i inne.

Wreszcie problematyka historyczna. Z jednym wyjątkiem dyskusji na temat „Polski Piastów” Jasienicy (z referatem Aleksandra Gieyszтора) była to problematyka historii najnowszej, dotycząca przeważnie okresu życia większości członków Klubu. Zebrania tego typu należały z reguły do najciekawszych, przede wszystkim dlatego, że dyskusje na te tematy były na ogół najkompetentniejsze. Jako przykłady takich pasjonujących zebrań można przytoczyć zebranie z referatem Pawła Jasienicy na temat września 1939 r. i poprzedzających wybuch wojny wydarzeń dyplomatycznych, dwa zebrania na temat spraw żydowskich w okresie okupacji (w związku z procesem Eichmanna) z referatami Władysława Bartoszewskiego, zebranie na temat kwestii ukraińskiej z referatem Wojciecha Sulewskiego, zebranie na temat polskiej kolaboracji z okupantem z referatem Krzysztofa Dunin-Wąsowicza, dyskusja nad „Przepustką do Historii” Załuskiego (z referatem Pawła Jasienicy), a na temat okresu nieco dawniejszego zebranie z referatem Mieczysława Sroki o sprawie Brzozowskiego, zebranie z referatem Danuty Malewskiej-Jedlickiej o „Państwie i Rewolucji” Lenina oraz pierwszych aktach ustawodawczych rządu bolszewickiego, zebranie z referatem Ludwika Hassa na temat wyborów do sejmu 1919 r. oraz zebranie z referatem Tadeusza Kowalika na temat austromarksizmu. Na zebraniach panowała z reguły atmosfera dość szczególna. Rzecz ciekawa, że w pewnym sensie zebrania tego typu były bardziej „polityczne” niż zebrania poświęcone problematyce politycznej *sensu stricto*. Oceny konkretnych wydarzeń historycznych, ale takich które mimo upływu czasu nie utraciły dla autytorium jakiegoś emocjonalnego sensu, były okazją do manifestowania i krzyżowania się stanowisk, które nie mogły znaleźć właściwego ujścia wtedy, kiedy dyskusja polityczna czy światopoglądowa była bardziej ogólna. Dlatego

zebraniom tej kategorii pozwolę sobie poświęcić cały osobny paragraf.

Wspomniałem na wstępie tego paragrafu, że poza różnicami dziedziny, którym zebrania były poświęcone, były także różne formy zebrań. Tak było mimo, że w tym zakresie Klub nie wprowadzał specjalnych innowacji ani nie eksperymentował. Przeważała „zwykła” forma zebrania, tzn. taka, że po krótszym lub dłuższym referacie następowała dyskusja, po czym na zakończenie prelegent replikował dyskutantom. Niekiedy zamiast referatu był dwugłos: tak było w przypadku zebrania poświęconego kampanii synajskiej 1956 r. gdzie jeden z prelegentów (Berezowski) bronił punktu widzenia Egiptu, a drugi (Bora) Izraela; tak było w przypadku zebrania na temat Małego Kodeksu Karnego. W jednym przypadku, a mianowicie w przypadku zebrania nekrologicznego ku czci Andrzeja Stawara, zamiast referatu odczytano teksty napisane przez zmarłego. Zebrania o tematyce artystycznej były nieraz połączone z pokazem filmowym, przedstawieniem teatralnym albo recytowaniem poezji; czasami oprócz tego był referat, a czasami dyskutowano tylko nad obejrzanym lub usłyszanym dziełem, bez żadnego referatu.

Specjalną formą były zebrania poświęcone określonym publikacjom. Pozornie nie różniły się one od „zwykłych” zebrań: składały się tak samo z referatu, dyskusji i repliki prelegenta. Ale obecność autora na sali sprawiała, że faktycznie on a nie prelegent był najważniejszym uczestnikiem zebrania. Ze zrozumiałych względów autor nie wygłaszał prelekcji o własnej książce; z reguły książkę omawiał, zagajając zebranie, ktoś inny, niekiedy przez autora polecony. Autor w takich przypadkach rezerwował sobie zwykle głos w dyskusji: faktycznie jednak na jego głosie w dyskusji koncentrowała się uwaga słuchaczy. Tak było wielokrotnie; przykładami mogą być tu referaty Jerzego Kleera o „Ekonomii Politycznej” Oskara Langego, Aleksandra Gieysztoro o „Polsce Piastów” Pawła Jasienicy, Jana Błotńskiego o „Taryfie ulgowej” Artura Sandauera, Jana Józefa Lipskiego o „Sezonie w czyścicu” Jerzego Pomianowskiego, Romana Zimanda o „Rozważaniach o historii” Witolda Kuli, Pawła Jasienicy o „Przepustce do Historii” Zbigniewa Załuskiego oraz o „Małej Encyklopedii” P.W.N. (Na ostatnim zebraniu w charakterze autora występowała cała redakcja). Niezależnie od tych zebrań były zebrania poświęcone pewnym szczególnie ciekawym publikacjom zagranicznym, które, rzecz prosta, odbywały się już bez udziału autora. Na wzmiankę zasługują tu w szczególności ciekawe referaty Heleny Hagemajerowej o „The Affluent Society” Galbraitha, Włodzimierza Hagemajera o „The Organization Man” Whyte’a oraz Wacława Makarczyka o „Union Democracy” Lipseta, Trowa i Colemana.

Pragnę jeszcze raz jak najmocniej się zastrzec, że nie jest to żaden przegląd kompletny. Nie rozporządzam na emigracji

żadnymi notatkami dotyczącymi Klubu. To co piszę, piszę wyłącznie na podstawie własnej pamięci; dlatego nie podaję tu dat ani dokładnych tytułów referatów. Jest też rzeczą zrozumiałą, że pamiętam przede wszystkim te zebrania, w których uczestniczyłem. Czytelnik powinien jednak zdawać sobie sprawę, że poza wymienionymi była w ciągu wieloletniego okresu istnienia Klubu cała masa zebrań, o których tu nie wspominam, bynajmniej niekoniecznie dlatego, że bym je uważał za mniej wartościowe od innych, lecz po prostu dlatego, że nie pozostały mi w pamięci. Odnosi się to przede wszystkim do tych zebrań, w których nie uczestniczyłem; ale w tej ogromnej masie mogą nie pamiętać także o zebraniach, w których uczestniczyłem i nawet zabierałem głos w dyskusji.

III

Gdyby mnie zapytano, który spośród wszystkich wygłoszonych w Klubie referatów był, moim zdaniem, najlepszy, najciekawszy, największym dla mnie jako dla słuchacza przeżyciem, to raczej bez wahania wymieniałbym referaty prof. Mariana Falskiego o ustroju szkolnym oraz o programach szkolnych.

Rzecz ciekawa, że w obu wypadkach prof. Falski mówił do sali pustawej. Nie potrafię sobie tego indyferentyzmu w stosunku do zagadnień szkolnictwa wytłumaczyć, tym bardziej, że powinien był tu działać moment personalny. Falski, autor elementarzy obowiązujących we wszystkich przedwojennych szkołach powszechnych, był przecież *de facto* człowiekiem, który wszystkich nas nauczył czytać i pisać. Powinien więc był działać choćby moment ciekawości w stosunku do jego osoby. Ale jakoś nie działał.

Falski miał szczególny dar stawiania zagadnień i pokazywania jak sprawy stoją. Skutek był taki, że nawet najbardziej niezorientowany słuchacz czuł się od razu wprowadzony w problematykę. W czasie obu referatów słuchacz od razu wiedział 1) do czego, zdaniem prelegenta, należałoby dążyć na długą metę w sprawach ustroju szkolnego czy planowania programów, 2) co z tego można zrealizować już obecnie, 3) dlaczego tego się nie realizuje, natomiast robi się coś wręcz przeciwnego. Falski bardzo akcentował, że sam, chociaż stoi na czele specjalnego zakładu Polskiej Akademii Nauk do Badań nad szkolnictwem, w gruncie rzeczy w sprawach szkolnictwa nie ma głosu i nikt się z jego zdaniem nie liczy. Pokazywał z rezygnacją ale i z humorem ogrom niekompetencji i bezmyślności organów administracji szkolnej. Jeden z byłych ministrów zarzucił mu kiedyś na sali klubowej marzycielstwo. Rzeczywiście w tych warunkach, jakie Falski przedstawiał, proste pragnienie, żeby administracja szkolna pracowała z jakimś sensem i ładem wyglądało na marzycielstwo.

Odnosiłem niejednokrotnie w Klubie wrażenie, że osoby o tendencjach bardziej radykalnych górują nad osobami o tendencjach bardziej radykalnych lepszą znajomością technicznej strony procesów społecznych, natomiast nie dorównują im pod względem wyobraźni w formułowaniu celów, do których należy i warto zmierzać. Widziało się w Klubie nawet pewne trudności porozumienia pomiędzy rzetelnymi fachowcami o skłonnościach w pewnym sensie konserwatywnych, nie bardzo zdolnych do myślenia w kategoriach celów długofalowych, a radykałami, którzy bardzo dobrze wiedzieli, jaki stan rzeczy byłby dla nich optymalny, ale którzy za to wykazywali pewne skłonności do demagogicznego nieliczenia się z rzeczywistością. Momentem, w którym ten konflikt wystąpił, moim zdaniem, szczególnie jasno, było zebranie na temat spółdzielczości z referatem prof. Remigiusza Bierzanka, o którym jeszcze powiem coś za chwilę. Tu chciałbym tylko podkreślić wyjątkowość osoby Falskiego na tym tle. Falski bowiem, zagorzały radykał społeczny, łączył w sobie wyjątkowym stopniu fachową, techniczną kompetencję z ogromną wyobraźnią w zakresie pożądaných i możliwych do zrealizowania celów.

Tytułem dygresji niech mi wolno będzie opowiedzieć o incydencie, który się wydarzył na drugim z tych zebrań, poświęconym programom szkolnym. W dyskusji nieoczekiwanie poprosił o głos 16-letni chłopiec, który opowiedział, jak nonsensy w układaniu programów szkolnych odbijają się na praktyce nauczania w jednym warszawskim gimnazjum. Przemówienie to było dziecinne, na pewno nieobiektywne w swojej pasji robienia karykatury ze wszystkiego, co się w tej szkole dzieje, ale jakoś ciekawe, tym bardziej, że fakty i przykłady zostały dobrze obrane inteligentnie. Po chłopcu zabrał głos bliżej nikomu nieznaną nauczyciel, który w dłuższym przemówieniu dowodził, jak palącą sprawą jest konieczność ochrony autorytetu nauczyciela. Zaatakował on też gimnazjalistę z niesłychaną gwałtownością, używając określeń w najwyższym stopniu obraźliwych za podważanie tego autorytetu. Przewodniczący zebrania przerwał mu natychmiast, domagając się odwołania obraźliwych sformułowań. Mówca zgodził się na to, ale w dalszym ciągu zwracał się do chłopca, mówiąc mu „ty”. Wtedy przewodniczący przerwał mu po raz drugi, zwracając mu uwagę, że to jest forma zwracania się do polemistów w Klubie nieprzyjęta. Dyskutant obstawał przy swoim, oświadczając, że jest to ogólnie przyjęta forma zwracania się do uczniów szkolnych. Na to ktoś krzyknął: „Niech mówi ty. Ja za chwilę zabiorę głos i będę z kolei do niego mówił ty”. Przez cały czas sala aż wrzała w obronie chłopca i nieszczęsny obrońca autorytetu nauczyciela musiał się potem nasłuchać od następnych dyskutantów wielu rzeczy nieprzyjemnych. Wspominam o tym incydencie nie dlatego, że wnosił on coś nowego do dyskusji nad referatem Falskiego, tylko dlatego, że dobrze on,

moim zdaniem, charakteryzuje te cechy środowiska klubowego. które osoby Klubowi nieżyczliwe chrzciły mianem „parlamentarnego kretynizmu”.

Znakomite były wszystkie referaty, jakie na różne tematy wygłaszał w Klubie prof. Antoni Rajkiewicz. Specjalnością prof. Rajkiewicza jest demografia, ale tylko jeden z jego trzech klubowych referatów poświęcony był problematyce demograficznej *sensu stricto*, konkretnie problemom zatrudnienia w Polsce. Dwa pozostałe referaty były *sui generis* sprawozdaniami z podróży: w jednym wypadku mówił ogólnie o sprawach niemieckich, w innym o pierwszych krokach socjologii sowieckiej. O socjologii sowieckiej mówił ciepło. Nie ukrywał, że wyniki prac często nie stanowią rewelacji i że można im niejedno zarzucić. Ale narzucił sali postawę szacunku dla młodych naukowców, którzy potrafili wyrwać się z kręgu myślowego bełkotliwej frazeologii i samodzielnie odnaleźć drogę do rzetelnej roboty empirycznej. Referat niemiecki Rajkiewicza może być, sądzę, wzorem obiektywizmu i braku uprzedzeń, jakiego nikt chyba, kto w Polsce w sprawach niemieckich zabierał głos, nie doścignął. Największą może rewelacją był jednak dawny, wygłoszony chyba jeszcze w r. 1957, referat o problemach zatrudnienia. Trudno mi streszczać jego tezy mimo, że mogę powiedzieć iż dziś, po sześciu latach, dobrze je pamiętam. To co ja odczułem wtedy jako rewelację, to to, że Rajkiewicz wprowadził czynniki demograficzne (tzw. okresy przymusowej bezczynności) do wyjaśnienia zjawisk przestępczości i demoralizacji młodzieży. Po ogólnikach, jakie często na ten temat poprzednio się publikowało, brzmiało to nareszcie konkretnie i przekonująco.

Wśród masy występujących w Klubie prelegentów o wielu dałoby się powiedzieć rzeczy najlepsze. Myślę jednak, że nikt nie potrafił tak od pierwszej chwili nawiązywać kontaktu z salą i trzymać ją w napięciu, jak Falski i Rajkiewicz.

IV

Gdyby mnie zapytano, jakie pojedyncze wystąpienie dyskusyjne w Klubie sprawiło na mnie największe wrażenie i stało się jakoś najbardziej pamiętnym przeżyciem, to bym bez wahania wskazał na przemówienie byłego komendanta Kedywu, Rybickiego, w dyskusji nad referatem Władysława Bartoszewskiego o postawach ludności polskiej wobec zagłady Żydów w okresie okupacji.

Rybicki wystąpił wtedy, kiedy ktoś na sali zarzucił dowódcy wtu podziemia, że wydało i wykonało za mało wyroków śmierci na „szmalcowników”: szantażystów, tropiących Żydów i wymuszających od nich pieniądze pod groźbą przekazania ich w ręce Gestapo. Właściwie Rybicki mówił o rzeczach znanych: o trud-

nościach postępowania dowodowego w warunkach konspiracyjnych, o łatwości popełnienia omyłki lub dania wiary sugestiom celowo fałszywym, czego efektem mogło być odebranie życia człowiekowi najzupełniej niewinnemu, o wszystkich moralnych implikacjach terrorystycznej roboty, o warunkach, w jakich terroryści pracowali. Nie bronił podległych sobie oddziałów przed zarzutem, że wykonały za mało wyroków; nie zależało mu na wybielaniu siebie czy dowodzonej przez siebie jednostki. Pokazywał tylko, jak to wyglądało. Pokazywał od wszystkich możliwych stron. Mówił, jak nikłe były szanse powodzenia wielu akcji i jak szalenie żmudna i długotrwała praca musiała je poprzedzać. Podawał jakieś cyfry świadczące o tym, jak makabrycznie te oddziały były dziesiątkowane przez straty w czasie akcji, wypadki, aresztowania, tortury, wreszcie zwykły strach i demoralizację. Mówił o swoim poczuciu odpowiedzialności za życie, zdrowie, charakter podlegających mu żołnierzy. Nie jestem w stanie dziś przemówienia tego streszczać: szczegółów nie pamiętam. Pamiętam natomiast dobrze piorunujące wrażenie, jakie na sali wywarł ten opowiedziany prostymi słowami i bez jakichkolwiek upiększeń dramat dowódcy beznadziejnie dziesiątkowanych oddziałów, u którego konsyderacje czysto ludzkie tak bardzo przeważały nad momentem militarnego sukcesu.

V

Gdyby mnie zapytano o najciekawsze, najbardziej pamiętne zebranie w historii Klubu, to wymieniałbym zebranie poświęcone sprawie Ukraińskiej.

Referentem był Wojciech Sulewski, historyk i konsultant Ministerstwa Spraw Wewnętrznych w sprawach ukraińskich. Referat był bardzo erudycyjny i zarazem niedobry. Sulewski zababrał się w szczegółach, których absolutnie nie potrafił powiązać w jakąś sensowną całość i wykorzystał do wyprowadzenia sensownych wniosków. W dodatku — co, jak o tym wspominałem w poprzednim rozdziale, było rzeczą w Klubie naprawdę rzadką — uprawiał jakieś błazeństwo. Powiedział, że brak polskiego Quislinga był tylko skutkiem tego, że Niemcy nie mieli zamiaru tworzyć marionetkowego rządu polskiego i że gdyby tylko zechcieli, to polscy kandydaci na Quislingów oferowaliby Niemcom swoje usługi na wypródkę. Ktoś z sali zapytał go wtedy, na czym to swoje przekonanie opiera. Sulewski odpowiedział, że na artykule w konspiracyjnej „Trybunie Wolności” i dodał, że choć artykuł ten jest niepodpisany, wiadomo, że jego autorem jest Władysław Gomułka. Trudno się też dziwić, że wnioski takiego prelegenta sprowadzały się właściwie do tego że najodpowiedniejszą i najpełniejszą formą bytowania narodowego dla Ukraińców jest Ukraińska SRR, a jeżeli chodzi o oby-

wateli polskich narodowości ukraińskiej, to wszelkie problemy są idealnie rozwiązywane przez działające w Warszawie Ukraińskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne.

(Tytułem informacji pragnę tu dodać, że sytuacja mniejszościowych Towarzystw Społeczno-Kulturalnych w Polsce jest na pewno nie łatwa. Konflikt pomiędzy interesami reprezentowanej przez dane Towarzystwo mniejszości a narzuconym przez ideologię obowiązkiem „internacjonalistycznej” lojalności w stosunku do rządu bratniego narodu jest konfliktem ciężkim. Sytuację komplikuje przy tym fakt, że im kto bardziej jest „internacjonalistyczny”, tym większe ma szanse wymanewrowywania rywali, poczuwających do jakichś obowiązków autentycznego reprezentowania interesów danej mniejszości — wszystkie decyzje personalne zapadają przecież w PZPR-ze. Tym niemniej jest faktem, że właśnie Towarzystwo Ukraińskie uchodzi za najbardziej ze wszystkich pod tym względem ześwinione. Czy słusznie, nie wiem: powtarzam tylko to, co się w Warszawie o tym mówi).

Nie referat więc nadał temu zebraniu ciężar gatunkowy. Rzecz naprawdę niezwykła zdarzyła się w czasie dyskusji na temat konfliktów polsko-ukraińskich w okresie wojny. Sala mianowicie podzieliła się dychotomicznie na tych, którzy w nacjonalistycznym zacierzwieniu potrafili dostrzec z jednej strony tylko szlachetną Polskę, a z drugiej tylko hitlerowskich sługusów, kolaborantów i bandytów i na tych, którzy byli w stanie zrozumieć ukraiński punkt widzenia, dostrzec winę i po polskiej stronie, widzieć w zjawisku ukraińskiej kolaboracji z Hitlerem sojusz taktyczny, rozumiały wobec faktu, że plany eksterminacji narodu ukraińskiego narodziły się naprzód w Moskwie, a jeżeli także w Berlinie, to dopiero później. (Oczywiście przypomniano tu pamiętne zdanie z tajnego raportu Chruszczowa z 25 lutego 1956, że nieszcześnie Stalina było to, że Ukraińców było aż 40 milionów; w przeciwnym wypadku by ich wszystkich wymordował tak, jak to zrobił z mniej liczebnymi narodowościami). Otóż do pierwszej grupy należeli komuniści, a do drugiej wszyscy inni. Doszło do tego, że komuniści byli najbardziej ze wszystkich skłonni przemilczać wyczyny Piłsudskiego i Sławoja Składkowskiego w Galicji Wschodniej! Ale o „demokracjach ludowych” wysiedlaniu Ukraińców w r. 1945 i o pacyfikacji Rzeszowszczyzny w r. 1947 też mówiono. I to jak! Ktoś krzyknął że tam scyzorykami ludzi zarzynano. Nie wiem oczywiście, w jakim stopniu ten i różne inne podawane szczegóły były autentyczne. Mogły one być przesadzone czy przekrecone. Ważne, moim zdaniem, było to, że sala stanowczo wtedy odmawiała przyjęcia — tylekroć wypraktykowanej względem spraw odpowiedzialności własnego narodu za krzywdy innych narodów — postawy „nie wiedziałem”.

Muszę jednak we wstydem powiedzieć, że tej zdolności spojrzenia oczyma innego narodu zabrakło w dyskusji nad refera-

tem Władysława Bartoszewskiego o stosunku ludności polskiej i polskiego podziemia do całego *Endloesung der Judenfrage*. (Były dwa zebrania na ten temat: Rybicki przemawiał na pierwszym z nich, ja w tej chwili mam na myśli drugie). Tutaj, w przeciwieństwie do wieczoru ukraińskiego, doskonały, obiektywny referat górował nad stosunkowo słabą i dość nieobiektywną dyskusją. Ktoś mi wtedy po zebraniu powiedział, celowo przejawiając, że sala podzieliła się według kryterium rasowego. Rzeczywiście było trochę tak, że koledzy narodowości żydowskiej lub pochodzenia żydowskiego skłaniali się do pomniejszania znaczenia pomocy okazanej Żydom przez Polaków, podczas gdy dyskutanci nie będący Żydami przejawiali tendencje do wykazywania, że w zakresie pomocy Żydom zrobiono wszystko, co w tych warunkach było możliwe.

VI

Wyraźny podział sali na jakieś „dwa obozy” był raczej rzadkością: normalnie stanowiska kształtowały się w sposób bardziej zniuansowany. Ale w tych rzadkich stosunkowo wypadkach, kiedy stanowiska były zdychotomizowane, dyskusja nabierała żywszych konturów i temperatura polemiczna stawała się gorętsza. Przykładem takiego zebrania może być wieczór z referatem Remigiusza Bierzanka o spółdzielczości.

Pozornie chodziło o sprawę werbalną: o definicję pojęcia spółdzielni. Przedmiotem sporu było np. to, czy za spółdzielnie mają być uważane także zwyczajne spółki akcyjne oparte na zasadzie proporcjonalności zysków do wkładów. Prelegent reprezentował pogląd, żeby uważać za spółdzielnie całą masę najrozmaitszych typów zrzeszeń, o bardzo różnych formach organizacyjnych i bardzo różnych celach. Spotkał się w tym ze sprzeciwem, w pierwszym rzędzie ze strony laureata nagrody KKK, Jana Wolskiego.

Za tą różnicą terminologii kryła się w istocie głęboka różnica poglądu na świat. Tolerancja Bierzanka w zakresie możliwych form organizacyjnych i możliwych celów istnienia spółdzielni stała się tutaj z przekonaniem Wolskiego, że spółdzielczość powstała i istnieje po to, żeby spełnić określone zadania ideowe. Dla Bierzanka sens istnienia spółdzielni polegał chyba w gruncie rzeczy na tym, że umożliwiają one efektywniejsze spełnienie zadań produkcyjnych, efektywniejsze zaspokojenie różnych ludzkich potrzeb konsumpcyjnych itp.; natomiast dla Wolskiego na tym, że dają one (czy też raczej powinny dawać) większe zadowolenie z wykonywanej pracy, większy stopień swobody osobistej, większy stopień równości w stosunkach międzyludzkich. Przeciwno Wolskiemu wystąpił wtedy minister rolnictwa wielu rządów międzywojennych, Juliusz Poniatowski,

argumentując, że w najbardziej demokratycznej instytucji istnieje element przymusu w postaci konieczności podporządkowania się decyzji większości. To, czy jednostka musi się podporządkowywać arbitralnej decyzji innej jednostki, czy decyzji większości — argumentował Poniatowski — nie jest bynajmniej rzeczą obojętną i nie powinno się jej lekceważyć. Ale instytucja demokratyczna różni się od instytucji niedemokratycznej nie nieobecnością przymusu, lecz tylko odmiennym źródłem przymusu. W moim osobistym przekonaniu pogląd Poniatowskiego nie jest słuszny, gdyż demokratyczność instytucji (także państwa) polega między innymi na tym, że decyzji większości można się nie podporządkować, z organizacji wystąpić, z państwa wyemigrować itp. Tę myśl wtedy zresztą w obronie koncepcji Wolskiego sformułowałem. Ale nie to jest ważne. Wszystkie szczegóły z tego zebrania podaję tu nie po to, żeby komuś przyznawać rację, a komuś innemu jej odmawiać, lecz po to, żeby pokazać — bardzo zresztą z grubsza — różnicę dzielącą pewną orientację konserwatywną od swego rodzaju orientacji radykalnej w Klubie. Różnica ta, która tego akurat wieczoru zarysowała się szczególnie plastycznie (nb. na bardzo wysokim poziomie kultury polemicznej), nurtowała środowisko Klubowe głęboko. Nie chcę tu niczego upraszczać i zjawisk wielowymiarowych sprowadzać do jednego wymiaru: na pewno w ramach każdej z tych dwóch orientacji było mnóstwo niuansów. Na pewno też nie dałoby się tej różnicy ująć w kategoriach prostackich, takich jak stosunek do Związku Sowieckiego albo do klasy robotniczej czy w kategoriach niewiele dziś znaczących formulek typu postępowość-reakcyjność, lewica-prawica, rewolucjonizm-reformizm czy internacjonalizm-nacjonalizm. Ta różnica tkwiła gdzieś głębiej, nie tylko w sferze przekonań, ale także dyspozycji psychicznych, nawyków w sposobach postrzegania rzeczywistości, ogólnych orientacji życiowych. Choć używam tu formułkowych nazw, proszę czytelnika, żeby pamiętał, że kryją się za nimi treści dosyć skomplikowane. Po stronie konserwatystów głównymi atutami była większa fachowość w zakresie techniki przemian społecznych i jakby większa świadomość oporów, jakie stawia społeczna materia. Po stronie radykałów atutami tymi były większa konsekwencja myślowa, większa wrażliwość na krzywdę społeczną i na wszelkie postacie zakłamania oraz — o czym już wspominałem — większa wyobraźnia w stawianiu sobie celów.

Najwybitniejszym reprezentantem tego, co tu nazywam orientacją konserwatywną był, moim zdaniem, wspomniany przed chwilą Juliusz Poniatowski. Dzięki niewątpliwej sile swojej argumentacji, a także dzięki ogromnemu urokowi osobistemu i umiejętności zjednywania sobie ludzi, Poniatowski miał zwolenników wśród młodych. Może najbardziej wymowni wśród mówców młodszego pokolenia, zdradzających tendencje konserwatywne, byli Aleksander Gella i Aleksander Matejko.

Jedna z tendencji Poniatowskiego daje się wyraźnie odczytać z jego polemiki przeciwko Wolskiemu: w każdych warunkach społecznych musi istnieć element przymusu, gdyż bez przymusu niemożliwe jest społeczne współżycie. Podobnie — twierdził Poniatowski kiedy indziej — w każdych warunkach społecznych musi istnieć element nierówności, gdyż sama natura czyni ludzi nierównymi. Sprzeciw wywoływały przy tym nie same — w dość oczywisty sposób przecież prawdziwe — tezy Poniatowskiego, lecz pewna tendencja do usprawiedliwiania zjawisk przymusu i nierówności, do godzenia się z nimi, do uważania ich za rzeczy naturalne.

W tej orientacji Poniatowskiego i osób o poglądach do niego zbliżonych kryła się także jeszcze inna tendencja. Wtedy, na przykład, kiedy środowisko klubowe aż wrzało z oburzenia z powodu kary śmierci za przestępstwa gospodarcze, Poniatowski, który doskonale rozumiał wszystkie moralne i społeczne aspekty tej sprawy i bynajmniej nie miał zamiaru żadnego z nich lekceważyć, reagował podkreśleniem, że ludzie strasznie okradają państwo i że kradzieże te trzeba za wszelką cenę ukrócić. (Zaraz powiem, jak reagowali na to przedstawiele orientacji radykalnej). W jednym ze swoich referatów Poniatowski, tak, jak go pamiętam, sformułował jakąś zasadę prymatu obrony interesów narodowych przed zagrożeniem z zewnątrz ponad obroną interesów grupy społecznej przed zagrożeniem ze strony innej grupy społecznej. Kiedy indziej Aleksander Gella mówił, że najważniejszą rzeczą w Polsce jest krzewienie poczucia obywatelskiego. Te różne w swej treści wystąpienia sprowadzam do wspólnego mianownika dlatego, że ich cechą wspólną był prymat względu na dobro państwa ponad względami na dobro jednostek. To właśnie bardzo różniło osoby, które nazywam tu konserwatystami od osób, które nazywam radykałami, dla których państwo, i to jeszcze w dodatku takie, które za wiele dla swojego dobra wymaga, było z zasady rzeczą podejrzaną.

Najwybitniejszym polemistą, broniącym w Klubie poglądów radykalnych był, moim zdaniem, Ludwik Hass. Jako dyskutant był nieznośny, napastliwy, nietolerancyjny, w wypowiedziach swoich niepomahowany. Daleko mu było do kultury dyskusyjnej takiego np. Poniatowskiego. Co więcej, Hass pewne parlamentarne obyczaje dyskusyjne świadomie i programowo lekceważył. Był to przy tym człowiek pod każdym względem wybitny. Historyk, imponował wszystkim ogromną erudycją, zdumiewającą przy jego biografii: był on bowiem aż siedemnaście lat reedukowany, z czego osiem w obozie koncentracyjnym, a dziewięć na przymusowym osiedleniu za kołem podbiegunowym. Mówca świetny, potrafił elektryzować salę. Potrafił formułować hasła. Pamiętam, na przykład, jak rzucił w twarz zwolennikom „racji stanu”: „Uważajcie z tą racją stanu, bo jak dwie racje stanu się skrzyżują, to ludzi trzeba przesiedlać”. Paradoksu się nie lękał i po-

trafił formułować poglądy w najbardziej drastyczny sposób odskakujące od przeciętności. Na przykład w dyskusji nad karą śmierci wystąpił z poglądem, że można usprawiedliwić wyroki śmierci ferowane przez jakieś autentycznie ludowe trybunały rewolucyjne, przez zrewolucjonizowaną ulicę i kończące się wieszaniem na latarniach; natomiast absolutnie nie można pogodzić się z wyrokami śmierci ferowanymi w majestacie państwowego prawa. (Hass wprawił wtedy w popłoch obecnych na sali Amerykanów, dla których takie stanowisko równało się apologii lynchu antymurzyńskiego). Podstawowym orężem polemicznym w ręku Hassa był marksizm i to marksizm bardzo klasyczny. Muszę powiedzieć, że od tego człowieka nauczyłem się doceniać marksizm jako środek polemiki politycznej przeciwko niektórym marksistom: przedtem uważałem go za twór intelektualny całkowicie zмумifikowany i nienadający się raczej do niczego poza mydleniem oczu. Ten marksizm prowadził go zawsze do wniosków rewelacyjnych, zaskakująco oryginalnych, stanowiących jaskrawy kontrast w stosunku do tych żalonych bzdur i komunałów, które publiczności bywają jakże często pod mianem marksizmu prezentowane. Hass dokonywał rzeczy naprawdę niezwyklej, kiedy tej filozofii, będącej już tak bezwstydną apologetyką społecznego i nawet politycznego *status quo*, przywracał oryginalny kształt filozofii społecznego buntu. Robił to przy tym naprawdę z ogromnym talentem. Ale nawet zewnętrznie, formalnie mieścił się jakoś w tradycji polemik partyjnych. Lubił bardzo na przykład cytować klasyków: tylko zwykle tak, że zimno się robiło z wrażenia. Lubił czepiać się słów, namolnie drążyć w jakichś szczegółach. Nade wszystko zaś odczuwał największą satysfakcję wtedy, kiedy miał poczucie, że zdemaskował, skompromitował przeciwnika. Nigdy niezmeńczony, był zawsze gotów do polemiki, do sporu, do ideologicznej rozróbki.

Hass był człowiekiem nauki, historykiem. Podobne raczej tendencje, ale wypowiedane w formie mniej intelektualnej a bardziej emocjonalnej, reprezentował w Klubie poeta, Jan Wyka, podobnie jak Hass, stary, przedwojenny komunista. (Wyka brał udział w wojnie domowej w Hiszpanii w Brygadzie im. Dąbrowskiego, a podczas wojny był w Anglii: tylko dzięki temu udało mu się uniknąć reedukacji). Wyka był autorem wspomnianej już prelekcji w czterdziestolecie KPP, w której wyładował całą swoją gorycz z powodu degrengolady ruchu komunistycznego, jaką w ciągu co najmniej dwudziestu pięciu lat dane mu było obserwować. Było to przemówienie pełne sformułowań mocnych, dosadnych, zapalczywych, pełne gryzącej ironii i namiętnego protestu, ale intelektualnie raczej nic nowego nie wnoszące. W podobny sposób Wyka wielokrotnie zabierał głos i przy innych okazjach.

Odmiernym typem przedstawiciela myśli radykalnej w Klubie był wspomniany już Jan Wolski. Wolski miał bogatą prze-

szość rewolucjonisty, był notowany w kartotekach wielu różnych policji, począwszy od carskiej i Hohenzollernów, ale w przeciwieństwie do Wyki i Hassa nigdy nie był komunistą i tradycja marksizmu była mu raczej obca. Jego zainteresowania koncentrowały się na problemach spółdzielczości pracy, w szczególności na zagadnieniu warunków, gwarantujących faktyczną a nie tylko formalną demokratyczność organizacji i instytucji. Znowu mnóstwo ludzi uważało go, podobnie jak Falskiego, za nierealistycznego marzyciela. Ale muszę powiedzieć, że Wolski w jednym ze swoich referatów w Klubie, opierając się wyłącznie na znanych mu doświadczeniach spółdzielni pracy, doszedł do wniosków w pewnym zakresie identycznych z wnioskami Lipseta, Trowa i Colemana (*Union Democracy*, Glencoe Free Press 6950), opartych na żmudnych badaniach eksperymentalnych i statystycznych, z zachowaniem wszelkich możliwych wymogów naukowej poprawności. (Wiem, że Wolski książki tej nie znał i że do tych wniosków doszedł zupełnie od niej niezależnie). Przy tych zainteresowaniach i przy tym nastawieniu główny wysiłek Wolskiego szedł w kierunku demaskowania wszelkich pozorów demokratyczności, gdziekolwiek by one występowały i jakiegokolwiek by było ich pochodzenie. Odnosił się z nieufnością do demokracji parlamentarnej, gdyż jego ideałem był bezpośredni udział ludzi pracy w rządzeniu i pobieraniu decyzji politycznych, a nie pośrednictwo profesjonalnych reprezentantów, do których nie miał zaufania bez względu na ich partyjną afiliację. Ironia jego uderzała w biurokratyzowane związki zawodowe (które się tak nazywają chyba dlatego, że sprawiają zawód), we wszelkich „ideowych zawodowców” (czyli zawodowych ideowców), rozmaite czynniki (czyli cyniki) oficjalne w ruchu zawodowym i w ogóle wszelkie karykatury demokratycznych i socjalistycznych instytucji, gdzie z pierwotnych idei nie pozostało nic poza pięknie brzmiącymi nazwami i formułkami, które osłaniają praktykę brutalnego, biurokratycznego przymusu. (Wyrażenia w nawiasach są autentycznymi sformułowaniami Wolskiego). W tym Wolski spotykał się z innymi przedstawicielami orientacji radykalnej, których główną tendencją było zawsze przypominanie o nieuregulowanych pretensjach społecznych, zarówno wtedy, gdy ktoś usiłował twierdzić, że pretensji takich nie ma (bo w Polsce są takie osiągnięcia, bo tyle się już zrobiło, bo nie jest wcale tak źle), jak i wtedy, gdy ktoś utrzymywał, że pretensji takich być nie powinno np. w obliczu wspólnego zagrożenia albo w konsekwencji jakoś pojmowanego obowiązku moralnego itp.

Pod adresem Wyki i Hassa, a o ile pamiętam także pod adresem Wolskiego, wysuwano w swoim czasie zarzut, że likwidacja Klubu była następstwem prowokacyjnego charakteru ich wystąpień i że wobec tego oni są za tę likwidację odpowiedzialni. Jako członek ostatniego zarządu KKK znam bardzo dokładnie

przebieg wypadków, który doprowadził do likwidacji Klubu i na tej podstawie muszę stwierdzić, że o ile wystąpienia te istotnie doprowadzały nieraz władze do wściekłości (mówiłem o tym w § V, rozdz. 3) to sama likwidacja Klubu nie miała z nimi żadnego związku. Jeżeli natomiast kogoś z członków Klubu można czynić w pewien sposób odpowiedzialnym za likwidację Klubu, to właśnie tych, którzy ten zarzut wysuwali. W moim przekonaniu, było w mocy kolegów, reprezentujących pojedynczo stanowisko wobec żądań władz, podjęcie pewnych kroków, które mogłyby, nie przekreślając niezależności Klubu, doprowadzić do jakiegoś *modus vivendi* pomiędzy nim a władzami i w ten sposób na pewien czas przynajmniej go uratować. Mam tu na myśli zorganizowanie frakcji PZPR-owców w Klubie dla celów aktywnej obrony ideologii partii na forum Klubu. Wiadomo mi, że władze w swoim czasie o czymś takim wręcz marzyły i wiadomo mi z drugiej strony, że nikt w Klubie nie miał żadnego powodu powstaniu takiej frakcji się sprzeciwiać. Kroki takie zostały niestety zaniedbane i w ten sposób ostatnia szansa uratowania Klubu została zmarnowana. Dla uniknięcia nieporozumień pragnę tu jednak z całą mocą podkreślić, że rozważam tu wyłącznie szanse uratowania Klubu jako jednostki niezależnej. Uratowanie Klubu przy jednoczesnej rezygnacji z jego niezależności nie było bowiem w ogóle żadną sztuką. Ale nawet, jeżeli się czyni zarzut z tego, że z tej niezależności dla utrzymania Klubu nie zrezygnowano, to adres Wolskiego, Wyki i Hassa jest też niewłaściwy.

VII

Oprócz różnic natury światopoglądowej można było w Klubie zaobserwować wyraźne różnice typu kultury intelektualnej. Różnice te czasami pokrywały się z różnicami zawodowymi: niekiedy odnosiło się wrażenie, że np. pomiędzy historykami a socjologami albo pomiędzy empirykami a filozofami, albo pomiędzy naukowcami a artystami czy dziennikarzami istnieją jakieś bariery przeszkadzające w dobrym porozumieniu się. Widziało się niekiedy, jak nawyki, uwarunkowane rodzajem wykonywanej pracy sprawiają, że sposoby widzenia zagadnień są u przedstawicieli różnych specjalności do pewnego stopnia odmienne. W tym konglomeracie najrozmaitszych specjalności, jakim był KKK, była to sprawa dość istotna. Ale trudności porozumienia były uwarunkowane nie tylko przez odmienne rodzaje specjalności, lecz także przez odmienne sposoby pojmowania zadań intelektualisty. Wśród różnic tego rodzaju na plan pierwszy wysuwała się różnica pomiędzy naukowcami nastawionymi na empiryczną robotę badawczą a filozofami zainteresowanymi w uprawianiu jakiejś metafizycznej spekulacji.

Tych ostatnica było w Klubie kilka odmian. Jeżeli nie liczyć jednak rzeczy dość egzotycznych, jak np. dwóch wyznawców filozofii Hoene-Wrońskiego, to w zasadzie dominowały dwie odmiany: Katolicy oraz osoby zafrapowane Heglem, młodym Marksem, ewentualnie także innymi filozofami niemieckimi XIX-go stulecia. Niektórzy z nich entuzjazmowali się także XX-wiecznymi kontynuacjami niemieckiej filozofii klasycznej np. Heideggerem czy egzystencjalizmem Sartre'a.

Zainteresowania tego rodzaju wносиła do Klubu przede wszystkim grupa zawodowych historyków filozofii z Leszkiem Kołakowskim na czele. Kilka osób z tej grupy było współpracownikami tygodnika „Argumenty”: stąd problematyka naukowa tych ludzi oscylowała często na pograniczu historii filozofii i religioznawstwa. Obok historyków filozofii *sensu stricto* bliski kontakt z Klubem mieli także niektórzy specjaliści z zakresu historii socjologii i myśli społecznej, wśród których wyróżniał się Andrzej Walicki. Zainteresowania historyków filozofii i historyków socjologii były chyba jednak w znacznej mierze do siebie zbliżone.

Popularność problematyki filozoficznej w Klubie była jednak z pewnością czymś znacznie głębszym, niż skutkiem przypadkowego faktu, że akurat spotkała się tam grupa specjalistów z tej dziedziny. Filozofia Hegla i młodego Marksa, a w pewnej mierze także egzystencjalizm francuski, spełniały bowiem wyraźnie w tym czasie rolę jakiejś spirytualnej nadbudowy, najpierw ruchu odwilżowego, a potem tych prądów do których przylepiono etykietę rewizjonizmu. Nie jest przypadkiem, że w gorących chwilach października „Nowa Kultura” uczciła specjalnym artykułem Bronisława Baczki 125-tą rocznicę śmierci „mędrca berlińskiego”, że „Zeszyty Teoretyczno-Polityczne Nowych Dróg”, których celem było zdawanie sprawy z dyskusji ideologicznych, toczących się w łonie ruchu komunistycznego, niemal w każdym numerze zamieszczały jakąś rozprawę o Heglu, że o młodym Marksie wiele się mówiło na łamach *Po Prostu*. To był pewien dominujący wtedy (bynajmniej nie tylko w Polsce) klimat intelektualny, który na Klub nie mógł nie mieć wpływu.

Osobiście pozostało dla mnie zawsze w pewnym stopniu zagadką, dlaczego znaczna część młodych naukowców i działaczy, po wyłamaniu się z ciasnych ram marksistowskiej ortodoksji, zwracała się nie ku nowoczesnej kulturze empirycznego myślenia, lecz ku kulturze dość nieodpowiedzialnego filozofowania na temat bytu, alienacji i biegu dziejów. Zaintrygowany tą kwestią, próbowałem ją kiedyś, jeszcze w 1958 roku, w specjalnym referacie na forum Klubu postawić. Sam chyba jednak ponoszę tu przynajmniej część winy za to, że dyskusja wyraźnych rezultatów nie dała i sprawy nie wyświectliła, gdyż swoje poglądy sformułowałem wtedy w sposób zanadto prowokacyjny i skrajny. Po moim referacie w dalszym ciągu wyczu-

wało się w Klubie brak porozumienia i jeżeli nie personalną to teoretyczną wrogość pomiędzy przedstawicielami pozytywistycznej orientacji współczesnej nauki empirycznej, a przedstawicielami metafizycznej orientacji współczesnej filozofii spekulatywnej.

Zainteresowania metafizyczne i skłonności do metafizyki dzielili z admiratorami Hegla i młodego Marksa także Kato-licy. Nie wszyscy zresztą, gdyż byli w Klubie działacze katolicy, wyraźnie grawitujący ku pozytywistycznemu stylowi myślenia: wymienić tu można socjologa Zdzisława Szpakowskiego czy skoncentrowanego na problematyce etycznej (ale poza tym doskonałego matematyka) publicystę katolickiego Andrzeja Grzegorzyc-ka. Ale byli i tacy, którzy jak Andrzej Wielowieyski czy Stefan Wilkanowicz posługiwali się metafizyką dla celów apologetycz-nych. Metafizycy katolicy i metafizycy ateistyczni spod znaku Hegla i młodego Marksa bardzo lubili uprawiać ze sobą dialogi. Zebrań tego typu było w Klubie kilka. Nie wykluczam, że uczestnicy mogli być z tych wymian poglądów zadowoleni. Mnie osobiście zebrań takie potwornie irytowały. Po pierw-sze dyskusje odbywały się na bardzo wysokim poziomie abstrak-cji, tak że mając tzw. umysł przyziemny z trudem chwytałem ich sens. Ale jeszcze bardziej irytowało mnie to, że dominowała na tych zebraniach jakaś tendencja do powszechnej zgody, do której nie widziałem żadnego powodu. Członkowie stowarzysze-nia ateistów, śladem programowych sformułowań Janusza Ku-czyńskiego, twierdzili, że ateizm jest już dziś rzeczą przestarzałą i że sens dzisiaj ma tylko laicyzm. Ktoś głosił hasło „rewizjo-niści wszystkich wyznań łączcie się”, podczas gdy naprawdę trudno było dostrzec jakikolwiek rewizjonizm zarówno po jed-nej jak i po drugiej stronie. Wszyscy razem deklamowali o swojej solidarności z hasłami postępu społecznego, po czym spokojnie wygłaszali przemówienia o potrzebie dostosowania się do rzeczy-wistości. Nastroje te doszły do zenitu na zebraniu z referatem Jerzego Zawieyskiego o postępowych tradycjach katolicyzmu. Referat ten był osobiwą deklaracją lojalności wobec szeregu rzeczy ze sobą sprzecznych naraz: zarówno wobec Kościoła jak i wobec pewnych prądów odstępnych od Kościoła jak i wobec pewnych idei społecznych przez Kościół potępianych. Na zebra-niu tym miały wprawdzie miejsce pewne zgrzyty, wywołane przez Leszka Kołakowskiego i przeze mnie, ale i one radosnego na-stroju powszechnego pojednania popsuć nie mogły. Nawiasem mówiąc wtedy kiedy te zebrań się odbywały, wydawało mi się jeszcze, że jedną z podstaw tego ateistyczno-katolickiego przy-mierza był wspólny antagonizm wobec PAX'u. Ale przed wyjaz-dem z Polski miałem wiarogodne informacje, że skłonności grupy „Argumentów” do zgody zaprowadziły tych ludzi do taj-nych z PAX'em rozhovorów na ideowe tematy.

Były w Klubie także sporadyczne przypadki propagandy

innych religii, dokonywanej przeważnie drogą przeciwstawienia ich katolicyzmowi względnie chrześcijaństwu. Tak np. w dyskusji nad referatem Marii Ossowskiej na temat religijnych podstaw moralności dłuższe przemówienie po francusku wygłosił jakiś gość z Indonezji, który stawiał religie azjatyckie za wzór religiom europejskim pod względem stosunku do zwierząt: wystąpienie to zostało przyjęte z wyraźną aprobatą. Była w Klubie pewna osoba, która kilkakrotnie i zupełnie bez powodzenia przekonywała zebranych o walorach religii mojżeszowej. Ciekawe, że podniosła swą kwestię w dyskusji nad referatem konsultanta seksuologicznego Poradni Świadomego Macierzyństwa, Hanny Malewskiej. Referat ten był sprawozdaniem z badań nad czynnikami warunkującymi satysfakcję płciową u kobiet. W świetle przedstawionych danych powstała kwestia, czy religijność kobiet wpływa na niezdolność do odczuwania takiej satysfakcji. Otóż ta pani zapewniała zebranych, że tak może być tylko u chrześcijanek, bo u Żydówek wszystko jest pod tym względem w porządku. Nie jest wykluczone, że miała rację, gdyż religia żydowska różni się pod tym względem od chrześcijaństwa w sposób istotny tym, że normuje częstotliwość aktu seksualnego w pożyciu małżeńskim, czego religie chrześcijańskie nie czynią. Ale o tym nikt na sali nie wiedział i entuzjastka religii mojżeszowej pozostała wyraźnie niezrozumiana.

Nie chciałybym jednak, żeby czytelnik odniósł wrażenie, że taki temat, jak czynniki satysfakcji płciowej u kobiet, prowokował ludzi do śmiechu czy jakichś reakcji niepoważnych. Było wręcz przeciwnie. Było cechą kultury środowiska klubowego, że potrafiło ono dyskutować jak najbardziej rzeczowo tematy nawet wyjątkowo drastyczne; obojętne przy tym, czy drastyczność ta miała charakter polityczny czy obyczajowy. Ogólnie panowało przekonanie, że nie ma tematu, który by się do poważnej i rzeczowej dyskusji nie nadawał: zasadę tę traktowano przy tym jako bezwyjątkową. W dyskusji nad referatem dr Malewskiej nie było niczego, co by tej zasadzie przeczyło.

VIII

Zebrania poświęcone problematyce najnowszej historii były na ogół przeciwieństwem zebrań poświęconych problematyce filozoficznej. Na zebraniach na tematy filozoficzne było na ogół sporo dyletantyzmu: ludzie zwierzali się z jakichś swoich kłopotów intelektualnych, które często trudno byłoby uznać za problemy realne. Poza tym mglistość tej problematyki sprzyjała formułowaniu wypowiedzi w sposób niejasny, chaotyczny, intelektualnie niechlujny. W przemówieniach na tematy filozoficzne pojawiała się niekiedy żenująca frazeologia i zupełnie nieuzasadniony patos, co czyniło, że atmosfera stawała się chwilami depry-

mująca. Nie twierdę bynajmniej, że wszystkie przemówienia były takie, albo choćby, że takie przemówienia były reguła. Twierdę jednak, że z tych powodów przeciętny poziom wypowiedzi na tematy filozoficzne był niższy niż na inne.

Rzeczą najbardziej uderzającą na zebraniach poświęconych problematyce najnowszej historii była naprawdę ogromna erudycja dyskutantów. Widać było, że ludzie najrozmaitszych zawodów i specjalności, nieraz od historii bardzo dalekich, mają za sobą poważną, wielojęzyczną i źródłową lekturę z tej dziedziny. To fachowe przygotowanie, uderzające u ludzi, którzy, formalnie rzecz biorąc, fachowcami w tej dziedzinie nie byli, sprawiało, że dyskusje historyczne odznaczały się, w moim przekonaniu, przeciętnym poziomem wyższym, niż dyskusje na jakiegokolwiek inne tematy. Warunkiem tego poziomu była jednak jakaś konkretna materia historyczna, stanowiąca przedmiot dyskusji. Albowiem te dyskusje historyczne, które się nie koncentrowały na konkretnym przebiegu wydarzeń, jak np. dyskusje na temat Zjazdu Historyków, na temat „Rozważań o Historii” Witolda Kuli, czy na temat tradycji narodowej w historiografii (ref. Adam Kersten), już, moim zdaniem, do najbardziej udanych nie należały.

W dyskusjach na tematy historyczne w Klubie na pewno wypowiedziano wiele myśli kontrowersyjnych i niesłusznych. Podam tylko jeden przykład. Tematem zebrania była książka Zbigniewa Załuskiego, a właściwie tylko część tej książki, odnosząca się do września 1939 roku. Referował Paweł Jasienica. Tendencją autora omawianej książki była obrona kampanii wrześniowej przed otaczającą ją złą sławą, pokazanie że była ona nie tylko panicznym odwrotem, że wiele jej elementów miało militarny sens, że była w niej masa zwykłego ludzkiego bohaterstwa i poświęcenia. Otóż na tym zebraniu jeden z młodych historyków, którego nazwiska już nie pamiętam, doprowadził myśl Załuskiego do nieprawdopodobnej skrajności, twierdząc, że Rydz-Śmigły był doskonałym strategiem, Beck doskonałym dyplomatą, że w kampanii wrześniowej odniesiono szereg sukcesów militarnych itp. Załuski zlekceważył to przemówienie, ale na dobrą sprawę nie zasługiwało ono na zlekceważenie, gdyż historyk ten na poparcie swoich, celowo sformułowanych w sposób skrajny i zapewne niesłusznych tez umiał jednak przytoczyć masę faktów i źródeł.

W ogromnym zainteresowaniu tą problematyką, jakie sala zwykle w czasie takich dyskusji wykazywała, było na pewno wiele pasji do samej faktografii historycznej, ale wyczuwało się także jakieś poszukiwanie „lekcji historii”, jakieś dążenie do porównywania stanów przeszłych z teraźniejszymi, do aktualizacji tej problematyki, przynajmniej poprzez zajęcie stanowiska w aktualnie toczących się sporach na dany temat. Fakt istnienia w Polsce świetnej publicystyki historycznej obok braku dobrej

publicystyki politycznej stwierdził w swoim czasie, niewątpliwie słusznie, Juliusz Mieroszewski. Publicystyka polityczna, mniej skrępowana przez cenzurę, spełnia zastępczo pewne funkcje publicystyki politycznej. To samo da się do pewnego stopnia powiedzieć o zebraniach klubowych na tematy historyczne. Tak np. Paweł Jasienica, mówiąc o wydarzeniach dyplomatycznych poprzedzających wrzesień 1939 r. i wykazując, jak ogromne konsekwencje miała kampania wrześniowa dla dalszego przebiegu wojny, przeciwstawił się poglądom publicystów historycznych prawicy, zawsze gotowych do zalecania postawy kapitulanczkiej bądź wobec Niemiec, bądź wobec Rosji, bądź wobec Niemiec i Rosji zarazem. Ten sam prelegent, zadając przy innej okazji pytanie, czy historia Polski dowodzi, że Polacy wykazywali większe od innych narodów skłonności do anarchii i warcholstwa, siłą rzeczy ustosunkowywał się jakoś do rozpowszechnionego w pewnych kołach przeświadczenia, że wskutek tych wrodzonych złych skłonności narodu Polskiego, demokracja w Polsce jest niemożliwa. Władysław Bartoszewski przez swoją spokojną, obiektywną ocenę zachowania się ludności polskiej i w szczególności podziemia polskiego wobec zagłady Żydów, siłą rzeczy dawał jakąś odpowiedź na nastroje antypolskie, pojawiające się tu i ówdzie w różnych środowiskach żydowskich na świecie, specjalnie w okresie procesu Eichmanna. Ludwik Hass w swojej doskonałej analizie statystycznej wyników wyborów do Sejmu Ustawodawczego w r. 1919 pokazywał, że nie było wówczas fali nastrojów rewolucyjnych i przez to samo oddalał zarzut WKP(b) pod adresem KPP, że koniunktura rewolucyjna tego okresu została przez KPP niewykorzystana: zarzut, który grał później przy całej sprawie likwidacji KPP. Wreszcie wspomniany dopiero Zbigniew Żałoski też nie sobie a muzom gloryfikował kombatantką tradycję, lecz po to, aby w żarliwym, *par excellence* militarystycznym przemówieniu przypomnieć o tym, że (było to w okresie kryzysu berlińskiego) może znów przyjść chwila, kiedy trzeba będzie dać życie za ojczyznę. (Charakterystyczne sformułowanie Żałoskiego: „Jedynym człowiekiem w Polsce, który słowa Tuwima „różnij karabinem o bruk ulicy” potraktował dosłownie, był Rydz-Smigły”). Zapewne ten i ów na sali pomyślał sobie wtedy, że mur Ulbrichta to jeszcze nie ojczyzna, ale trzeba powiedzieć, że wystąpienie Żałoskiego, inteligentne, wypowiedziane z ogromną pasją i zupełnie bez frazesów, wywarło wtedy na obecnych duże wrażenie.

Nie chciałbym jednak, żeby czytelnik doszedł do wniosku, że rzeczywistym motywem tych tak gorących zainteresowań problematyką historyczną, była jakaś pogoń za polityczną pikanterią. W rzeczywistości na zebraniach tych toczyły się nieraz zawzięte spory o szczegóły, które do żadnych aktualiów wykorzystane być nie mogły. Zainteresowania czysto historyczne kwitły zupełnie niezależnie od tego, że pewnym wydarzeniom histo-

rycznym przypisywano niekiedy jakiś sens dydaktyczny lub z innych powodów uważano je za sprawę politycznie aktualną.

IX

Inną dziedziną, dokoła której koncentrowały się w środowisku klubowym bardzo zaognione pasje, była problematyka moralna i ideologiczna.

W sprawach moralności i ideologii jestem, niestety, na ogół dość indyferentny i dlatego obawiam się, że to, co tu powiem, nie będzie zbyt kompetentne. Mimo to postaram się pewne charakterystyczne rzeczy z dyskusji klubowych na te tematy przedstawić.

Ogromna większość osób ze środowiska klubowego poczuwała się do tak czy inaczej rozumianego socjalizmu. Dla zademonstrowania, jak różnie ten socjalizm mógł być, i faktycznie był, rozumiany, niech mi wolno będzie przytoczyć tylko jeden przykład. Prof. Czesław Bobrowski mówił kiedyś w Klubie, jeszcze chyba w roku 1956, o sprawach jugosłowiańskich. Ktoś go zapytał o świeżą wtedy jeszcze sprawę Dżilasasa. Otóż Bobrowski, Dżilasowi niechętny, dyskredytował go przy pomocy angielskiej maksymy *right or wrong, but my country*. O ile pamiętam, (ale zastrzegam się, że tego nie jestem pewien) Bobrowski powiedział wtedy wprost, że jest to zasada socjalistyczna. Ale nawet jeżeli się myślę, to w każdym razie zasadę tę głosił człowiek, który całe życie swój światopogląd socjalistyczny podkreślał. Zasadę, która stoi, zdawałoby się, w tak jaskrawej sprzeczności z całą socjalistyczną tradycją!

Kłopot generalny z socjalizmem był chyba ten, że dla jednych łączył się on z silną władzą państwową, która efektywnie spełniałaby swoje zadania w zakresie gospodarczej i społecznej interwencji, a dla innych z nadziejami na to, że jakieś czynniki społeczne będą stopniowo w ten czy inny sposób przejmować od państwa jego poszczególne funkcje: innymi słowy z nadziejami na to, że kompetencje władzy państwowej będą się stopniowo kurczyć. Ci, dla których socjalizm wiązał się przede wszystkim z efektywnością produkcji albo z egalitaryzmem ekonomicznym, skłaniali się do postulowania większej centralizacji w zarządzaniu gospodarką, zaś ci, dla których socjalizm wiązał się przede wszystkim ze sprawą minimalizacji przymusu społecznego, skłaniali się do postulowania jak najdalej idącej decentralizacji. Co więcej, jedni i ci sami ludzie ulegali zarazem urokom takich perspektyw, jak liberalizm i egalitaryzm albo jak centralne planowanie gospodarcze i zarządzanie zakładami pracy przez załogi. Nie znaczy to bynajmniej, że osoby te nie zdawały sobie sprawy z trudności pogodzenia tych postulatów. Przeciwnie, zdawały sobie z tego sprawę doskonale. Tym większy był

ich teoretyczny niepokój i tym silniejsze było ich pragnienie wypracowania sobie jakiegoś poglądu na te sprawy.

Mówcą, który cieszył się w Klubie ogromnym autorytetem i który był szczególnie chętnie na te i pokrewne tematy słuchany, był prof. Stanisław Ossowski. Nie będę tu streszczał jego poglądów, tym bardziej, że niektóre jego przemyślenia na temat socjalizmu były publikowane. Osobiście sądzę jednak, że rola referatów Ossowskiego w Klubie polegała raczej na dostarczaniu materiału do nowych przemyśleń, niż na dawaniu gotowych odpowiedzi, których od Ossowskiego tak oczekiwali trawieni przez różne teoretyczne niepokoję słuchacze.

Czytelnik może być ciekaw, czy socjalizm był w Klubie jakimś credo powszechnym, czy też dochodziły do głosu także jakieś tendencje antysocjalistyczne? Otóż dochodziły, ale bardzo sporadycznie i słabo. Reprezentowały je chyba wyłącznie dwie osoby: znajdujący się od dawna w Stanach Zjednoczonych ekonomista Andrzej Brzeski oraz niżej podpisany. Myślę, że głównym założeniem zarówno Brzeskiego jak i moim było, że jedynym środkiem ukrócenia kompletnej anarchii w produkcji i dystrybucji, do jakiej doprowadził i z jaką absolutnie nie może sobie dać rady komunistyczny system planowego zarządzania gospodarką, jest rynek. Stanowisko to różniło się od innych stanowisk wyrażanych w Klubie nie tym, że Brzeski i ja byliśmy z wyników planowania gospodarczego w Polsce niezadowolony, a reszta była zadowolona, gdyż w całej Polsce nie ma chyba ani jednego człowieka, który by z funkcjonowania tej gospodarki był zadowolony. Różnica polegała na tym, że mimo powszechnego niezadowolenia z tej gospodarki, nadzieje na jej poprawę w środowiskach socjalistycznych w Polsce wiązane są bądź z jakimiś ulepszeniami czy korektywami w samym systemie, które uczyniłyby go efektywniejszym i znośniejszym, bądź z przejęciem zarządzania produkcją i dystrybucją przez jakieś czynniki społeczne, przede wszystkim przez zakładowe i terytorialne samorządy. Jakakolwiek myśl o rynku jest natomiast traktowana przez te środowiska z daleko posuniętą podejrzliwością.

W swojej argumentacji „prokapitalistycznej” posunąłem się kiedyś nawet do pewnej skrajności. Twierdziłem mianowicie, że było wielkim błędem intelektualistów polskich, że gremialnie zareagowali z oburzeniem na wychodzące z pewnych kół rządowych sugestie, żeby produkcję dóbr kulturalnych oprzeć na zasadzie rentowności. Twierdziłem, że tę sugestię należało przyjąć, gdyż prowadziła ona do poszerzenia marginesu niezależności twórcy od władzy państwowej. Moim podstawowym argumentem był tu jednak wyjątkowo wysoki poziom konsumpcji kulturalnej, jaki w Polsce wystąpił jeszcze od czasów wczesnej odwilży. Twierdziłem, że po takich doświadczeniach odbiorcy kulturalnemu można było zaufać i że w tych szczególnych warunkach sugestia taka była do przyjęcia. Wypowiedź moja wywołała wtedy

oburzenie, ale muszę powiedzieć, że dziś nadal, z pewnymi zastrzeżeniami, poglądem ten byłbym skłonny podtrzymywać.

Zdaję sobie sprawę z tego, że reakcją przeciętnego czytelnika na to, co w tym paragrafie piszę, będzie zdumienie z powodu faktu, że tylu ludziom chciało się w ogóle dyskutować kwestie ustrojowe bez najmniejszej nadziei na to, że dyskusje te będą miały jakiegokolwiek skutki praktyczne i w pełnej świadomości, że toczą się one w kompletnej próżni, skoro decyzje w sprawach ustrojowych zapadają „na górze”, bez liczenia się z czyimkolwiek zdaniem. A jednak ludziom chciało się o tym gadać. Przyczyna była prosta: ludzie czasem chcą wiedzieć, co jest dobre i słuszne, a co złe i niesłuszne; i chcą to wiedzieć nawet wtedy, kiedy nie mają żadnego wpływu na to, żeby działały się rzeczy w ich przekonaniu dobre i słuszne. Jedyny skutek był ten, że w kraju, w którym przeciętny poziom myślenia politycznego jest przeraźliwie niski, jakaś grupa ludzi wyrabiała sobie pewną kulturę myślenia o sprawach ustrojowych. Czy komuś ta kultura się w końcu na coś przyda, czy też pozostanie ona czystą rozkoszą intelektualną, to przyszłość okaże.

X

Wrażliwość środowiska klubowego na problematykę etyczną dość dobrze moim zdaniem ilustruje fakt następujący.

Było zebranie poświęcone zarazem dwóm sprawom: sprawie kary śmierci, w szczególności kary śmierci za przestępstwa gospodarcze, oraz sprawie ograniczenia prawa oskarżonego do obrony. Politycznie o wiele ważniejsza była druga sprawa. To prawda, że Gomułka z uporem domagał się, żeby sądy skazywały na karę śmierci za ciężkie przestępstwa gospodarcze, że zarządził czystkę w redakcji „Polityki” z powodu zamieszczenia artykułu Jerzego Andrzejewskiego przeciwko karze śmierci, że różne instancje partyjne i administracyjne wywierały wszelkiego rodzaju naciski na komplety sędziowskie, żeby karę śmierci za poważniejsze przestępstwa gospodarcze orzekać. Ale Polska to jednak nie jest ZSSR ani Bułgaria; w Polsce systematycznego wyrokowania śmierci za przestępstwa gospodarcze jednak dotąd (w okresie gomułkowskim) nie było. Sądzę też, że po to, aby praktyka takich wyroków mogła się utrzymać, społeczeństwo musiałoby być najpierw jeszcze trochę bardziej wzięte za mordę, niż jest obecnie: inaczej wyroki takie raczej szkodziłyby władzy, zamiast jej pomagać. To, co dotąd było, to cztery wnioski prokuratorskie o karę śmierci za przestępstwa gospodarcze, dwa wyroki i, o ile się nie mylę, jedno wykonanie wyroku. Został więc stworzony szalenie niebezpieczny precedens, ale pomimo to daleko jeszcze jest do tego, żeby to był jakiś problem codzienny: sprawa na razie staje się aktualna tylko w wypadkach zu-

pełnie wyjątkowych. Społecznie o wiele bardziej istotne są drażniące wyroki za przestępstwa stosunkowo drobne, areszty prewencyjne w wypadku kradzieży 100 czy 200 złotych, oraz cała masa skazań ludzi najniewłaściwiej w świecie niewinnych.

W przeciwieństwie do kary śmierci za przestępstwa gospodarcze, problem ograniczania prawa oskarżonego do obrony jest w Polsce sprawą aktualną codziennie. W czasie kiedy Klub nad tą sprawą debatował, władze partyjne rozpięły coś, co można by nazwać polowaniem na czarownice wśród adwokatów. Nie jest w Polsce dla nikogo tajemnicą, że masa adwokatów ma nielegalne dochody. Ale zarazem nie jest dla nikogo tajemnicą, że jeżeli pominąć parę spraw o charakterze wyraźnie pokazowym, to karne, skarbowe, administracyjne i dyscyplinarne represje spadały z reguły na adwokatów, których etyce nie można było nic zarzucić. Nie jest też dla nikogo tajemnicą, że powodem do otwarcia postępowania, powiedzmy, skarbowego, przeciwko jakiemuś adwokatowi może być jego politycznie odważne przemówienie obrończe, albo zatarg z prokuratorem czy innym przedstawicielem władzy; wtedy się zaczyna kombinować, jakby tu delikwenta zahaczyć od strony, na przykład, podatkowej. Rezultat jest taki, że adwokat broniący klienta przed urzędem podatkowym, nigdy nie może być pewien, czy urząd ten nie będzie go potem za to szykanował. Co więcej adwokat nigdy nie wie, jakie mogą go spotkać konsekwencje karne lub dyscyplinarne, jeżeli w obronie swego klienta przed sądem przekroczy pewne granice politycznej grzeczności i uniżoności. W tych warunkach masa adwokatów ulega w końcu zastraszeniu i częstokroć w obawie o własną skórę nie wyczerpuje wszelkich środków obrony swoich klientów, ograniczając się jedynie do tych, które nie pociągają za sobą żadnego ryzyka.

Zarówno problem kary śmierci za przestępstwa gospodarcze, jak i problem prawa oskarżonego do obrony wzbudzał w klubie ogromne pasje i był dyskutowany gorąco. Ale rzecz ciekawa, że o ile problem praw oskarżonego do obrony po jednym czy dwóch zebraniach zszedł z wokandy Klubu, o tyle problem kary śmierci za przestępstwa gospodarcze wciąż z takiego czy innego powodu, przy takiej czy innej okazji na salę zebrania wracał. Co więcej, przedmiotem debat stawała się coraz bardziej kara śmierci jako taka, a nie specjalnie za przestępstwa gospodarcze. W ten sposób dyskusje te z wolna traciły wszelki sens polityczny i stawały się czysto akademickimi dysputami moralnymi. Osobiście byłem wówczas z takiego obrotu rzeczy niezadowolony: wolałem, żeby było na odwrót. Ale jeżeli abstrahując od własnej oceny mam się zastanowić dlaczego tak się stało, to nie znajduję innego wytłumaczenia, niż to, że kara śmierci w bardziej bezpośredni i niejako namacalny sposób kolidowała z najbardziej powszechną intuicją etyczną, jaką jest zasada nietykalności życia ludzkiego. To, co władze wyprawiały z adwokatami, na pewno też atakowało poczucia moralne ogromnej

większości członków KKK, ale nie była to już sprawa tak elementarna i nie dotyczyła już tej fundamentalnej normy, na której przeważnie się zasadza indywidualny system etycznych przeobrażeń.

Jakkolwiek by było, pasje moralne zatriumfowały tu nad pasjami politycznymi. Nie był to wszakże bynajmniej jedyny tego rodzaju przypadek w historii Klubu. Pamiętam zebranie poświęcone Małemu Kodeksowi Karnemu, na którym największe emocje wywoływał artykuł 18 tej ustawy, nakładający na obywatela obowiązek denuncjacji sprawców pewnych wybranych przestępstw politycznych i grożący poważnymi sankcjami karnymi każdemu, kto by wiedział, kto jest sprawcą przestępstwa i denuncjacji zaniechał. W dyskusji akcentowano niezgodność tego przepisu z powszechnymi poczuciami moralnymi, fatalne skutki wychowawcze tego przepisu itd. Słowem, dyskutowano ten przepis głównie od strony jego waloru moralnego, ledwie dotykając politycznych, społecznych i prawnych aspektów tego zagadnienia.

Jeszcze jeden przykład. Dyskusja nad instytucją sądów robotniczych. Prelegent, socjolog prawa Adam Podgórecki robił co mógł, żeby ograniczyć dyskusję do technicznych problemów funkcjonowania tej instytucji i jej skuteczności w zakresie prewencji i represji karnej. Poniósł w tym całkowitą porażkę. Jeden dyskutant po drugim ignorował problem, czy ta instytucja jest skuteczna i zastanawiał się tylko nad tym, czy jest ona słusna.

Tym pasjom moralnym członków Klubu można, przypuszczam, przypisać fakt, że takim powodzeniem cieszyły się zawsze dyskusje nad ustawami, i to specjalnie ustawami karnymi (zarówno materialnymi jak i formalnymi). Jeżeli mam jednak wyrazić swój zupełnie osobisty pogląd, to sądzę, że samo to zjawisko prymatu moralności nad polityką, socjologią i prawem trudno traktować jako rzecz zupełnie normalną. Myślę, że zjawisko to świadczyło jednak o jakiejś izolacji społecznej, w jakiej Klub się znajdował. Bo trudno i darmo, ale jeżeli się kultywowało jakiś styl życia zupełnie odrębny od stylu, dominującego w otoczeniu, to przy wszystkich pozytywnych stronach tego stanu rzeczy, skazywało się Klub nieuchronnie na jakieś pozostawanie na uboczu głównych nurtów życia społecznego. Większość z nas dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że jest to cena, którą trzeba płacić za zachowanie odrębności Klubu, za utrzymanie jego charakteru enklawy kulturalnej w obcej całości. Dla większości z nas był to zresztą powód do wielu niepokojów. Hipermoralizm Klubu był zresztą tylko jednym z przejawów tego społecznego odosobnienia. I nie najgorszym. Bo najgorsze było przyzwyczajanie się do tego, że choćby się na głowie stawiało, dyskusje klubowe i tak nic nie zmienią i żadnych praktycznych rezultatów dać nie mogą.

R o z d z i a ł 5

OSTATNI ROK ISTNIENIA KLUBU

I

Ostatni zarząd KKK został wybrany w kwietniu 1961 r. Skład jego był następujący: Paweł Jasienica (przewodniczący), Aleksander Małachowski (zastępca przewodniczącego), Jan Józef Lipski (sekretarz), Marta Miklaszewska-Bądkowska (skarbnik) oraz Tadeusz Byrski, Jerzy Duracz i niżej podpisany (członkowie zarządu).

Niech mi wolno będzie w kilku słowach ten parosobowy zespół tutaj scharakteryzować. Po pierwsze, skład tego zarządu był zupełnie przypadkowy. Weszli do niego ludzie, którzy po prostu otrzymali kolejno największą ilość głosów w wyborach, które przez nikogo nie były w żaden sposób przygotowywane. Pod tym względem zarząd ten różnił się od zarządu poprzedniego, gdyż walne zebranie wyborcze w r. 1960 zaakceptowało listę kandydatur zgłoszoną przez zarząd ustępujący. O ile jednak w r. 1960, świeżo po kryzysie o którym pisałem w § XVI rozdz. I oraz w § V rozdz. 3, istniała potrzeba swojego rodzaju votum zaufania dla władz Klubu, o tyle w r. 1961 żadnej takiej potrzeby nie było i w tej sytuacji ustępujący zarząd wolał zdać się całkowicie na wolę wyborców, nie sugerując im swojego zdania.

Po drugie, ostatni zarząd Klubu składał się w większości z ludzi nowych. Tylko Małachowski i Lipski mieli za sobą wiele lat pracy w zarządzie Klubu. Poza nimi tylko Duracz wchodził do zarządu po raz drugi; natomiast cztery pozostałe osoby znajdowały się w nim po raz pierwszy. W konsekwencji, w szczególności na początku kadencji, dawało się odczuć pewne niezgranie zespołu. W poszczególnych wypadkach bowiem ludzie, którzy do tego zarządu weszli, przedtem znali się ze sobą słabo lub wręcz wcale. Z tego samego powodu zespół ten na początku wykazywał pewien brak doświadczenia. Tak np. kiedy w czerwcu 1961 r. wygasała

kadencja przewodniczącego Federacji Klubów, można było w drodze porozumienia się z różnymi zrzeszonymi w Federacji Klubami postarać się o to, żeby następnym przewodniczącym został, tak jak to już poprzednio miało trzy razy miejsce, delegat KKK. Ostatecznie zarówno liczbą swoich członków, jak i powagą swoich zadań, jak wreszcie prestiżem i autorytetem KKK górował zdecydowanie nad innymi zrzeszonymi w federacji Klubami; Kluby te zazwyczaj też z KKK się bardzo liczyły i jego pierwszeństwo w Federacji uznawały. Tymczasem, właśnie z powodu braku doświadczenia nowego zarządu okazję tę zaniedbano i przewodniczącym Federacji obrany został przedstawiciel innego Klubu.

Po trzecie wreszcie, nowy zarząd składał się z ludzi, którzy hołdowali wyraźnie orientacji kulturalnej, w tym znaczeniu tego terminu, w jakim używałem go w § IV rozdz. 3. Do tego, co nazywałem tam orientacją polityczną, nowowybrani członkowie zarządu odnosili się raczej z niechęcią. O ile na ogół zespół ten wykazywał raczej niewielki stopień jednomyślności, o tyle orientacja kulturalna w jakiś sposób jednak jego członków wzajemnie ze sobą łączyła.

Taki był w najogólniejszym zarysie zespół, na którym ciążyła odpowiedzialność za losy Klubu w najtrudniejszych, naprawdę dramatycznych chwilach poprzedzających ostateczny koniec.

Z początku nic jeszcze nie zapowiadało tego, co nas czeka. Mimo to już na pierwszym zebraniu nowego zarządu wynikł spór, którego w ogóle by nie było, gdyby nie świadomość twardej rzeczywistości, w jakiej żyjemy. Spór ten dotyczył osoby przewodniczącego. Pomimo jak najbardziej pozytywnej oceny trzyletniej prezesury Aleksandra Małachowskiego, większość zarządu uważała, że powierzanie tej funkcji tej samej osobie po raz czwarty nie jest wskazane i skłaniała się do powierzenia jej Pawłowi Jasienicy. Zgłoszona jednak została od razu obiekcja, czy zmiana na stanowisku przewodniczącego nie będzie interpretowana przez władze, jako zmiana „linii” Klubu, jako zmiana jakiegoś *status quo*, do którego władze się już jakoś przyzwyczaiły. Spór ten nie miał absolutnie charakteru walki personalnej pomiędzy dwoma kandydatami: Małachowski gorąco popierał kandydaturę Jasienicy i vice-versa. Ostatecznie, większością głosów przewodniczącym został obrany Jasienica. Ale nie obyło się bez długiej wymiany zdań, na której bardzo już ciążyła troska, czy przez jakąś przypadkową decyzję personalną, która w następstwie może być źle zrozumiana, Klubowi się nie zaszkodzi.

Na tym samym zebraniu zarząd dyskutował jednak wyczerpująco kwestię długofalowej polityki repertuarowej zebrań czwartkowych. Nie było jeszcze zupełnie tej sytuacji, tak późniejszej typowej, kiedy zmęczeni wielogodzinną dyskusją nad sposobami reagowania na różne szykany władz, na zakończenie, w pośpiechu i niemal bez dyskusji akceptowaliśmy przedstawiane

przez sekretarza zarządu propozycje tematów najbliższych zebrań, traktując tę sprawę, jako drugorzędną. Pamiętam, jak na tym pierwszym zebraniu, analizując przebieg dyskusji i głosowania na walnym zebraniu, staraliśmy się wszyscy możliwie wnikliwie dociec, czego od nas walne zebranie oczekiwało. Była też wyraźna troska o to, żeby tym oczekiwaniom sprostać. Wspominam o tym dlatego, żeby podkreślić, że był wtedy jeszcze w naszych obradach element długofalowego planowania, że wciąż jeszcze operowaliśmy znaczną perspektywą czasową. Wkrótce później już tego nie było.

W maju i czerwcu 1961 r., z powodu ciężkiej choroby i urlopu zdrowotnego, w pracach zarządu nie uczestniczyłem. Wiem jednak, że główną troską zarządu była w tym czasie sprawa zbiorowego listu otwartego do Sejmu na temat kary śmierci. W wyniku dyskusji na ten temat, o których pisałem w poprzednim rozdziale, ktoś wysunął projekt, żeby zebrać podpisy jak największej ilości osób, w tym możliwie jak największej ilości osób znanych, pod listem, domagającym się zniesienia kary śmierci w nowym kodeksie karnym. Klub miał się podjąć zorganizowania akcji zbierania podpisów. Pewne kroki organizacyjne poczyniono i cały szereg osób zadeklarował nam swój akces. Z realizacją przedsięwzięcia jednak zwlekano, gdyż chodziło o to, żeby list wysłać w momencie, w którym sejm przystąpi do pracy nad nowym kodeksem karnym. Sprawa jeszcze wielokrotnie powracała na zebrania zarządu. Za każdym razem jednak zdecydowaliśmy się jeszcze to odwlekać, przeważnie pod wpływem opinii prawników, że moment nie jest odpowiedni. Wreszcie na jednym z ostatnich zebrań zarządu w styczniu 1962 r., w zupełnie nowych warunkach, kiedy istniała obawa, że możemy narażać ludzi przez samo ujawnianie ich kontaktów z Klubem zdecydowaliśmy się na zaniechanie całej tej akcji. Dlatego projekt tego listu nie został w końcu nigdy zrealizowany.

W maju i czerwcu 1961 r. przygotowywano jednak tę akcję w nadziei na jej szybką realizację. Atmosfera była wtedy jeszcze wciąż spokojna. Burza miała przyjść dopiero po przerwie wakacyjnej.

II

W sierpniu 1961 r. zmarł Andrzej Stawar. Stawar, aczkolwiek nie był członkiem Klubu, przez szereg lat przychodził niemal stale na zebrania, nigdy zresztą nie zabierając głosu. Z różnymi członkami Klubu utrzymywał też kontakty osobiste. Nic więc dziwnego, że zarząd postanowił rozpocząć nowy sezon 1961/62 od zebrania nekrologicznego, poświęconego wybitnemu pisarzowi, którego związki z Klubem były tak bliskie. Wbrew tradycji, zamiast referatu postanowiono odczytać artykuły zmarłego, drukowane w przedwojennym organie opozycji komunistycznej,

periodyku „Pod Prąd”. Trudno się też dziwić, że wybór padł na artykuły dotyczące Rosji Sowieckiej, komunizmu itp., mimo że główną dziedziną zainteresowań zmarłego była krytyka literacka. Liczono się po prostu z zainteresowaniami większości członków Klubu, które obracały się raczej wokół problemów społeczno-politycznych i historycznych, niż literackich. Artykuły Stawara, w dużej mierze już zdezaktualizowane, były oczywiście antystalinowskie, ale na pewno nie zawierały żadnych rewelacji, zwłaszcza w zestawieniu z tym, co o Stalinie i jego rządach powiedziano później z oficjalnych źródeł komunistycznych. Ich ton był umiarkowany, ich ideologia *par excellence* komunistyczna.

Dnia 7 września 1961 r., kiedy odbywało się w Klubie zebrania ku czci Stawara nikt nie mógł wiedzieć, że Stawar przed śmiercią przekazał w Paryżu redaktorowi „Kultury” prawa do przedruku swoich przedwojennych artykułów i że artykuły te, wśród nich i te, które były w Klubie odczytane, wkrótce, wraz z nowym komentarzem autora, ukażą się nakładem „Kultury”. Zupełnie tak samo nie mogły o tym wiedzieć władze, które wyprawiły Stawarowi uroczysty pogrzeb w Alei Zasłużonych na Powązkach, członkowie K.C., którzy wygłaszali przemówienia nad grobem itd. Mimo to chociaż nikt nie zarzucał współpracy z Giedroyciem w celu skompromitowania Polski Ludowej np. Stefanowi Żółkiewskiemu, który wygłosił przemówienie pochwalne nad grobem Stawara — pod adresem Klubu jakieś takie oskarżenia były formułowane.

Sprawa Stawara nie była jednak jedynym przypadkiem, kiedy czyniono Klub odpowiedzialnym za indywidualne postępowanie jego członków lub sympatyków. Ten sam wzór oskarżania Klubu pojawiał się bowiem przy niektórych postępowaniach karnych, jakie przeciwko członkom Klubu wszczynano.

III

Chronologicznie pierwszą sprawą karną przeciwko członkowi KKK była sprawa Anny Rewskiej, która toczyła się w latach 1958/59. Rewska była oskarżona o kolportaż wydawnictw „Kultury”. Oskarżenie zostało skonstruowane na tej zasadzie, że „Kulturę” i jej wydawnictwa uznano za druki, podпадаjące pod artykuły 23 i 24 Małego Kodeksu Karnego. Artykuły te brzmią w sposób następujący:

Art. 23

- § 1. Kto rozpowszechnia, lub w celu rozpowszechnienia sporządza, przechowuje lub przewozi pisma, druki lub wizerunki, nawołujące do popełnienia zbrodni lub pochwalające zbrod-

nię, lub których treść ma pozostawać tajemnicą wobec władzy państwowej, albo które zawierają fałszywe wiadomości, mogące wyrządzić istotną szkodę interesom Państwa Polskiego, bądź obniżyć powagę jego naczelných organów, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 3.

- § 2. Jeżeli czyn, określony w paragrafie poprzedzającym, spowodował wielką szkodę dla Państwa, sprawca, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub więzienia dożywotniego.

Art. 24

- § 1. Kto przechowuje pisma, druki lub wizerunki, wymienione w art. 23, podlega karze więzienia do lat 5.
- § 2. Nie popełnia przestępstwa, kto przechowuje takie przedmioty w celach usprawiedliwionych jego zawodem.

W r. 1958 „Kultura” i jej wydawnictwa znajdowały się w wielu bibliotekach publicznych, gdzie były wypożyczane czytelnikom na równi z innymi książkami, na zasadzie obowiązujących w bibliotekach regulaminów. Szereg obywateli polskich, zamieszkałych w kraju, z pismem tym współpracowało, drukując w nim swoje prace zupełnie jawnie, pod własnymi nazwiskami. Cała masa intelektualistów polskich, którzy nawet nie drukowali w piśmie, utrzymywała z jego redakcją w sposób jawny stosunki osobiste lub korespondencyjne. Ludzi z egzemplarzami „Kultury” w ręku można było zobaczyć na ulicy, w tramwaju i w kawiarni. Nikt z tych autorów, czytelników i osób, pozostających z redakcją „Kultury” w takim czy innym kontakcie nie był ścigany. I nagle zostało wszczęte postępowanie karne przeciwko jednej osobie za rodzaj czynności wykonywany zupełnie jawnie, i z pełną wiedzą władz, przez setki innych osób. Na dowód, że „Kultura” i jej wydawnictwa są drukami „nawołującymi do popełnienia zbrodni lub pochwalającymi zbrodnie lub których treść ma pozostawać tajemnicą” itd. prokuratura przedstawiła sądowi ekspertyzę Biura Kontroli Prasy i Publikacji. Na procesie Rewskiej cenzura wystąpiła w roli eksperta sądowego chyba po raz pierwszy. Później stało się to precedensem.

Sprawa Rewskiej miała jednak walor precedensowy także i pod innym względem. W sprawie tej zastosowano mianowicie (tylko w Sądzie Wojewódzkim, w Sądzie Najwyższym nie) art. 277 Kodeksu Postępowania Karnego, dopuszczający tajność rozprawy sądowej w przypadkach, kiedy jej treścią jest jakaś tajemnica państwowa lub wojskowa lub jakieś czyny nieobyczajne, kiedy jawność rozprawy mogłaby zagrażać bezpieczeństwu publicznemu itd. Nie muszę uzasadniać, że żaden z tych powodów w sprawie Rewskiej nie zachodził: opinia moja jest tu zresztą

całkowicie zgodna z opinią Sądu Najwyższego P.R.L., który tajność postępowania w sprawie Rewskiej uchylił. Mimo to od tego czasu zaczęto stosować art. 277 K.P.K. w tego rodzaju sprawach notorycznie.

Jeżeli intencją władz było zrobienie ze sprawy Rewskiej sprawy precedensowej dla odstraszenia ludzi od czytania „Kultury” i kontaktów z redakcją, to wybór osoby Rewskiej do tego celu musiał budzić najwyższe zdumienie. Rewska była przez wiele lat wojny żołnierzem AK-owskich oddziałów dywersyjnych i jest jednym z ostatnich żyjących uczestników zamachu na Kutscherę. Jej proces w konsekwencji prowadził do „poprawek historycznych”. Wyprodukowany w czasie procesu dokumentarny film krótkometrażowy o zamachu na Kutscherę zawierał fotografie, nazwiska i pseudonimy wszystkich żyjących uczestników zamachu. Dla Rewskiej musiano jednak zrobić wyjątek, pokazując wprawdzie jej fotografię, ale nie podając jej nazwiska. Te fakty z życiorysu Rewskiej oraz sprawa tego filmu potęgowały jeszcze ogólną sympatię dla oskarżonej i oburzenie z powodu całej sprawy. W tych okolicznościach ludzie zaczęli się zastanawiać, czy wybór Rewskiej na kozła ofiarnego nie ma ukrytego ostrza antyakowskiego. Nic też dziwnego, że kiedy w Sądzie Najwyższym uchylono wreszcie tajność rozprawy, sędziowie ujrzeli przed sobą na sali ogromny tłum ludzki, a w tym tłumie wielu znanych uczonych, pisarzy, działaczy społecznych i nawet polityków. Sama Rewska miała już jednak wtedy za sobą 11 miesięcy więzienia.

W jakiś czas po zwolnieniu Rewskiej z więzienia, w instytucji, w której Rewska później pracowała, zginęły jakieś tajne dokumenty. Z miejsca ją znowu zaarrestowano, choć nie było żadnych danych na to, że ona w ogóle kiedykolwiek te dokumenty widziała. W dzień czy dwa dni później dokumenty się odnalazły i Rewska została zwolniona. Ale o ile aresztowanie nastąpiło bez zwłoki, przy zwolnieniu było parę godzin opóźnienia z powodu jakichś niezbędnych formalności.

IV

Wracam do roku 1961. Głośna sprawa Anny Rudzińskiej miała ze sprawą Rewskiej pewne analogie, ale pod wieloma istotnym względami różniła się od niej.

Rudzińska została aresztowana 4 września 1961 r. tzn. trzy dni przed wspomnianym zebraniem ku czci Stawara, wskutek rezultatów jakiejś rewizji granicznej. Okoliczności jej aresztowania miały wszelkie cechy polowania na czarownicę.

Postępowanie przeciwko Rudzińskiej nazywało się z początku „sprawą Anny Rudzińskiej i Jana Wolskiego”. W mieszkaniu Wolskiego natychmiast po aresztowaniu Rudzińskiej prze-

prowadzono rewizję bez okazania nakazu prokuratorskiego. Kodeks Postępowania Karnego dopuszcza możliwość przeprowadzenia rewizji bez nakazu prokuratorskiego tylko w pościgu za przestępcą: było więc jasne, że w takim charakterze odbywała się rewizja w mieszkaniu Wolskiego. Ścigany przestępca, nestor spółdzielczości pracy w Polsce i człowiek o ogromnych, ogólnie uznawanych zasługach, jest starcem w wieku lat blisko osiemdziesięciu; po to więc, aby takiego niebezpiecznego przestępcę doścignąć, policja musiała się natrudzić nie lada. Sam pościg odbywał się w ten sposób, że funkcjonariusze zasiedli do studiowania rękopisów przestępcy, po czym postanowili, aby jeden z nich, jako narzędzie zbrodni, skonfiskować. Tego było już za wiele i starzec dostał ataku serca. Wezwano karetkę pogotowia Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i jakoś go odratowano. Muszę dodać, że po tym wypadku konfiskaty rękopisu zaniechano.

Wolskiego wzywano potem jeszcze kilkakrotnie na przesłuchania. Jednym z istotnych elementów śledztwa przeciwko niemu był problem, czy Wolski podarował kiedyś Rudzińskiej bukiet kwiatów, czy nie. Albo Wolski twierdził, że nie podarował, a Rudzińska że podarował, albo na odwrót. Już nie pamiętam. W każdym razie była nie byle jaka sprzeczność w zeznaniach. Po jakimś czasie sprawę Wolskiego wyłączono i w końcu umorzono. Na tym wreszcie pościg się zakończył.

W mieszkaniu Rudzińskiej także przeprowadzono kilka rewizji. Kiedy wstąpiłem po coś do tego mieszkania, już w jakieś dwa tygodnie po aresztowaniu właścicielki, byłem, muszę powiedzieć, pod wrażeniem, jak ogromny aparat był wciąż jeszcze zaangażowany do obserwacji tego mieszkania. Agenci stali w bramie, podpierali ściany na schodach, mieli swój punkt obserwacyjny w oknie po przeciwległej stronie podwórka. Przyznam się szczerze, że zacząłem się wtedy naprawdę obawiać, czy aby Rudzińska nie zaangażowała się rzeczywiście w jakąś tajną akcję polityczną na wielką skalę: tylko coś takiego mogło przeciwieństwo usprawiedliwiać użycie tego rodzaju środków inwigilacji. Głowiłem się nad tym, o co Rudzińska może być posądzana. Szpiegostwo odpadało, gdyż w przypadku szpiegostwa sprawę prowadzi prokuratura wojskowa, a tu było od początku wiadomo, że sprawa była w ręku prokuratury powszechnej. Pozostawały takie ewentualności, jak tajna organizacja, próba obalenia rządu itp.

Jakież było moje zdumienie, kiedy wreszcie po przeciągającym się (z sankcją prokuratorską „dla uzupełnienia niezbędnych czynności śledczych”) ponad przewidziany przez ustawę termin śledztwie dowiedziałem się, że jedynym zarzutem aktu oskarżenia przeciwko Rudzińskiej było zawarcie przez nią umowy z redaktorem „Kultury” o przekład książki Feliksa Grossa „The Seizure of Political Power”. Książka ta została — tak jak „Kul-

tura" w przypadku Rewskiej — uznana przez eksperta z Cenzury za trefną tzn. „nawołującą do popełnienia zbrodni lub pochwalającą zbrodnię” itd. Oskarżenie zostało przy tym skonstruowane na tej zasadzie, że przekład został uznany za „pomoc w rozpowszechnianiu”. Fakt, że tłumaczenie to ostatecznie nigdy nie zostało dokonane, na stanowisko prokuratury nie wpływał. Ostatecznie jednak sąd stanął na stanowisku, że było to „przechowywanie” i skazał Rudzińską na rok więzienia z art. 24 M.K.K. Jeszcze jeden absurd prawny, skoro Rudzińska, jako sekretarka Towarzystwa Socjologicznego i pracownik Biblioteki Wydziału Filozoficznego Uniwersytetu Warszawskiego miała wszelkie powody, żeby miał do niej zastosowanie uwalniający ją od winy § 2 tego artykułu.

Dowiedziawszy się o treści aktu oskarżenia zaciekałem się, co to za książka, o którą zrobiono aż taką hecę. Przede wszystkim pojechałem do Biblioteki Narodowej, żeby sprawdzić w Centralnym Katalogu, gdzie ta książka się znajduje. Od razu stwierdziłem rzecz interesującą, że książka ta jest ogólnie dostępna dla wszystkich czytelników w trzech różnych bibliotekach kraju. Następnie pojechałem do jednej z nich i z biciem serca wypełniłem rewers na tę „nawołującą do zbrodni” książkę. Kiedy przyniesiono mi ją do czytania, przekonałem się, że jakiegokolwiek by były jej zalety i wady, nie różni się ona swoim charakterem w sposób istotny od setek innych fachowych książek z zakresu *Political Sciences*, z jakimi ma stale do czynienia bynajmniej nie tylko specjalista, ale każdy człowiek, który chce coś wiedzieć, co się dzieje na świecie, i jakie stoją i stać będą na wielu prywatnych i publicznych półkach bibliotecznych. Przez ręce Rudzińskiej z racji jej czynności zawodowych przechodziło podobnych książek dosłownie tysiące.

W czasie procesu obrona starała się na próżno przedstawić sądowi fachową ekspertyzę książki Grossa, napisaną przez profesora socjologii politycznej Juliana Hochfelda. Sąd jednak uznał za stosowne oprzeć się wyłącznie na ekspertyzie Cenzury i Hochfeld nie był do przedstawienia swojej ekspertyzy w ogóle dopuszczony. Ekspert cenzury stał na stanowisku, że książka „szkaluje” Polskę Ludową. Konsekwentnie w notatce Polskiej Agencji Prasowej na temat procesu Rudzińskiej, zamieszczonej w prasie 9 lutego 1962, była mowa o tym, że Rudzińska „za 170 dolarów Polskę szkalowała”. Trzeba powiedzieć, że notatkę tę redagowało jakieś wyjątkowo złośliwe bydło. Oprócz tego „szkalowania za dolary” było tam jeszcze powiedziane, że Rudzińska wykonywała dla redakcji „Kultury” różne usługi, w ramach których podjęła się tłumaczenia książki Grossa mimo, że jak wspominałem, umowa o przekład była jedynym zarzutem aktu oskarżenia.

Okoliczności procesu Rudzińskiej były też osobliwe. Odbywał się on przy drzwiach zamkniętych: tym razem także i w

drugiej instancji. Prokurator z miejsca wniósł o zastosowanie art. 277 K.P.K. I rzecz ciekawa, zanim obrona zdążyła zająć w tej kwestii jakiegokolwiek stanowisko, zanim sąd wydał jakąkolwiek decyzję, woźna już zaczęła wypraszać ludzi z sali. Nawet ona więc z góry wiedziała, jaki będzie rezultat. Dyskusja pomiędzy oskarżeniem a obroną na temat tajności rozprawy polegała na tym, że o ile obrona wskazywała na brak jakiegokolwiek powodu do zastosowania art. 277, o tyle prokurator po prostu żądał zastosowania tego artykułu, nie popierając swojego żądania żadną w ogóle argumentacją; mimo to sąd uznał rację prokuratora. Przyjaciele oskarżonej byli więc zmuszeni oczekiwać rezultatu procesu na korytarzu. Przez trzy dni trwania procesu (5, 6 i 7 lutego 1962) byli oni poddani tam nieustannej obserwacji ze strony całej czeredy agentów. Ponadto mieli okazję zaobserwować, jak przewodniczący odpowiedniego wydziału Sądu Wojewódzkiego co chwilę wpadał zniecierpliwiony na salę rozprawy, mając widocznie do kompletu sędziowskiego jakieś interesy. W czasie procesu rewizyjnego w Sądzie Najwyższym (w kwietniu 1962) atmosfera była już spokojniejsza. Ale i tu, jak już wspominałem, zasadę tajności rozprawy zastosowano z całą bezwzględnością, bez ceremonii wyrzucając na korytarz przybyłych na proces profesorów uniwersytetu, wybitnych pisarzy itp. Do zanotowania była ponadto i ta okoliczność, że proces odbywał się niemal w przede dniu wyborów do Sądu Najwyższego, po raz pierwszy odbywających się na mocy nowej ustawy o Sądzie Najwyższym, o której wspominałem w § XIII rozdz. 1. W tych warunkach można było się domniemywać, że sędziowie (też ludzie!) muszą się niepokoić o to, czy zostaną „wybrani”.

Tak wyglądała sprawa Rudzińskiej od strony, że tak powiem, formalno-prawnej. Miała ona jednak także swoje aspekty polityczne.

W okresie, kiedy toczyła się sprawa Rudzińskiej kontakty intelektualistów polskich z „Kulturą” nie były już może tak notoryczne i nie zawsze miały charakter tak jawny, jak w okresie procesu Rewskiej. Niemniej wciąż jeszcze w „Kulturze” ukazywały się artykuły autorów zamieszkałych w Polsce i było tajemnicą poliszynela że intelektualiści krajowi, znajdujący się w Paryżu, bardzo często redakcję „Kultury” odwiedzali. Sprawa Rudzińskiej, podobnie jak sprawa Rewskiej niewątpliwie miała od takich kontaktów odstraszać. O ile jednak przy sprawie Rewskiej można się było zastanawiać, dlaczego spośród wielu osób utrzymujących kontakty z „Kulturą”, wybór padł właśnie na tę osobę, o tyle w przypadku Rudzińskiej motywy takiego wyboru były jasne. Sprawa ta była od początku pomyślana jako środek skompromitowania Klubu. Rudzińska, wbrew niektórym doniesieniom prasowym, była tylko zwykłym członkiem Klubu, a nie jego sekretarzem. W ogóle nigdy nie należała do żadnych władz Klubu; jedynie z własnej inicjatywy, bezinteresownie pomagała

w tego rodzaju czynnościach jak np. wypisywanie zaproszeń na zebrania. Była natomiast w całym środowisku klubowym ogólnie lubiana i popularna, i to — obok poczucia, że cała jej sprawa jest dęta — zdecydowało o tak tłumnej obecności na sali, a właściwie przed salą rozpraw. Otóż właśnie jej kontakty osobiste były głównym przedmiotem śledztwa, które od pierwszych chwil wyraźnie zmierzało do tego, żeby objąć cały Klub. Prawdopodobnie zamiary szły tu dalej, niż to, co się udało zrealizować: o tym zdawał się świadczyć rozmach, jaki sprawie nadano. W każdym razie w toku śledztwa przeciwko Rudzińskiej Biuro Śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych systematycznie gromadziło dane o Klubie i wszystkich jego członkach i sympatykach. Dane te, opracowane w postaci raportu Biura Śledczego zostały przedłożone K.C. P.Z.P.R. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Klub stał się w tym momencie pionkiem w walce międzyfrakcyjnej: Biuro Śledcze M.S.W. było w tym czasie całkowicie już opanowane, jeżeli nie wprost przez Natolińczyków, to w każdym razie przez elementy wrogie Puławianom; o ile można też sądzić, cała akcja została przedsięwzięta dla skompromitowania Puławian. Nie jest chyba przypadkiem, że w toku śledztwa przeciwko Rudzińskiej zajmowano się osobą Adama Schaffa...

Równocześnie ze sprawą Rudzińskiej toczyło się postępowanie karne przeciwko oskarżonemu z art. 24 M.K.K. znanemu pisarzowi Jerzemu Kornackiemu. Mimo że Kornacki był członkiem Klubu, sprawa jego z Klubem jako takim nic wspólnego nie miała; dlatego opisywać jej tutaj nie będę, tym bardziej, że była ona i tak w swoim czasie dość głośna. Nawiasem tylko wspomnę, że to, co w tej sprawie uderzało, to było nie tyle postępowanie takich czy innych władz, ile haniebne zachowanie się pisarzy, kolegów oskarżonego. Nawet jeżeli byli oni przekonani o winie Kornackiego, to nic nie może usprawiedliwić uchwalenia przez nich przed procesem i pod dyktando ministra Galińskiego, rezolucji, potępiającej Kornackiego i domagającej się wykluczenia go z szeregów Związku Literatów. Rezolucja taka mogła przecież tylko dostarczać prokuratorowi dodatkowych argumentów za zaostreniem wymiaru kary. Było to tym bardziej zdumiewające, że literaci w tej sprawie nie znajdowali się bynajmniej w pozycji neutralnych obserwatorów. Wielu z nich mogło zasadnie uważać, że zostali osobiście i dotkliwie przez Kornackiego znieważeni. Zdrowy rozsądek nakazywał więc wstrzymać się od uchwalania rezolucji, która w tych warunkach musiała sprawiać wrażenie zbiorowej zemsty za osobiste zniewagi. Tymczasem literaci będąc *de facto* stroną w sporze, nie tylko uważali się za powołanych do wydawania sądu i sąd taki wydali, nie tylko przesądzali w ten sposób tok procesu sądowego na niekorzyść swojego kolegi, ale jeszcze torpedowali na Zachodzie wszelkie inicjatywy wystąpienia w obronie Kornackiego. Postępowali oni

tak, jakby uważali za swój moralny obowiązek jak najgruntowniejsze pognębienie człowieka, którego uważali, choćby i zasadnie, za przestępcę. Było to jakieś kompletne zdziczenie.

V

Liczę się z tym, że ktoś może tu zapytać: No dobrze, ale czy to był przypadek, że właśnie przeciwko członkom Klubu zapadły aż trzy wyroki z art. 24 M.K.K.? Czy to był przypadek, że dwie z tych trzech spraw dotyczyły kontaktów z jednym i tym samym emigracyjnym pismem? Innymi słowy, czy Klub nie był istotnie grupą ludzi, skłonnych do angażowania się w jakiś typ działalności, który, nawet jeżeli nie był wyraźnie sprzeczny z prawem, to w każdym razie stał na pograniczu legalności?

Według mojego głębokiego przekonania istotnie nie był to przypadek. Tylko, że przyczyna tej zbieżności tkwi, moim zdaniem, nie w żadnych osobliwościach Klubu, lecz w osobliwościach art. 24 M.K.K. Artykuł ten jest mianowicie sformułowany w ten sposób, że godzi w normalny tok wykonywania pewnych zadań czysto intelektualnych, pozbawionych jakiegokolwiek znaczenia politycznego. Jego sformułowanie jest przy tym rekordowo mętne i naprawdę nigdy nie wiadomo, jaka czynność pod ten artykuł podpada, a jaka nie. W tej sytuacji, o każdorazowym użyciu tego artykułu decydują organy władzy wykonawczej, kierując się konsyderacjami czysto personalnymi. Fakt trzech wyroków z tego artykułu przeciwko członkom KKK nie był więc przypadkiem nie dlatego, że członkowie Klubu mieli szczególne zamiłowanie do balansowania na granicy legalności i nielegalności, lecz dlatego, że Klub był środowiskiem nie rezygnujących z wykonywania swoich normalnych zadań intelektualistów, nielubianych przez władze.

Coś analogicznego da się powiedzieć o „Kulturze” i o kontaktach intelektualistów warszawskich z „Kulturą”. Źródłem popularności tego pisma jest nie jego stanowisko polityczne, tylko fakt, że pismo to spełnia pewne zadania intelektualne, które wskutek restrykcji cenzuralnych, w Polsce spełnione być nie mogą. Intelektualista polski czyta „Kulturę” z tego samego powodu, z jakiego gwałci art. 24 M.K.K.: dlatego, że bez tego jego praca utraciłaby swój normalny przebieg i normalny charakter i jego czysto intelektualne potrzeby pozostałyby niezaspokojone. W tej sytuacji znajdują się w jednakowym stopniu intelektualiści partyjni i bezpartyjni, sympatycy linii politycznej „Kultury” i jej najzaciętsi wrogowie. Fakt, że o kontakty z „Kulturą” byli oskarżani poszczególni członkowie Klubu jest znowu skutkiem tego, że Klub składał się w znacznej części z intelektualistów. Ręczę, że nikt w KKK do żadnej konspiracji nie pchał się i guza nie szukał. Amatorów na męczenników

narodowych w Klubie nie było i w ogóle jakaś kultura politycznego romantyzmu i politycznej przygody była temu środowisku całkowicie obca.

Zupełnie mylne wrażenie odniósłby ten czytelnik, który by sądził, że intencją moją jest tutaj oskarżanie władz polskich o stosowanie terroru. Wręcz przeciwnie. Muszę przyznać, że władze wykazały pewien umiar w użytkowaniu środków ustawowych, jakimi dysponowały. Dlaczegożby ostatecznie za podjęcie się przekładu książki naukowej nie skazać Rudzińskiej na karę śmierci z art. 6 M.K.K., który powiada:

Obywatel Polski, który w związku z działalnością na szkodę Państwa Polskiego przyjmuje od osoby działającej w interesie obcego rządu lub obcej organizacji dla siebie albo innej osoby korzyść majątkową lub osobistą albo jej obietnicę, bądź takiej korzyści żąda, podlega karze więzienia na czas nie krótszy od lat 5 lub dożywotnio albo karze śmierci.

Przy takich środkach ustawowych wszystko jest możliwe. Sedno sprawy polega jednak nie na tym, że władze wykorzystują tego rodzaju przepisy do stosowania terroru, lecz na tym, że władze dysponują ustawami karnymi, sformułowanymi celowo w sposób mętny po to, aby umożliwić ich najzupełniej arbitralne interpretacje, że w zależności od swojego widzimisię mogą stosować te ustawy do karania czynów nie mających żadnej szkodliwości społecznej lub odstąpienia od karania czynów, których szkodliwość społeczna jest niewątpliwa, że kierują się w tym wyłącznie względami personalnymi, gwałcąc w ten sposób jaskrawie zasadę równości obywateli wobec prawa. Sedno sprawy tkwi nadto w tym, że w postępowaniach karnych notorycznie nie przestrzega się przepisów Kodeksu Postępowania Karnego, że komplety sędziowskie pracują pod nieustanną presją organów władzy wykonawczej oraz że przez represję w stosunku do adwokatów ustawicznie ogranicza się w sposób bezprawny i dotkliwy prawo oskarżonego do obrony, przez co stają się czystą fikcją zasady praworządności, niezawisłości sądów oraz kontradiktoryjności procesu sądowego.

VI

Rozkręcona przez aresztowanie Rudzińskiej machina śledcza podążała naprzód. 30 września policja wtargnęła do mieszkania sekretarza zarządu i dokonała zajęcia różnych dokumentów i kartotek znajdujących się w posiadaniu sekretariatu Klubu. Papiery te zostały zresztą wkrótce w porządku zwrócone. Nie okazało się w końcu także rzeczą istotną to, że nakaz zajęcia

opiewał nie tylko na materiały KKK, ale także na jakieś mityczne materiały redakcji *Po Prostu*, które miały się jakoby w posiadaniu sekretariatu KKK znajdować: po jakichś trzech dniach policja przestała w tej będącej jakimś oczywistym nieporozumieniem sprawie molestować Lipskiego. Istotne było natomiast to, że konfiskaty dokonano na podstawie art. 140 Kodeksu Postępowania Karnego, dopuszczającego możliwość konfiskaty przedmiotów pochodzących z przestępstwa, stanowiących własność grupy przestępczej itp.

W poczuciu nas wszystkich był to zupełny skandal. Byliśmy ostatecznie legalnym stowarzyszeniem, działającym w ramach obowiązujących przepisów prawnych, a tu nagle policja ni stąd ni zowąd, bez żadnych po temu podstaw uznaje nas za grupę przestępczą! Rzecz prosta, postanowiliśmy protestować.

Zwołane natychmiast zebranie zarządu postanowiło, że przewodniczący Klubu uda się, celem złożenia protestu, do Ministra Spraw Wewnętrznych, natomiast dwaj inni członkowie zarządu (Małachowski i Duracz) przeprowadzą rozmowę w Komitecie Warszawskim P.Z.P.R. celem wyjaśnienia sytuacji. Muszę powiedzieć, że na tym zebraniu znalazłem się, sam jeden, w konflikcie z całą resztą zarządu. Popierając bowiem projekt złożenia protestu na ręce Ministra Spraw Wewnętrznych, występowałem, zupełnie odosobniony, przeciwko drugiemu projektowi, usiłując przeforsować zasadę „żadnych rozmów oficjalnych z władzami partyjnymi” i dopuszczając tylko możliwość nieoficjalnych rozmów z przedstawicielami władz partyjnych tych członków zarządu, którzy mieli na to ochotę. Czułem bowiem, że żadne rozmowy oficjalne z funkcjonariuszami partyjnymi niczego nie wyjaśnią, a oferta takich rozmów ze strony Klubu może tylko zostać potraktowana jako dowód nastrojów kapitulacyjnych i co najwyżej ośmielić władze do stawiania nam ostrzejszych warunków. Pomimo, iż byłem pokonany w głosowaniu, zupełnie przypadkiem „wyszło na moje”, gdyż pomimo uchwały zarządu rozmowa Małachowskiego i Duracza w K.W. P.Z.P.R. ostatecznie się nie odbyła. Zdecydowały o tym takie powody, jak nieobecność kogoś w K.W. P.Z.P.R., potem choroba Małachowskiego itd. Dopiero trzy miesiące później Małachowski przeprowadził mającą najzupełniej nieoficjalny charakter rozmowę wyjaśniającą z sekretarzem K.W. P.Z.P.R. Józefem Kępą, o której niżej będę jeszcze miał okazję parę słów powiedzieć.

Natomiast rozmowa Jasienicy z Ministrem Spraw Wewnętrznych Władysławem Wichą odbyła się zgodnie z planem. Jasienica został przyjęty już wtedy, kiedy wszystkie materiały sekretariatu zostały zwrócone. Dlatego zadaniem jego było raczej protestowanie przeciwko powołaniu się przy konfiskacie na art. 140 K.P.K., niż przeciwko samemu faktowi konfiskaty. Wicha, tłumacząc się, stwierdził ni mniej ni więcej tylko, że materiały te były policji potrzebne do prac związanych z przygotowaniem

nowej ustawy o stowarzyszeniach, po czym zmienił temat rozmowy. Mówiąc o sprawie Rudzińskiej, Jasienica mocno podkreślił fakt, że kontaktów z „Kulturą” nie toleruje się tylko wtedy, kiedy utrzymują je ludzie nieznanymi, jak Rudzińska; natomiast ludzie o znanych nazwiskach mogą takie kontakty utrzymywać zupełnie jawnie, przez nikogo nie niepokojeni. (W tym czasie na łamach „Kultury” wciąż się ukazywały prace podpisane przez autorów zamieszkałych w Polsce). Podkreślił przy tym, że sam „Kulturę” czytuje regularnie. Wicha oświadczył na to, że Kordecki jest osobą znaną, a jednak został aresztowany. Następnie rozmowa zeszała na temat Klubu. Wicha wyraził się, że Klub mógłby spełnić rolę pożyteczną, gdyby zreorganizować sposób prowadzenia dyskusji. Konkretnie sugestie Wicha szły po tej linii, żeby przewodniczący miał prawo odbierania głosu osobom, które występowałyby w duchu antypaństwowym i był osobiście odpowiedzialny za niedopuszczenie do takich wystąpień. Wicha zapowiedział też, że władze nie zatwierdzą statutu Federacji Klubów S.D.K. Cała rozmowa wskazywała na to, że Wicha był świetnie w różnych szczegółach dotyczących Klubu zorientowany i dyskutował je naprawdę kompetentnie. (Przy rozmowie Jasienicy z Wichą oczywiście obecny nie byłem. Opieram się tu wyłącznie na relacji złożonej przez Jasienicę na kolejnym zebraniu zarządu. Szczegółów przy tym mogę nie pamiętać).

Było rzeczą jasną, że cała afery z konfiskatą była policji potrzebna do gromadzenia danych na temat Klubu, które ostatecznie złożyły się na treść kolosalnej objętości raportu Biura Śledczego do K.C. P.Z.P.R., zawierającego m.in. ok. 2000 opinii personalnych o osobach figurujących w skonfiskowanej kartoce.

VII

Listopad i grudzień 1961 roku były miesiącami nieco spokojniejszymi. Pewne nadzieje wzbudził wówczas XXII Zjazd K.P.Z.R. Zarząd bardzo chciał urządzić dyskusję na temat zjazdu. Kłopot polegał na znalezieniu prelegenta. Niezręcznie było powierzyć tego rodzaju referat osobie, która nie byłaby dostatecznie autorytatywna. Tymczasem członkowie K.C. Oskar Lange i Mieczysław Rakowski odmówili. Rakowski, który był delegatem K.C. P.Z.P.R. na zjazd, podał nam nawet motywację odmowy. Oświadczył mianowicie, że problemy, którymi XXII Zjazd się zajmował, w Polsce należą już do przeszłości i swą aktualność straciły. Była to więc ta sama wersja, o której wspominałem w § XIII rozdz. 1. Zdarzyło się, że na jednym z zebrań, na którym akurat przewodniczyłem, ktoś zaatakował zarząd Klubu za unikanie problematyki XXII Zjazdu. Uznałem wtedy za stosowne wyjaśnić zebranym, z jakiego to powodu zarząd tej problematyki unikał.

Równocześnie jednak z nadziejami na odprężenie w skali całego bloku, czuliśmy ciężkie chmury, zbierające się na firmamencie krajowym. Z niepokojem śledziliśmy postępy prac nad przygotowaniem ustaw o Sądzie Najwyższym i o zgromadzeniach, o których wspominałem w § XIII rozdz. 1. W szczególności drugi z tych projektów wprost napełniał nas przerażeniem. Rzucało się w oczy, że ustawa ta może sparaliżować działalność każdego stowarzyszenia kulturalnego. Jasne więc było, że, jak tyle innych ustaw, będzie ona stosowana tylko tam, gdzie władze będą sobie tego życzyły. Dlatego zastanawialiśmy się, czy i jak w warunkach nowej ustawy działalność Klubu będzie w ogóle możliwa i czy wyrok na Klub nie zapadnie wyłącznie przez samo rygorystyczne stosowanie ustawy, bez żadnego aktu administracyjnego.

Wysuwano w tym czasie różne projekty zebrań mających na celu poruszenie opinii publicznej tymi sprawami. Ja sam myślałem o tym, żeby jednak, w spóźnionym terminie urządzić zebranie na temat XXII Zjazdu, na którym wbrew tradycji przystąpiono by od razu do dyskusji, bez żadnej prelekcji, i na którym można by poruszyć problem reakcji na XXII Zjazd w Polsce. Projekty te były ostatecznie przez zarząd odrzucone. Wbrew bezsensownym i bałamutnym zarzutom, że zarząd tylko czyhał, gdzie by tu rządowi szpilę wsadzić, zarząd, czując, że sytuacja Klubu jest niepewna, nie chciał czynić niczego, co władze mogłoby niepotrzebnie prowokować i rozdrażniać.

VIII

Natychmiast po Nowym Roku, w styczniu 1962 roku wybuchła nowa afera.

Rozchodzi się wiadomość, że budynek, w którym odbywały się zebrania Klubu i który był siedzibą Federacji Klubów Staromiejskiego Domu Kultury, ma zostać przekazany przez Dzielnicową Radę Narodową Związkowi Młodzieży Socjalistycznej. Z punktu widzenia formalnego było to pogwałcenie autonomii Federacji. Dzielnicowa Rada Narodowa, która była protektorem Federacji i gwarantowała jej pewien określony tryb funkcjonowania, nagle, nikogo nie pytając o zdanie i bez żadnych gwarancji na przyszłość, zdaje ją na łaskę i niełaskę jakiegoś zupełnie nowego gospodarza, który niezwiązany żadnymi zobowiązaniami, może wymówić lokal, uniemożliwić działalność, słowem zrobić wszystko, co mu się podoba. Ten formalny punkt widzenia był jednak tutaj najmniej istotny. Kwestia zasadnicza polegała oczywiście na tym, co faktycznie Z.M.S. ma zamiar z przydzielonym sobie budynkiem zrobić, a nie do czego ma prawo. I tu od razu nastąpił w łonie zarządu podział zdań. Jedni mówili, że nie ma powodu do popłochu, że zmiana gospodarza może nie mieć

żadnego znaczenia i że ostatecznie jest wszystko jedno, czy Federacja i Klub pod względem lokalowym zależą od takiej czy innej instytucji: tak jak dotychczas gadało się z Prezydium Rady Narodowej, tak odtąd będzie można gadać z Z.M.S.-em. Inni jednak czuli w powietrzu pismo nosem, zdając sobie dobrze sprawę z tego, że nie po to robi się jakieś takie nagłe i nieoczekiwane zmiany i nie po to stwarza się sytuację grożącą ciągłymi konfliktami i dającą idealne preteksty do szykanowania Klubu, żeby potem wszystko pozostało po staremu. Było jasne, że zmiana ta nic dobrego dla Klubu nie wróży.

W łonie zarządu pierwszy pogląd reprezentowali koledzy Byrski i Duracz, z którymi doszło na tym tle do pewnych starć nawet dość ostrych. Ostatecznie zwyciężył reprezentowany przez większość pogląd drugi. Odbyło się szereg gorączkowych narad z całą wieloosobową frakcją KKK w Radzie Klubów, w wyniku których postanowiono forsować wniosek, żeby Rada Klubów jak najostrzej przeciwko przekazaniu jej siedziby nowemu gospodarzowi protestowała. Rada Klubów większością głosów taki protest uchwaliła, co oczywiście miało znaczenie wyłącznie demonstracyjne.

W całej tej sprawie można podziwiać niezdarność i prymitywizm postępowania władz, które jednocześnie siliły się na jakieś machiaweliczne intrygi. Cały pomysł z przekazaniem siedziby Klubu w ręce ZMS-u miał być — później to już było jasne — wykonaniem tajnej decyzji K.C. o likwidacji Klubu. Towarzysze, jak widać, nie chcieli brukać się brudną robotą sami i woleli ją podrzucić komuś innemu. Poza tym było o wiele zręczniej pod pozorem reorganizacji pozbawić nas lokalu a potem zastraszyć każdego, kto by nam chciał nowy lokal ofiarować, niż otwarcie, administracyjnie, nas likwidować. Ale cała rzecz szła jak po grudzie. Jakież elementy w kierownictwie Z.M.S.-u nie były, jak słyszeliśmy, zachwycone zadaniem bojowym, jakie tej organizacji wyznaczono i przeciwko wystąpieniu Z.M.S.-u w tego rodzaju roli opierały się. W końcu uległy, ale to spowodowało, że nastąpiła pewna zwłoka. W międzyczasie wywierano presję na kierownictwo Federacji, żeby podjęło decyzję usunięcia z niej KKK. Oczywiście kierownictwo Federacji nie miało do tego ani żadnego prawa, ani żadnego powodu i władze musiały się tu narazić na stanowczą odmowę. Wkrótce po likwidacji KKK władze za to zemściły się (nie można tego inaczej nazwać) i tę nikomu nic nie szkodzącą, a wykonującą kawał pożytecznej roboty kulturalnej Federację bez żadnej potrzeby zlikwidowały. Najzabawniejsze było to, że cały ten machiawelizm na nic się nie zdał, bo ostatecznie Klub zlikwidowano zwyczajnie, po chamsku, administracyjnie, bez żadnego podrzucania go w charakterze kukułczego jaja do likwidacji komuś innemu. Tyle wysiłku i na próżno. Skorzystał na tym Z.M.S., który objął budynek w posiadanie dopiero wtedy, kiedy było już po wszystkim.

Oprócz momentu zrzczenia odpowiedzialności za likwidację Klubu na kogoś innego, w rachubach władz grał wyraźnie jeszcze inny moment, a mianowicie nadzieja na zastraszenie nas i zmuszenie do bezwarunkowej kapitulacji. Jak się zdaje, władze, a w każdym razie pewne elementy Puławskie w K.C. do samego końca liczyły na to, że Klub da się upokorzyć, złamać i uzależnić: wtedy likwidować go nie byłoby oczywiście żadnej potrzeby. Tylko, że do tego władze zabierały się też jakoś niezgrabnie. Zdaje się, że władze nie orientowały się, jak silne były już w tym czasie w Klubie nastroje ugodowe i jak wyraźnie dawało się już w Klubie odczuć zmęczenie represjami i szykanami. W każdym razie, wskutek niewiedzy czy bezmyślności najbardziej zrażano właśnie jednostki reprezentujące postawy pojednawcze, a w pewnym wypadku usiłowano zjednać osobę, na zjednanie której nie było raczej żadnych szans. Jako przykład postępowania prymitywnego i graniczącego w gruncie rzeczy z naiwnością, ale o aspiracjach do taktycznej przebiegłości, mogę tu przytoczyć postępowanie sekretarza Komitetu Warszawskiego P.Z.P.R. Józefa Kępy. Po wybuchu afery z Z.M.S-em do Kępy udał się w celu wyjaśnienia sytuacji Małachowski. Rozmowa miała charakter najzupełniej nieoficjalny: Małachowski nie był do odbycia tej rozmowy przez zarząd delegowany, ale po jej odbyciu złożył nam z niej sprawozdanie. Otóż Kępa przede wszystkim upewnił Małachowskiego, że sprawa przekazania budynku Z.M.S-owi nie jest jeszcze przesądzona, podczas gdy w rzeczywistości już następnego dnia po tej rozmowie powiadomiono nas o przekazaniu budynku oficjalnie. Było to więc ze strony Kępy jakieś łgarstwo z czystego zamiłowania, zupełnie nie wiadomo po co. Co więcej, Kępa przerzucił nacisk na jakąś sprawę zupełnie w danym momencie drugorzędną. Zaproponował mianowicie, żeby zarząd Klubu zasugerował kierownictwu Galerii Krzywego Koła jakieś zmiany jej profilu artystycznego. Potrzebę takich zmian motywował „demoralizującym” wpływem, jaki Galeria ta wywiera na wycieczki turystyczne z Z.S.S.R. czy krajów demokracji ludowej, które przy okazji zwiedzania Starego Miasta do niej zaglądają i są tam zaszokowane stopniem swobody twórczej w Polsce. Oczywiście zarząd, który gwarantował Galerii pełną autonomię, nawet gdyby chciał, nie mógłby nic takiego kierownictwu Galerii sugerować. Rzecz przy tym oczywista, że do tego rodzaju roli pośrednika pomiędzy władzami a Galerią zarząd absolutnie się nie kwapił. Czy Kępa liczył na to, że tym sposobem uda mu się zarząd skompromitować, czy rzeczywiście myślał, że przy pomocy zarządu osiągnie swoje jeżeli chodzi o Galerię, nie mam pojęcia. Najzabawniejsze jednak było to, że ten sam Kępa wysyłał do nas swojego agenta, niejakiego Dołżkiewicza, który (zresztą nie on jeden) z ważną miną oświadczał kolejno napotkanym członkom zarządu (do mnie szczęśliwie nie dotarł), że „Komitet Warszawski

oczekuje przyjscia delegacji Klubu na rozmowy". To miała być taka „delikatna” sugestia, żeby inicjatywa wyszła z naszej strony. Odniosłem wtedy wrażenie, że Kępa był urażony tym, że do Wichy poszedł prezes Klubu, a do niego, Kępy, tylko wiceprezes i że zamiast oficjalnej delegacji Małachowski pojawił się w charakterze nieoficjalnym. A właśnie Małachowski, bodaj najbardziej z wszystkich członków zarządu był w tym momencie skłonny do ustępstw i kompromisów i osobiście w stosunku do Kępy był pełen jak najlepszej woli. Ale jak to często bywa, ambicje osobiste przyćmiły zdrowy rozsądek.

Do osoby p. Kępy będę miał okazję jeszcze za chwilę powrócić. Tu chciałbym tylko jeszcze powiedzieć, że cała afera z Z.M.S-em i w ogóle wszystko to razem, o czym w tym paragrafie piszę, szarpało nam wtedy nerwy straszliwie, spowodowało, że byliśmy w tym czasie ustawicznie w trakcie jakichś gorączkowych narad, ale ostatecznie nie miało żadnego znaczenia.

IX

Druga połowa 1961 roku jest okresem wyraźnego wzrostu frekwencji w Klubie. Sala jest stale przepełniona. Zapewne odgrywała tu swoją rolę rozwijająca się już w tym czasie jakaś legenda Klubu, jakiś nimb opozycyjności, który Klub otaczał, wreszcie motyw solidarności z instytucją szykanowaną i represjonowaną, której istnienie było zagrożone. Trzeba jednak powiedzieć, że udało się w tym czasie zarządowi zapewnić długą serię referatów wyjątkowo atrakcyjnych. W tym czasie został wygłoszony, spośród referatów wspomnianych w poprzednim rozdziale, referat Jasienicy o książce Załuskiego, drugi referat Bartoszewskiego, drugi referat Falskiego, referat Sandauera o Gałczyńskim, referaty historyczne Dunin-Wąsowicza i Kerstena, referat Podgóreckiego o sądach robotniczych itd. Pamiętam dobrze, jak w tym czasie staliśmy na zebraniach zarządu wobec konieczności dokonywania selekcji w masie zgłoszonych tematów, i jak niejednokrotnie ciężko było tej selekcji dokonać. Odczuwaliśmy jednak z powodu tej *prosperity* Klubu zrozumięło zadowolenie.

Frekwencja w Klubie pobiła jednak wszelkie rekordy w dniu 18 stycznia 1962 r., kiedy do sali, mogącej pomieścić z trudem 150 osób, cisnęło się z górą 500. Działy się sceny dantejskie. Ludzie używali siły, gdy nie pomogły perswazje, żeby ich wpuścić. Widząc co się dzieje, zdecydowaliśmy się wpuszczać jedynie członków Klubu i posiadaczy zaproszeń. Ale co chwila ktoś przedstawiał nam wyjątkowe racje, dla których musi wejść. Doszło do tego, że nawet jakiś Ubek, nie mogąc dostać się na salę, zdekonspirował się po to, żeby być wpuszczony. Kontrolowałem wtedy na schodach zaproszenia i legitymacje wchodzą-

cych, ale w końcu zostałem gdzieś przez tłum wepchnięty i kompletnie obezwładniony.

Ten tłum ludzi przyszedł by usłyszeć referat Tadeusza Kotarbińskiego, stanowiący rodzaj podsumowania toczącej się wówczas na łamach prasy, przede wszystkim na łamach „Przeglądu Kulturalnego”, dyskusji o wolności słowa. Kotarbiński występował w Klubie nie po raz pierwszy. W swoim czasie wywołał wielką burzę, wyrażając pogląd, że najracjonalniejszym sposobem zakończenia życia ludzkiego jest samobójstwo i że ludziom, którzy nie chcą czekać na śmierć naturalną powinno się instytucjonalnie udostępnić jakieś bezbolesne środki, przy pomocy których mogliby się z życiem rozstać. Masę było wtedy oburzenia u jednych i zrozumienia u drugich. Muszę powiedzieć, że z pewnym niepokojem oczekiwałem, jak wypadnie powtórne wystąpienie tego samego prelegenta, który niedawno wzbudził tak szalone emocje.

Kotarbiński mówił bardzo spokojnie. Referował i analizował, jeden po drugim, artykuły, jakie w ramach dyskusji na temat wolności słowa zostały opublikowane. Wkładał dużo wysiłku w to, żeby każdego z omawianych autorów potraktować *in optima forma*, wyciągnąć z niego rzeczy najlepsze. Własne jego wnioski były jednak zdecydowane. Zakończył, o ile dobrze pamiętam, zwrotem o potrzebie powrotu do atmosfery odwilżowej.

Zebranie z Kotarbińskim stało się wydarzeniem. Pisała o nim prasa całego świata. Widziano w nim manifestację sprzeciwu intelektualistów polskich wobec coraz mocniej ich krępujących kleszczy cenzury. Niektóre organy prasowe (w tym *New York Times* w cytowanej na początku tej książki notatce Olsena) wysunęły potem przypuszczenie, że to zebranie i w ogóle włączenie się Klubu do całej dyskusji o wolności słowa było przyczyną jego likwidacji. Nieśluszenie. W rzeczywistości likwidacja Klubu została postanowiona jeszcze przed tym zebraniem. Ale inna sprawa, że tym zebraniem władze musiały się poczuć w najwyższym stopniu zaalarmowane. Nie tyle nawet przez to, co się na sali mówiło, ile przez fakt, że zebranie zdawało się świadczyć o tym, że dokoła Klubu tworzy się jakaś siła społeczna. To, co się na tym zebraniu działo, zbyt już przypominało Klub Petöfiego.

X

Tydzień po Kotarbińskim, 25 stycznia 1962, Paweł Jasienica mówił „o polskiej anarchii”. O zebraniu tym i jego tendencjach wspominałem już ogólnie w poprzednim rozdziale. Odbyło się ono bez specjalnych politycznych sensacji, tym bardziej, że jego centralnym punktem było niesłuchanie długie przemówienie Stanisława Mackiewicza, który skierował uwagę słuchaczy w stronę problematyki czysto historycznej. Ale na sali znów pojawił się

łum, i chociaż do takich ekscesów jak na zebraniu poprzednim nie doszło, frekwencja ta była dla nas potwierdzeniem, że Klub nie jest osamotniony.

Tłum ludzi był obecny na sali także na ostatnim zebraniu Klubu w dniu 1 lutego 1962, na którym Adam Schaff wygłaszał referat pt. „Konflikt Humanizmów”. Na zebraniu tym obecny nie byłem (nie było to żadną demonstracją, po prostu byłem chory), muszę się więc z konieczności oprzeć na cudzych, ale bardzo dokładnych relacjach, jakie z tego zebrania miałem. O sytuacji osobistej Schaffa w momencie wygłaszania tego referatu i o prawdopodobnych motywach jego postępowania już mówiłem; tutaj więc ograniczę się tylko do zdania sprawy z przebiegu tego zebrania. Zasadniczą myślą referatu Schaffa było, że w dialogu z kapitalizmem ze strony socjalistycznej podkreśla się stale tylko walory ustrojowe socjalizmu: brak prywatnej własności środków produkcji, brak kryzysów i bezrobocia, centralne planowanie gospodarcze itp., podczas gdy głównym atutem w tym dialogu powinny być wartości humanistyczne immanentnie w socjalizmie tkwiące. Od razu na tym tle wynikło pierwsze nieporozumienie, którego ofiarą padł były przewodniczący KKK, Jan Strzelecki. Strzelecki zrozumiał bowiem tę myśl, jako jakiś postulat humanizacji ustroju, i w tym przeświadczeniu poparł Schaffa gorąco, witając z entuzjazmem inicjatywę, odwagę sformułowań itp. Tymczasem Schaff odciął się od takiej interpretacji jego wypowiedzi z całą ostrością, oświadczając Strzeleckiemu, że jego intencją była tylko i wyłącznie krytyka propagandy, a nie żadna krytyka ustroju; tylko i wyłącznie to, że wartości humanistycznych, jakie ten ustrój posiada, propagandowo się nie wykorzystuje, a bynajmniej nie to, że ten ustrój takich wartości nie posiada, czy posiada za mało. Całe to nieporozumienie było, moim zdaniem, czymś niestłuchanie znamiennym. Nie jeden bowiem Strzelecki, ale przeważająca część dziennikarzy i publicystów, którzy o różnych wypowiedziach i artykułach Schaffa na temat humanizmu informowali opinię publiczną na Zachodzie, tak właśnie je rozumiała. Artykuły Schaffa na ten temat wzbudziły na Zachodzie sensację właśnie dlatego, że były powszechnie rozumiane jako jakiś skłon członka Polskiego K.C. do rewizjonizmu, jako wyraz jakichś autentycznych tęsknot do bardziej ludzkiego systemu politycznego, jako właśnie w pewnym sensie mniej lub więcej zamaskowana krytyka ustroju. Tu zaś sam autor oświadczał autorytatywnie, że jest rozumiany jak najfałszywiej, że krytyka ustroju ani mu w głowie, że ustrój istniejący całkowicie go zadawała i, niezależnie od odpowiedzi Strzeleckiemu przez dłuższy czas zło-rzeczył dziennikarzom amerykańskim, że ci, w pogoni za sensacją, myśl jego całkowicie wypaczają.

(Nawiasem mówiąc, wydaje się, że podobne wnioski z wyśtąpienia Schaffa w Klubie wyciągnął korespondent *New York*

Times'a, Olsen, który poprzednio robił właśnie z powodu artykułów o humanizmie, szaloną *publicity*, ale który w notatce z 14 lutego 1962 przedstawił zachowanie się Schaffa w Klubie w sposób wyjątkowo niekorzystny i zarazem wyjątkowo prawdziwie).

Atak na Strzeleckiego i dziennikarzy amerykańskich miał doniosłe znaczenie, ale był na tym zebraniu tylko epizodem. Największa draka wybuchła wtedy, kiedy Schaff powiedział, że podczas swojego pobytu w Ameryce przekonał się, że to, co ludzie mają socjalizmowi najbardziej do zarzucenia, to nie jest brak prywatnej własności fabryk i majątków ziemskich, lecz ograniczenie swobód osobistych i kontrola państwa nad jednostką. Na to ktoś go zapytał, czy musiał jechać aż do Ameryki, żeby się o tym przekonać. Ten *zwischenruf* wyprowadził Schaffa kompletnie z równowagi. Nie panując już zupełnie nad sobą, zaczął krzyknąć: „Tak, bo myśmy (tzn. partia) was wychowali”, sugerując w ten sposób, że gdyby nie dobroczynny wpływ tego wychowania, to wrogowie socjalizmu mieliby mu do zarzucenia tylko to, że nie ma w nim prywatnych fabryk i banków i nic więcej. W ogóle Schaff opuszczał wtedy salę głęboko na Klub obrażony: nic nie pomogły pojednawcze gesty Lipskiego, który temu zebraniu przewodniczył. To prawda, że Wolski powiedział wtedy Schaffowi coś mocno zgryźliwego, porównując reklamowany przez niego humanizm do kiepskich towarów w ładnych opakowaniach. Ale po pierwsze nawet to wystąpienie nie było takie, żeby najmądrzejszą reakcją na nie było obrażanie się, po drugie nawet jeżeli Schaff uznał je za obraźliwe, to nie był to jeszcze powód do obrażania się na cały Klub, a po trzecie sam Schaff w swojej replice zachował się w najwyższym stopniu arogancko, obrażając nie Wolskiego, lecz innych dyskutantów, którzy nie dali mu do tego żadnego powodu. W moim przekonaniu trafnie rzecz ujął w cytowanej notatce Olsen, pisząc, że przyczyną wybuchu wściekłości Schaffa było po prostu to, że będąc przyzwyczajony do posłusznych audytoriów i spodziewając się także i tu aprobaty, natrafił na opór i kwestionowanie jego sformułowań.

XI

Jednym z mówców, którzy w dyskusji nad referatem Schaffa opowiedzieli się za jego tezami, był aspirant z jego zakładu uniwersyteckiego, Janusz Matyasiak. Kiedy po zebraniu Schaff zagniewany opuścił Klub, w kawiarni S.D.K., dokąd, jak zwykle po zebraniu, udało się całe grono uczestników dyskusji, do Matyasiaka podeszli jacyś trzej osobnicy i zaczęli wykrzykiwać pod jego adresem jakieś epitety, po czym jeden z nich dotkliwie go pobił. Świadcownie zajścia, wśród nich Lipski, natychmiast interweniowali w obronie napadniętego i zawiadomili milicję. Jak

się okazało sprawcą zajścia był niejaki Waldemar Kasprzak, były prokurator, wielokrotnie już przez milicję za awantury pijackie i zakłócanie spokoju publicznego zatrzymywany, ale zawsze natychmiast po zatrzymaniu zwalniany i nigdy nie karany. Autorytet prokuratora jest w Polsce bądź co bądź wysoki i milicja musiała go szanować.

Następnego dnia (2 lutego) członek czterech kolejnych zarządów KKK i były przewodniczący Rady Klubów, Mieczysław Sroka, omawiał pewne sprawy Federacji Klubów ze wspomnianym już sekretarzem K.W. P.Z.P.R. Józefem Kępą. W pewnym momencie rozmowa, utrzymana w tonie zupełnie rzeczowym, została przerwana przez telefon. Po drugiej stronie linii telefonicznej znajdował się Schaff. Po rozmowie z nim Kępa, tonem skrajnego podniecenia, zaczął krzyczeć do Sroki: „To tak! Asystent Schaffa, solidaryzujący się z nim w dyskusji, zostaje pobity, a Lipski się temu z satysfakcją przypatruje! Teraz zobaczycie! Teraz główki polecą! (Dosłownie).

Z początku wydawało mi się wręcz niewiarygodne, żeby rozmówcą telefonicznym Kępy był rzeczywiście Schaff. Zadawałem sobie pytanie, dlaczego Schaff miał przekazywać tego rodzaju wiadomości akurat Kępie. Ponadto fakt, że telefon zadzwonił właśnie wtedy, kiedy w gabinecie Kępy znajdował się odpowiedzialny członek KKK, nasuwał przypuszczenie, że była w tym jakaś reżyseria. Przypadkiem jednak udało mi się ponad wszelką wątpliwość stwierdzić, że telefon pochodził rzeczywiście od Schaffa.

Mieliśmy więc do czynienia ze zwyczajną, śmierzdzącą, polityczną prowokacją. Jeżeli było w jej przebiegu coś osobliwego, to tylko fakt, że wziął w niej udział profesor Uniwersytetu Warszawskiego i dyrektor Instytutu Polskiej Akademii Nauk. Nie ma dowodów na to, że Schaff, czy ktokolwiek inny porozumiewał się z notorycznym lumpem, namawiając go do bandyckiego wybryku. Ale i taką ewentualność trudno wykluczyć, tym bardziej, że p. Kasprzak nie miał przecież najmniejszego pod słońcem powodu, żeby spośród wielu osób znajdujących się wtedy w kawiarni wybierać na cel swoich pięści akurat dość niepozornie wyglądającego Matyasiaka. Matyasiak twierdził stanowczo, że nigdy przedtem Kasprzaka na oczy nie widział i o ile mi wiadomo, Kasprzak w toku późniejszego postępowania sądowego temu nie zaprzeczał. (Sprawa sądowa Matyasiak vs. Kasprzak nie była jeszcze zakończona w momencie mojego wyjazdu z Polski. Jej ostatecznych rezultatów nie znam. Wiadomo mi tylko, że milicja, przesłuchując Matyasiaka usiłowała go nakłonić do wycofania skargi: argumentem była tu „nienaganna przeszłość” Kasprzaka). Być może jednak Schaff dopiero po zajściu wpadł na pomysł jego politycznego wykorzystania. Za tą ewentualnością przemawiałoby to, że od wyjścia Schaffa z

Klubu do pobicia Matyysiaka minęło trochę za mało czasu, żeby cały ten manewr zaplanować i przygotować. Jakkolwiek by było, udział Schaffa w tej całej aferze, której pierwszą ofiarą był jego własny uczeń, jest niewątpliwy. Sporne może być tylko to, od którego momentu ten udział się zaczyna.

W trzy dni po telefonie Schaffa do Kępy, 5 lutego, przewodniczący i sekretarz Klubu zostają wezwani do Prezydium Stołecznej Rady Narodowej, gdzie zostają zawiadomieni o likwidacji Klubu. (Jasienicę zastępował wtedy Małachowski). Małachowskiemu i Lipskiemu zakomunikowano, że powodem likwidacji Klubu jest incydent z Matyysiakiem. Wyjaśniono, że decyzja dotyczy tylko Klubu, a nie Galerii Krzywego Koła.

Tego samego dnia (był to nb. także pierwszy dzień procesu Rudzińskiej) odbywało się zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej przy Związku Dziennikarzy, z udziałem członka K.C., Wincentego Kraški. Ktoś na tym zebraniu zainterpelował Kraškę o KKK. Odpowiedź Kraški brzmiała: „Musieliśmy KKK zamknąć, bo była tam taka wolność słowa, że zarząd organizował mordobicie dyskutantów, reprezentujących partyjny punkt widzenia”. Szafa więc grała.

Natychmiast po likwidacji Klubu zarząd wystosował do prezydium Stołecznej Rady Narodowej ostry protest. W proteście tym szczególny nacisk został położony na absolutną bezpodstawność pomawiania Klubu o jakikolwiek związek z jakimś chuligańskim zajściem i na całą absurdalność tej wersji jako oficjalnie nam zakomunikowanego powodu zamknięcia Klubu.

Protest nasz oczywiście nie miał żadnego znaczenia, jeżeli chodzi o samą decyzję przeciwko której został wystosowany. Można się jednak zastanawiać, czy pewnych efektów nie osiągnął. Już cztery dni po likwidacji Klubu (9 lutego) odbywa się zebranie wyborcze Organizacji Partyjnej przy Polskiej Akademii Nauk. Obecny na zebraniu instruktor Komitetu Warszawskiego, Zboiński, zostaje, podobnie jak Kraško, zainterpelowany przez kogoś o KKK. Jest rzeczą ciekawą, że Zboiński, mówiąc o likwidacji Klubu w ogóle przemilczał sprawę Matyysiaka, pomimo że specjalnie go o to pytano. Przedstawił natomiast cały wachlarz innych zarzutów, ale już politycznej, a nie kryminalnej natury. Wśród tych zarzutów na czoło wysunęło się sformułowanie, że „zarząd Klubu został opanowany przez elementy prawicowo-nacjonalistyczne”. Jaki sens miało przyklepanie do nas tej samej wyświechtanej etykiety, którą kiedyś tak bez powodzenia częstowano Generalnego Sekretarza Partii, Bóg jeden raczy wiedzieć. Zboińskiego od razu wtedy zapytano, kto personalnie jest tym prawicowo-nacjonalistycznym elementem, na co Zboiński wyjął z kieszeni kartkę (ciekawe, po co ją tam nosił?), z której odczytał nazwiska wszystkich członków zarządu Klubu. Zboiński bynajmniej jednak do tego zarzutu w swoich oskarżeniach prze-

ciwko Klubowi nie ograniczył się. Mówił o tym, że Klub zabiegał specjalnie o kontakty z cudzoziemcami, że inspirował korespondentów zagranicznych, że organizował dla siebie *publicity* w prasie i radiostacjach zagranicznych. Były to bzdury kompletne. Wśród wielu rozmaitych oskarżeń uderzał zarzut uprzywilejowywania dyskutantów antypartyjnych i dyskryminowania partyjnych. W ten sposób na Klub została wygodnie zwalona przykra odpowiedzialność za kompletną impotencję ideową partii, za to, że w ciągu wielu lat partia nie była w stanie „antypartyjnym elementom” w Klubie przeciwstawić nic poza tchórzliwym milczeniem’.

Wystąpienie Zboińskiego świadczyło o tym, że władze połąpały się, że zrobiły głupstwo, wybierając na pretekst zamknięcia Klubu kryminalny incydent. Ostatecznie oskarżając stowarzyszenie, zrzeszające wielu profesorów uniwersytetu, ministrów, sędziów, wybitnych pisarzy itp. o jakieś czyny kryminalne, z góry przekreślało się możliwość, że ktokolwiek w to uwierzy. Wersja była zbyt absurdalna i nieprawdopodobna. Ponadto takie postawienie sprawy oznaczało odebranie sobie samemu atutów w postaci możliwych do wykorzystania zarzutów politycznych przeciwko Klubowi: sugerowało ono ostatecznie, że dopóki ktoś kogoś po pijanemu nie pobił, dopóty wszystko było w porządku, także od strony politycznej. Nieco po niewczasie zdecydowano się ten błąd naprawić.

Wyrazem tej nowej linii oskarżania Klubu było oświadczenie złożone zarządowi dnia 15 lutego 1962 r. przez zastępcę Przewodniczącego Stołecznej Rady Narodowej, Kazimierę Kartasińską. Kartasińska zaprosiła do siebie zarząd Klubu *in corpore*, jak się okazało po to, żeby zakomunikować nam decyzję likwidacji Klubu w sposób oficjalny. Od razu na wstępie Kartasińska oświadczyła, że incydent z Matyasiakiem „jest tu najmniej ważny”, że jest wiele innych powodów takiej decyzji władz, ale że ona „dyskutować nie będzie”. Ostatecznie jednak została do dyskusji zmuszona przez kol. Duracza, którego autorytet w kierowniczych kołach partyjnych jest zbyt wielki, żeby Kartasińska mogła się z nim nie liczyć. Jej zarzuty szły po tej samej linii co zarzuty Zboińskiego. Oświadczyła nam, że „w każdym razie równości dyskutantów u was nie było”, uczyniła nam zarzut z tego, że w zebraniach Klubowych uczestniczyli nie tylko ludzie „dostatecznie wyrobieni, aby trafnie rozumieć dyskusję”, ale że przyciągaliśmy do Klubu także cudzoziemców, studentów i „nawet młodzież szkolną” którzy mogli zupełnie fałszywie sobie interpretować to, co słyszeli, wreszcie dramatycznym gestem rozłożywszy ręce, z ogromnym przejęciem powiedziała: „Nie możemy dopuścić do tego, aby cierpiał autorytet naszych uczonych”. Zrozumieliśmy wtedy, że to prof. Schaff potrzebował takiej administracyjnej ochrony swojego autorytetu naukowego i że autorytet ten zatriumfował w pełni dopiero wtedy, kiedy

jego przeciwnicy zostali środkami administracyjnymi zmuszeni do milczenia.

Na zapytanie Jasienicy, czy sprawa Matyasiaka była tylko najmniej ważnym powodem zamknięcia Klubu, czy nie była w ogóle powodem, Kartasińska w końcu oświadczyła, że zarzutów natury kryminalnej pod adresem Klubu się nie wysuwa. Położyła ogromny nacisk na to, że zamknięcie Klubu nie jest żadnym ograniczeniem wolności słowa, gdyż „jest przecież tyle innych miejsc, gdzie ludzie mogą ze sobą dyskutować”. Podkreśliła również z naciskiem, że likwidacja KKK nie oznacza, że władze przestały popierać ruch klubowy: „No cóż, jedne kluby powstają, inne kończą swoją działalność”. Rzecz prosta, tego rodzaju konstatacje prowokowały tylko z naszej strony mocne i dosadne odpowiedzi. Ale w ogóle dyskusja z Kartasińską nie była intelektualną rozkoszą. Jej argumenty były tak niedorzeczne, że nie było żadną sztuką je zbijać. Jej pozycję w dyskusji z nami pogarszał fakt, że w przeciwieństwie do Wichy, czy różnych funkcjonariuszy Komitetu Warszawskiego, Kartasińska w sprawach Klubu nie orientowała się zupełnie. Rozmowa z nami była służbowo jej przydzielonym, niewdzięcznym zadaniem, które wykonywała jak umiała, wijąc się jak piskorz i pod naporem naszych argumentów wycofując się ciągle z już sformułowanych zarzutów. W końcu obie strony wiedziały dobrze, że to, co się w tej dyskusji powie, i tak nie może już mieć żadnego znaczenia.

XII

O ile treść całej rozmowy z Kartasińską była rzeczą mniej lub więcej obojętną, o tyle nasuwało się ciekawe pytanie, po co zostaliśmy w ogóle do niej zaproszeni. Ostatecznie nasz list protestacyjny nie wymagał aż tak honorowej odpowiedzi. Zmiana linii oskarżeń przeciwko nam z kryminalnej na polityczną też nie musiała się dokonywać przez mówienie nam tego prosto w oczy: władze mogły przecież bez uprzedzania nas o czymkolwiek publikować sobie, co im się żywnie podobało w formie, jaką uznałyby za stosowne. Dlatego zachodziło podejrzenie, że audyencja u Kartasińskiej musiała mieć jakiś cel ukryty.

Osobiście jestem zdania, że celem wezwania nas do Kartasińskiej miało być przygotowanie komunikatu prasowego, w którym można by było napisać, że zarządowi Klubu zarzuty władz zostały zakomunikowane, ale że zarząd ich nie uznał, dowodząc w ten sposób, że stoi na pozycjach, że się stacza, że jest elementem itp. Dzień lub dwa dni po rozmowie z Kartasińską dotarła do nas nawet pogłoska (przyznaję, że niesprawdzona), że jakiś taki komunikat się smaży. Ostatecznie jednak nic takiego się nie ukazało. Powstaje więc pytanie, dlaczego?

W moim przekonaniu (ale jeszcze raz zastrzegam się, że

to są tylko domysły) był to skutek odmowy kolegów Jasienicy i Lipskiego dostarczenia korespondentowi Agencji Reutera jakichkolwiek informacji na temat zamknięcia Klubu. Rozumiem dobrze motywy, dla których Jasienica i Lipski to uczynili, gdy korespondent Reutera zwrócił się do nich po informacje. Klub już wtedy nie istniał. Żadna zagraniczna *publicity* przywrócić go do życia już nie mogła; mogła natomiast prowadzić do jakiejś nowej politycznej rozróbki, której efekty trudno było przewidzieć. Dlatego prezes i sekretarz Klubu nie chcieli w tym momencie robić już niczego, co mogłoby być poczytane za prowokację, za powód do nowych argumentów przeciwko Klubowi, co w końcu mogło służyć za pretekst do represji przeciwko członkom Klubu. Mimo to uważam, że ta decyzja Jasienicy i Lipskiego była wielkim błędem. Umożliwiła ona bowiem władzom cały manewr dezinformacyjny. Dzięki tej decyzji władze stały się jedynym źródłem informacji o Klubie dla opinii publicznej na Zachodzie. I o ile poprzednio w postępowaniu władz wobec nas było wiele gruboskórności i fuszkerki, o tyle trzeba powiedzieć, że ta okazja została wykorzystana w sposób mistrzowski.

Przede wszystkim nie miało już żadnego sensu publikować komunikat, oskarżający nas o jakieś polityczne zdrożności, które na Zachodzie mogłyby tylko przysporzyć nam sławy. O wiele lepiej było powiedzieć, że nie było żadnej decyzji zamknięcia Klubu że to myśmy rozwiązali się sami. Przy okazji można było dać do zrozumienia że właściwie nie ma powodu do żadnego hałasu, że Klub to była grupka niepoważnych młodzieńców, którą nie warto się zajmować. W ten sposób jeden i ten sam przebieg wydarzeń otrzymywał już trzecią oficjalną wersję.

Od chwili, kiedy zaczęły do nas dochodzić doniesienia prasy zachodniej na temat zamknięcia Klubu, stało się jasne, że działa jakieś centralne źródło jak najbardziej fałszywej informacji, na którym opierają się wszyscy korespondenci. Wkrótce okazało się, że źródłem tym jest specjalny komunikat, wydany dla korespondentów przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Nie znaczy to, że wszystkie korespondencje były jednakowe. Wręcz przeciwnie, były pomiędzy nimi poważne różnice, poczynając od wyjątkowo nam (nie po raz pierwszy) nieprzyjaznego Hansjacob'a Stehle z *Frankfurter Allgemeine Zeitung* który w swojej korespondencji właściwie powtórzył lekceważącą opinię M.S.Z.-etu, aż do Arthura Olsena z *New York Times'a*, który wbrew sugestiom M.S.Z.-etu przyznał nam, w słowach, które cytuję na samym początku tej książki, jakąś wielką, można powiedzieć historyczną, rolę. Ale we wszystkich korespondencjach prasowych bez wyjątku powtarzała się wersja o samolikwidacji Klubu, i nawet Olsen, idąc zupełnie fałszywym tropem, snuł jakieś przypuszczenia co do powodów powzięcia przez zarząd decyzji o samolikwidacji. Później niektóre organy prasowe i radiostacje zaczęły używać eufemistycznych zwrotów w rodzaju

„zawieszenie” działalności Klubu, co tylko odzwierciedlało ogólną dezorientację, jaka na ten temat panowała. Potrzeba było kilku miesięcy, żeby prawda o likwidacji Klubu zaczęła na Zachód przeciekać. I wcale nie wykluczam, że niejednego czytelnika dopiero ta książka wyprowadzi z błędu.

SŁOWO KOŃCOWE

Kartasińska nie kłamała, kiedy mówiła, że jedne Kluby powstają, a inne kończą swoją działalność. Istotnie likwidacja Klubu — rzecz ironiczna — następuje w momencie, kiedy władze urządzają pokazową akcję „popierania Ruchu Klubowego”. Odbywają się jakieś ministerialne konferencje w tej sprawie. Nowe Kluby powstają z odgórnej inspiracji, jak grzyby po deszczu. Pierwszy prezes KKK, Stefan Król, znów zbiera gromadę swoich przyjaciół i zakłada z nimi nowy Klub „Stawki”. Pewne Kluby tego rodzaju wchodzi nawet do Federacji, do której należał KKK. Zanim podejmie się ostatecznie kroki przeciwko Klubowi, dobrze jest przecież pokazać, że o ruch klubowy się dba i że się go popiera. Ostatecznie te nowopowstałe Kluby to nie KKK: nie mają one żadnego dorobku, nikt o nich nie wie, są one od pomocy władz całkowicie uzależnione i w razie potrzeby można je będzie w dogodnym momencie bez żadnego huku spokojnie zamknąć.

Na swoją pozycję, wyrażającą się choćby w tym, że tak zupełnie bez huku zamknąć go nie było można, KKK pracował latami. Ostatnia wersja likwidacji Klubu świadczy, jak bardzo władze się mimo wszystko huku wokół tej sprawy obawiały. I nie było w tym nic szczególnego. Jest regułą, że jeżeli jakakolwiek władza decyduje się na jakieś posunięcie niepopularne, to huku wokół tego posunięcia nie lubi. Jest także regułą, że ta obawa przed hukiem wokół niepopularnych posunięć władzy jest już sama w sobie jakimś elementem pomyślnej koniunktury, jakąś okazją do wykorzystania dla przeciwników tej władzy. Ta ko-

niunktura może być wykorzystana lub nie, ale ona jest; obawa przed nadmiernym hukiem zawsze ją stwarza.

Z książki H. Seton-Watsona „Eastern Europe between the Wars” dowiedziałem się o historii Uniwersytetu Belgradzkiego, która nasuwa pewne analogie z historią KKK. Przez całe lata dyktatury królewskiej w przedwojennej Jugosławii, Uniwersytet Belgradzki, opanowany przez elementy skrajnie lewicowe (wśród nich komunistyczne), potrafił skutecznie opierać się władzom i utrzymywać swoją niezależność. Przez całe lata Uniwersytet ten pozostawał jakąś enklawą intelektualnego pluralizmu w zuniformizowanej kulturze dyktatorskiego państwa. Przez całe lata królewskie władze, tak świetnie sobie radzące z Chorwacką opozycją czy Macedońskim terrorem, nie mogły sobie poradzić z jednym bezbronny uniwersytetem. Zdaje się przy tym, że działała tu także obawa przed nadmiernym hukiem.

Dzisiaj, kiedy byłoby szaleństwem oczekiwać, że dyktatorskie reżymy zostaną zmasowane z mapy świata w drodze wojen czy rewolucyjnych przewrotów, jedyną nadzieją, jaka nam jeszcze pozostaje jest to, że jakieś elementy demokracji będą jednak w tych krajach stopniowo i powoli kiełkować. To oczywiście samo się nie zrobi i nie jest nigdzie wyrokiem Boga ani historii powiedziane, że to musi nastąpić. Ale na pewno nie można takiego obrotu spraw wykluczyć na zasadzie jakichś apriorycznych założeń. Ewolucja państwa totalitarnego w kierunku demokracji jest z pewnością możliwa i historia kilku ostatnich lat zadaje tu kłam różnym teoretykom, którzy tę możliwość wykluczali. Co więcej, wiemy już dzisiaj coś niecoś o dynamice takiej ewolucji. Doświadczenie polskie i węgierskie 1956 r. uczy, jak zasadnicze znaczenie w tym procesie ma wniesienie do szarego i jednostajnego życia w państwie totalitarnym zwykłej autentycznej wymiany myśli. Doświadczenie to uczy, jak ogromne znaczenie polityczne ma każdy przejaw ruchu intelektualnego tam, gdzie dominuje intelektualny zastój. I myślę, że możemy przewidywać na przyszłość, że w dziewięćdziesięciu dziewięciu wypadkach na sto takie przejawy będą zdławione. Ale w jednym wypadku na sto albo władze będą się obawiały nadmiernego huku, albo jedna frakcja partyjna będzie chciała coś wygrać przeciwko drugiej, albo mimo wszelkich wysiłków kogoś nie uda się złamać i zastraszyć, albo władze nie docenią zawczasu niebezpieczeństwa, albo wytworzy się jakiś inny typ pomyślnej koniunktury, która sprawi, że te przejawy nie zostaną od razu zdławione i że jakiś intelektualny niepokój zacznie zataczać coraz szersze kręgi.

Same pomyślne koniunktury jednak nie wystarczą. Doświadczenie KKK pokazuje, że do tego trzeba ogromnej cierpliwości

i wytrwałości ludzkiej, że tego rodzaju wartości kulturalne buduje się bardzo powoli. Ale potrzeba także czegoś więcej. Potrzebna jest odporność ludzka na groźby z jednej strony i na obietnice zaszczytów z drugiej. Potrzebna jest zwykła ludzka solidarność: najłatwiej przecież ludzi pokonać, szczując ich wzajemnie przeciwko sobie. Potrzebna jest wreszcie wiedza polityczna i dojrzałość polityczna.

Klub Krzywego Koła został ostatecznie zdławiony. Ale już ten fakt, że dla zachowania pozorów władze zdecydowały się równocześnie z likwidacją KKK powołać do życia szereg innych Klubów, które na razie nie mają żadnego znaczenia, może dawać powód do jakiejś nadziei. Absolutnie nie jest powiedziane, że któryś z tych nowopowstałych klubów, po latach cierplivej i wytrwałej pracy, nie stanie się kiedyś nowym Klubem Krzywego Koła albo czymś więcej. To, że kluby te zaczynają marnie, nie ma tu wielkiego znaczenia: KKK zaczynał jeszcze marniej. W każdym razie w tym, że władze chciały przy likwidacji KKK zachować pozory, już tkwi jakiś element pozytywnej koniunktury.

Choć pewne doświadczenia mamy już za sobą, wciąż mało jeszcze wiemy o technice podważania kulturalnego uniformizmu państwa totalitarnego przez wnoszenie elementów kulturalnej różnorodności. Chciałbym, aby ta książka została potraktowana jako rodzaj *case study*, pokazującego jak w jednym, poszczególnym przypadku i na bardzo ograniczonym odcinku ten proces się odbywał i jednak przynosił rezultaty. Zdaję sobie w pełni sprawę z różnicy pomiędzy kazuistyką a teorią i wiem, że z jednego przypadku nie można generalizować. Na wiedzy o tym, w jaki sposób Klub Krzywego Koła opierał się kulturalnemu uniformizmowi państwa dyktatorskiego nie można zbudować teorii oporu kulturalnego przeciwko państwu dyktatorskiemu. Ale nawet historia jednego przypadku może pokazywać granice tego, co w danym zakresie jest możliwe, na tej zasadzie, że — jak mówią Amerykanie — *whatever is, is possible*. I myślę sobie, że może kiedyś komuś, kto w jakimkolwiek dyktatorskim państwie będzie walczył o kulturalny pluralizm, historia Klubu Krzywego Koła będzie wskazywać możliwości tej walki, tak jak mnie w toku pracy w Klubie wskazywała je historia Uniwersytetu w Belgradzie.

SPIS TREŚCI

SŁOWO WSTĘPNE	7
Rozdział 1 — „Chamy i Żydy”	17
Rozdział 2 — <i>Ruch Klubowy 1955-1957</i>	61
Rozdział 3 — <i>Wewnętrzne życie Klubu</i>	86
Rozdział 4 — <i>Wspomnienia z zebrań</i>	112
Rozdział 5 — <i>Ostatni rok istnienia Klubu</i>	139
SŁOWO KOŃCOWE	166

SERIA „ D O K U M E N T Y ”

- Nr 1 **O kulcie jednostki i jego następstwach** (1 F)
Nr 2 **Przemówienie 1 Sekretarza KC PZPR Władysława Gomułki na VIII Plenum 21.X.1956.**
(1 F)
Nr 3 **Przyczyny rewolucji węgierskiej. Testament Haricha** (wyczerpane).
Nr 4 **Warszawa-Kijów** (1 F)

W „BIBLIOTECE KULTURY”

- Nr 5 **Program Związku Komunistów Jugosławii. Krytyka „Komunista”** (8 F)
Nr 6 **Kultura Masowa** — Praca Zbiorowa w opracowaniu Czesława Miłosza (6 F)
Nr 7 **Wiktor Sukiennicki: Kolumbowy Błąd** — Szkice z historii, teorii i praktyki sowieckiego „komunizmu” (9 F)
Nr 8 **Węgry.** — Praca zbiorowa w opr. i tłum. Czesława Miłosza (9 F)
Nr 9 **Adam Ciołkosz: Róża Luksemburg a rewolucja rosyjska** (15 F)
Nr 10 **Andrzej Stawar: Pisma ostatnie** (wyczerpane)
Nr 11 **Sześć lat temu...** (Kulisy polskiego Października) (10 F)

**KSIĄŻKI HISTORYCZNE
W „BIBLIOTECE KULTURY”**

Józef Mackiewicz: **Kontra (7 F)**

Paweł Zaremba: **Historia Stanów Zjednoczonych
(18 F.)**

Tadeusz Katelbach: **Rok złych wróżb (8 F)**

Stanisław Kot: **Jerzy Niemirycz (7 F)**

Paweł Zaremba: **Historia Polski, Tom I (20 F)**

Józef Czapski: **Na nieludzkiej ziemi (Wydanie drugie)
(15 F)**

Bernard Singer: **Od Witosa do Sławka (18 F)**

Milovan Džilas: **Rozmowy ze Stalinem (9 F)**

ACHEVE D'IMPRIMER
LE 17 JUIN 1963
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1963

10 F. (dol. 2,25; 15/-)